

NA SZLAKU

LIPIEC – SIERPIEŃ

1994

ROK VIII NR 7-8/61-62

GÓRY • TURYSTYKA • ALPINIZM



Żabia Łalka nad Morskim Okłem. Foto: Zdzisław J. Zieliński

W NUMERZE M.IN.:

- Na szlaku z KTG ZG PTTK
- Wysokie Taury (1)
- Wśród wulkanów
- Zamkowe opowieści (29)
- Panopticum górskie
- Orawskie impresje
- Kolejny tom „Wierchów”
- 40 lat temu na łamach „Turysty” (2)
- Ile lat ma Wisła?
- Ustrońskie papiernie
- Pradziad
- Globtroter
- Spacerkiem po górach
- Góry i alpinizm

Na szlaku

Miesięcznik turystyczno-krajoznawczy
poświęcony górcom.
Czasopismo Polskiego Towarzystwa
Turystyczno-Krajoznawczego

Wydano przy pomocy Urzędu Kultury
Fizycznej i Turystyki

Zespół redakcyjny: Piotr Dacko (red.
techniczno-graficzny), Aleksander Lwów,
Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny),
Andrzej Matuszyk (Kraków),
Stanisław Nosol (sekretarz red.),
Ryszard Szlagor (red. wydawnictwa).

Sekretariat i administracja:
Małgorzata Podsiadło, tel. 386-69.

Stale współpracują: Jacek Kolbuszewski,
Tomasz Kowalik (Warszawa), Józef Nyka
(Warszawa), Przemysław Pillich (Warszawa),
Juliusz Wysłouch (Toruń).

Adres Redakcji: 50-106 Wrocław,
Rynek-Ratusz 11/12, III p., tel. 386-69.

Wydaje: Oficyna Wydawnicza „Sudety”
Oddziału Wrocławskiego PTTK.

ISSN 1230-9931

Redakcja zastrzega sobie prawo
adiustacji tekstów.
Materiałów nie zamówionych
Redakcja nie zwraca.

Druk: Drukarnia Uniwersytetu
Wrocławskiego

Numery archiwalne do nabycia
w Redakcji.

Prenumerata na drugie półrocze 1994 (wraz z
kosztami przesyłki) wynosi 120 000,- zł.
Prenumeratę przyjmuje: Oddział Wrocławski
PTTK, Oficyna Wydawnicza „Sudety”,
50-107 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, III p.,
Bank Zachodni O/Wrocław, nr konta:
389206-1515-132 z zaznaczeniem
„Na szlaku”. Prosimy o czytelne
podanie adresu.

Stały kolportaż prowadzą: CIESZYN —
Sklep PTTK „Gronie”, ul. Głębocka 42;
GDĄSK — Księgarnia „Dom Ferbera”, ul.
Podkramarska 5; GLIWICE — Księgarnia
„U Piotra”, ul. Arkońska 8; KATOWICE —
PTTK, ul. Dyrekcyjna 10; KRAKÓW —
Sklep Górski „Wierchy”, ul. Szewska 23;
NOWY SĄCZ — O/PTTK, Rynek 9;
POZNAŃ — „Glob-Tour”, Dworzec Główny
PKP; SZKLARSKA PORĘBA — Księgarnia
„Libra”, ul. Jedności Narodowej 10;
ŚWIDNICA — O/PTTK Świdnica; WAŁ-
BRZYCH — O/Wałbrzyski PTTK, ul.
Lewartowskiego 2; WROCŁAW — O/Wro-
cławski PTTK, Rynek-Ratusz 11/12, O/
Fabryczna PTTK, ul. Wita Stwosza 15;
ZAKOPANE — Księgarnia Górską im.
T. Staicha, ul. Zaruskiego 5 (Dom Turysty);
schroniska górskie PTTK oraz Redakcja.

NA SZLAKU 7-8/61-62 STR. 2

Listy, opinie, polemiki...

Turyści niemile widziani w parkach narodowych

List otwarty

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że słuszną ideę tworzenia parków narodowych zaczęto u nas realizować w epoce totalitaryzmu. Odbiło się to fatalnie na przepisach parków. Przepisy te są niehumanitarne i restrykcyjne. Godzą szczególnie w turystykę górską. Zabraniają wędrowania w parkach poza wytyczonymi szlakami znakowanymi praktycznie uniemożliwiają w ogóle uprawianie swobodnej turystyki górskiej, gdyż parki znajdują się we wszystkich naszych górach. Brak swobody wędrowania nie pozwala na pełne poznanie gór, pozbawia możliwości samodzielnego szukania dróg, hamuje rozwijanie orientacji w terenie i działa źle na psychikę, stwarzając poczucie braku wolności, a w górach szczególnie popularnych powoduje ponadto szkodliwe zagęszczenie turystów na szlakach.

Mimo restrykcyjnych przepisów parki nie mają się dobrze. Lasy parków wymierają od zatrutego powietrza, drzewa są masowo wycinane przez złodziei, a zwierzęta pada łupem kłusowników. Swobodne wędrowanie turystów poprawiłoby sytuację, bo płoszyłoby złodziei i kłusowników i zmniejszyłoby zagęszczenie turystów na szlakach, a poza tym turyści – podobnie jak w innych terenach – niszczyliby urządzenia kłusownicze i zapobiegiliby pożarom lasów.

Obecnie, w piątym roku po obaleniu totalitaryzmu, utrzymywanie restrykcyjnych przepi-

sów parków – szkodliwych dla turystów i dla samych parków – jest absurdem. Jednak dyrektorzy parków nie zgadzają się na złagodzenie przepisów; prawdopodobnie obawiają się, że byłoby to źle widziane przez Ministerstwo. Proponujemy, by władze PTTK, przy wsparciu Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki, domagały się od Ministerstwa Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa spowodowania złagodzenia przepisów parków, tak by zasadą było swobodne wędrowanie, a ewentualne (minimalne) ograniczenie swobody – wyjątkiem. Dodatkowym argumentem za swobodą wędrowania jest wielokrotnie zmniejszenie się ruchu turystycznego w stosunku do okresu PRL, zmniejszające uciążliwość turystyki dla parków. Przypominamy, że w 1992 r. min. Stefan Kozłowski rozpoczął działania na rzecz złagodzenia przepisów, ale po jego odejściu z Ministerstwa działań tych nie kontynuowano.

Jedynym projektem parku narodowego, powstałym u nas przed wojną, w wolnej Polsce, był projekt Tatrzńskiego Parku Narodowego. Przewidywał on pełną swobodę wędrowania w całym obszarze Parku, łącznie z rezerwatami.

W górach krajów zachodnich, wolnych od dawna, nie ma ograniczeń wędrowania. Z krajów byłego bloku socjalistycznego największe ograniczenia są w Polsce. Nasi turyści górscy na swobodne wędrowki muszą wyjeżdżać za granicę.

Jan Włodarczyk

W odpowiedzi kierownikowi schroniska „Błatnia”

Szanowny Panie!

W przeciwieństwie do Pana, staram się na list odpowiedzieć możliwie szybko. Przyznam szczerze, otrzymany list mocno mnie rozczarował, przecież to nie ja spotkałem się z takim, a nie innym przyjęciem w schronisku. Należało więc odpowiedzieć autorowi notatki – to chyba proste? Przesyłając Panu kopię notatki z adresem Redakcji, liczyłem, że dla dobra własnego i z obowiązku wyjaśni Pan zaistniałą sytuację. Tymczasem wylewa Pan na mnie kubek brudnej wody, usprawiedliwiając to trudnymi warunkami i coraz większą biedą społeczeństwa (!).

Panie Kierowniku! Podstawowe zasady grzeczności obowiązują nawet w najuboższych społeczeństwach i nie nie może usprawiedliwić niewłaściwego stosunku do ludzi. Pomijam osobiste aluzje, ale obraźliwie wyraża się Pan o miesięczniku, który propaguje m.in. Beskid Śląski, aby także do Pańskiego schroniska przychodziło więcej ludzi. Widać ma Pan pomysł na lepszą gazetę o tematyce górskiej, czekam na pierwszy

numer. Te wszystkie ataki można by puścić mimo uszu, ale przy okazji obraża Pan turystów, a to jest niedopuszczalne, to wykracza daleko poza dobre obyczaje, jakie powinny cechować kierownika schroniska górskiego. Tu nie mogą Pana usprawiedliwiać nawet najtrudniejsze sytuacje finansowe, bo jesteście, panowie agenci, powołani do obsługi turystów, i to proszę pamiętać. Obrzucił Pan ludzi, z którymi żyje (zdaje sobie sprawę, że nie dostatanio), i wykazał Pan brak umiejętności bronięcia dobrego imienia schronisk górskich...

A chodziło tylko o słowo „przepaszam”, które, widać, zapomniano na Błotnym. Kończąc informuję, że przesyłam Pański list do Redakcji „Na szlaku”, czyli do prawdziwego adresata. I niech Pan pamięta, że propaguję góry nie dlatego, że na Błotnym gospodarzy Florian Moj. Im szybciej Pan to zrozumie, tym lepiej. I niech Pan nie tłumaczy ludowi, że „nos jest dla tabakiery”, bo i tak nie uwierzą.

Lech Wiewióra

Przodownik i country

Otrzymał mi od p. Jerzego Mikulca obszernie listy, które, niestety, z powodu braku miejsca nie możemy w całości zamieścić. Serdecznie dziękujemy za uwagi, które w części zamieszczamy.

Otóż słusznie zwraca nasz Czytelnik zainteresowanie na poprawne stosowanie tytułu przodownik turystyki górskiej, zgodnie z obowiązującą już od dłuższego czasu nomenklaturą. Opo- wiada się też za trwałością regulaminu GOT jako jednego z warunków popularności i znaczenia tej najstarszej odznaki turystyki kwalifikacyjnej.

P. Mikulec ujawnił się zarazem jako mi-

łośnik country (z pewnością jest ich wielu i w naszym gronie). Stąd zareagował szczegółowo na reportaż z Nashville. Wskazał parę usterek, uzupełnił i rozszerzył inne informacje. Tu tylko można dodać, że autor materiału korzystał z publikacji o tym mieście i wyjaśnień udzielanych przez przewodnika. Do istotniejszych należy natomiast wiadomość o wysuwaniu się Branson w Missour- i na czoło ośrodków muzyki country, która w dużej ilości serwowana jest na wycieczkowym statku „General Jackson” – jeszcze w Nashville.

Redakcja

Listy, opinie, polemiki...

W majowym numerze „Na szlaku” ukazała się notatka „Dom z pewnością, ale czy jeszcze TURYSTY”, krytycznie oceniająca zastosowanie w DT Zakopane bonifikat do noclegów. Najkrótsza odpowiedź na postawione zarzuty brzmi – DOM z pewnością TURYSTY.

Autor notatki nie tylko z premedytacją – jak sam stwierdza – pisze w czasie przeszłym, ale również rozumuje w sposób, który należy od blisko pięciu lat do przeszłości, a określony jest pow-

ciągu trzech lat zmodernizowaliśmy jedno skrzydło budynku, przekształcając część sal wieloosobowych w pokoje z własnymi węzłami sanitarnymi. Aktualnie jest to 487 miejsc noclegowych, w tym 69 (14,2%) typu hotelowego z łazienkami w pokojach 1-4 osobowych, 70 (14,4%) typu pensjonatowego – z umywalkami lub umywalkami i prysznicem – pokoje 2-3-osobowe oraz 348 (71,4%) w pokojach i salach 4-, 6-, 8- i wieloosobowych. Ta struktura odpowiada obecnemu zaopatrzeniu, ale liczy-

czonkowskich, nie rekompensuje. Obciążają one nasze koszty i zmniejszają środki na tak niezbędne remonty i modernizację starej bazy. A tylko modernizacja i podnoszenie standardu zapewni nam dopływ klientów, głównie zagranicznych i tych majątniejszych, i tylko wtedy będziemy mogli utrzymać się na rynku, udzielając jednocześnie zniżek prawdziwym turystom, tym „plecakowym”, korzystającym z tańszych noclegów. Stąd nasze działania, aby klientów

DOM z pewnością TURYSTY

szechnie jako „filozofia Kalego”. Stosując tę filozofię w połączeniu z pisanem półprawdy bardzo łatwo osiąga się spektakularny efekt, a o taki prawdopodobnie Autorowi chodziło.

A jakie są realia?

Tak. Trwa – a należy przypuszczać, że będzie, coraz ostrzejsza, bezpardonowa – walka o klienta, zwłaszcza tutaj, w Zakopanem, gdzie w twardych realiach gospodarki rynkowej konkuruje ze sobą wiele, pustawych obecnie, hoteli, domów wczasowych, ośrodków wypoczynkowych dawnych potentatów (huty, kopalnie) i prywatnych pensjonatów.

Jak na tym tle wygląda „Dom Turysty” PTTK im. gen. M. Żaruskiego w Zakopanem? Powstał on w połowie lat pięćdziesiątych – a swoją monumentalnością i rozwiązaniami funkcjonalnymi przystawał do narzucanego wówczas modelu turystyki masowej, obliczanej na „przerobienie” jak największej ilości turystów. Ten model należy już, na szczęście, do przeszłości. Pozostał Dom Turysty, ze swoimi ponad 500 miejscami noclegowymi, rozbudowaną do kilkuset miejsc gastronomią i wieloma pomieszczeniami, których wyposażenie i przeznaczenie nigdy nie było funkcjonalne – łącznie ponad 6000 m² powierzchni, którą trzeba było ogrzać, oświetlić, opłacić podatki...

Dom Turysty pozostał i dalej służy turystom. W nowych warunkach, do których musi się przystosować. I robimy to od kilku lat, tak aby zaoferować swoje usługi każdemu klientowi-turysty, i temu bardziej majątnemu, który szuka wyższego standardu, i temu mniej zamożnemu, ale też oczekującego komfortu, i w końcu, a właściwie w pierwszym rzędzie, tym wszystkim, którzy kochają góry i chcą zamieszkać w przyzwoitych warunkach. W

my się z koniecznością dalszego zwiększenia ilości miejsc o wyższym standardzie – docelowo na pewno do 40-50% – na ten rok planujemy adaptację kolejnych 6 pokoi.

DOM z pewnością TURYSTY – bowiem jako jedyny DT w Polsce udziela zniżek organizacyjnym członkom PTTK we wszystkich kategoriach pokoi. Jak łatwo obliczyć, przy obecnych cenach noclegów – od 60 000 (pokój wieloosobowy) do 250 000 (dwupokojowy apartament z łazienką) – w ciągu 1-2 dni można z niewielką „odspać” roczną składkę członkowską. A suma zniżek to już kwoty niebagatelne – w roku ubiegłym w DT Zakopane to 230 075 000 zł, a w skali całej bazy Towarzystwa – miliardy. Ktoś powie: „To podnieść cenę”. Nie, to już nie te czasy, ceny dyktuje rynek, a on nie daje nikomu 10-20-50 czy 80% zniżek.

Takie są realia.

Pora wrócić do „filozofii Kalego” Autora notatki, który nie wie, albo nie chce wiedzieć, że dotowanie turystyki skończyło się, że sami na wszystko musimy zapracować, że Towarzystwu nikt udzielanych zniżek, wielokrotnie przekraczających wpływy ze składek

hotelowych było jak najwięcej.

Miejsce więc na wyjaśnienie półprawdy o udzielonych przez nas bonifikatach, które rzekomo dyskryminowały członków PTTK.

Tak. Wprowadziliśmy w okresie 5 tygodni (21 lutego – 25 marca) 20% bonifikatę do cen noclegów – paradoks: mimo wspaniałej zimy, po skończonych feriach szkolnych Zakopane opustoszało. Bonifikat udzielaliśmy tylko tym osobom, które mieszkają u nas ponad cztery dni. Przypominam, że zniżki organizacyjne przysługują bez względu na długość pobytu i kategorię pokoju, a praktyka wskazuje, że prawdziwy, ten „plecakowy”, turysta, dla którego są one głównie przeznaczone, mieszka u nas 2-3 dni i... idzie dalej.

Na koniec refleksja – nie sądzę, aby któryś z zasłużonych członków Towarzystwa, wyróżniony tytułem honorowego członka PTTK, chciał połączyć należną mu 80% zniżkę z 20% bonifikatą i... zamieszkać za darmo!

A może właśnie o to Autorowi chodziło?

**Dyrektor DT Zakopane
Andrzej Skąpski**

Oddział Akademicki PTTK w Częstochowie

ul. Akademicka 5, 42-200 Częstochowa

zaprasza do swoich baz namiotowych w Beskidzie Żywieckim:

1. Górską Baza Namiotowa „Klekociny”, czynna 26.06.-3.09.94 r., Koszarawa Bystra, w pobliżu przeł. Klekociny.
2. Górską Baza Namiotowa „Jędrus” w Zawoi, czynna 20.06.-25.09.94 r., Zawoja Widły (Bębny Górn). Rezerwacja i informacja: Zawoja 1023, 34-223 Zawoja III. Baza udziela zniżek PTTK.

Listy, opinie, polemiki...

Chciałbym odpowiedzieć p. Karolowi Jaworskiemu na zarzuty zawarte w liście opublikowanym w nr. 3/57, gdyż tu, jak mi się wydaje, urażona została duma osobista badacza tych terenów.

Pan Jaworski dwukrotnie w liście daje do zrozumienia, z kim powinienem rozmawiać i kogo pytać, negując publikację jako z założenia złą. Tak się składa, że „słyszałem dzwonienie” w Jawo-

na kozły i jelenie mówili *rogoce*, skąd więc takie czyste literacko nazwisko zbójnika? Twierdzenie, że starzy górale nie zmienili nazwy Błatnia na Błotny, tylko współcześni i obcy, tylko w części może być prawdziwe. Dla przykładu, szczyt w Pasemku Pewelskim (stara nazwa Czeretniki też zmieniona!) – Bakow, nazwany tak przez c.k. sztabowców, przyjął się wśród górali. Współ-

Szanowna Redakcjo!

rze, bo często tam bywam, a i różne publikacje czytuję. Ale do rzeczy.

– Notatki o próbach wytopu żelaza w Jaworzu pojawiają się w kilku artykułach i przewodniku J. Polaka „Bielsko-Biała i okolice”, str. 132 (wyd. 1988). Widać przedsięwzięcie nie powiodło się i w późniejszych czasach pracowała huta szkła.

– Nazwę willi „Marysia” usłyszałem w Jaworzu, ale powtarza się ona także w innych artykułach, m.in. Liliany Olchowik w ITM nr 927 i u Moniki Warneńskiej w „Perspektywach”. Widać taka potoczna lub „pieszczotliwa” nazwa istnieje wśród mieszkańców. I bardzo dobrze, że zostało to sprostowane w liście.

– Przyznam, że słuszną uwagę jest data notatki w pamiętniku M. Dąbrowskiej. Powinno być 19 VII, błąd mój, przyznaję.

– Kościół na miejscu dawnej dzwonnicy starego drewnianego kościoła. A ten miał wolno stojącą dzwonicę, a dlaczego ewangelicką? Może wybudowano ją w czasie, gdy był w posiadaniu ewangelików?

I najważniejsza sprawa nazwy: Błatnia czy Błotny, a może Błotna? Nie jestem zwolennikiem „radosnej twórczości” w góskim nazewnictwie i nie ja pierwszy poddaję w wątpliwość niektóre nazwy. Pańskie argumenty, aczkolwiek nie pozbawione racji, jednak nie do końca sprawę wyjaśniają, bo skądże wzięło się „chodzenie na Błotniom” z wyraźnym o zamiast a, czy np. „na Błotnij...” lub „z Błotniej...”? Dawno temu, stary (około 95 lat) gazda, który podobno „chodzował na zbóje”, tłumaczył mi, że za *Klimockim je Błotnio, a potym Skocow*.

Że poprawiono tradycyjne nazwy, to wiadomo nie od dzisiaj, chociażby przykład szczytu nad Wilkowicami w Beskidzie Małym – Rogacz (828 m). O ile mi wiadomo, w okolicy starzy ludzie

cześni mieszkańcy Pewli, Ślemienia czy Hucisk nie używają już nazwy Czeretnik, tylko narzucony im 150 lat temu Bakow. Nie wykluczam, że rozumiem błędnie, ale problem istnieje i bez emocji powinno się uporządkować nazewnictwo, nie tylko Błotnego (Błatni) czy Bakowa. O „fenomenie religijnym” pisałem nie tylko w tym artykule, bo jest to wzorcowe dla innych regionów współżycie religijne, z tego powinniśmy być dumni. A kto i dlaczego siał niepokoje, to powszechnie wiadomo. Swym artykułem chciałem zachęcić turystów górskich, aby trochę dłużej zatrzymali się w Jaworzu. A czy będą zdziwieni? Może i tak, bo zbyt mało pisałem o walorach miejscowości, pozostawiając zachwyty zwiedzającym.

No cóż, zdarzyło mi się napisać artykuł przed ukazaniem się przewodnika (bardzo dobrego), stąd i sprawa. Ależ Panowie! Jest jeszcze tyle możliwości uzupełnienia wiadomości o tym pięknym uzdrowisku! Może, o uzdrowisku bez wód mineralnych, a może o wspomnianej w liście legendzie? Wszyscy chętnie przeczytamy.

Panu Wojciechowi Wiśniewskiemu dziękuję za fachowe uzupełnienie mojego artykułu. Nazwy „Grot” użyłem zgodnie z pierwotną nazwą nadaną jej przez „odkrywców”. Podane publikacje, niestety, nie są powszechnie znane wśród turystów, stąd i moje twierdzenie o nieznaności opisanych obiektów krajoznawczych na turystycznych szlakach.

Łączę pozdrowienia!
Lech Wiewióra

Szanowna Redakcjo!

Bardzo dziękuję za zamieszczenie w kwietniowym numerze „Na szlaku” wspomnianego artykułu Ryszarda M. Remiszewskiego, pt. „Trochę fantazji w górach!”

Panie Ryszardzie!

Jestem Panu bardzo wdzięczna za artykuł, który Pan napisał. Obecnie, w dobie bardzo racjonalnego i materialistycznego podejścia do życia i wszystkich jego aspektów, Pański artykuł wydaje mi się szczególnie cenny. On pobudza wyobraźnię, przydaje skrzydeł duszy i rozradowuje.

Ja bardzo lubię góry, boję się powiedzieć: kocham, bo nie chcę nadużywać wielkich słów, ale bez gór nie wyobrażam sobie życia. Wędrówka po górach i podziwianie ich piękna i majestatu jest tym, co napełnia mnie szczęściem. Góry, bez względu na porę dnia, porę roku czy pogodę, są wspaniałe i zachwycające, i przyciągają mnie niczym magnes. Góry stanowią dla mnie sanktuarium. Bardzo cieszę się z tego, że są ludzie, którzy widzą w nich coś więcej niż kupę kamieni lub możliwość zaliczenia jakiejś wysokości nad poziomem morza.

Andrzej Jakub Mularczyk w swoim wierszu pt. „Adresat” napisał:

Kiedy piszę
chciałbym aby wiersz
napisany przed chwilą
stu profesorów czytało
przez sto dni i kręciło
głowami
Innym razem aby ten wiersz
który poprawiam po raz setny
i nie jestem pewien jego końca
przeczytała stara kobieta
z jedenastego piętra
której kupuję mleko i bułki
I później chciała
czytać go po raz drugi.

Myślę, że Pański artykuł wart jest tego, by czytać go raz, drugi, trzeci... Ja, w każdym razie, to uczyniłam. Dziękuję za niego.

Bogusława Kulicka
z Białogostoku

GÓRY OPAWSKIE JUŻ SĄ!

Informujemy, że ukazał się nowy przewodnik „Góry Opawskie” Marka Sitko, zawierający ogromną porcję wiadomości na ich temat. Na ponad 200 stronach zamieszczono 70 ilustracji: rysunków, mapek, rzutów i panoram.

Zamówienia prosimy przysyłać na adres: Oficyna Wydawnicza SUDETY, 50-106 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, tel. 386-69, fax 367-46.

Listy, opinie... w sprawie GOT

Pragnąłbym oddać swój głos w sprawie artykułu Tomasza Tracza „Zmienić regulamin dużej GOT”. W odróżnieniu od autora nie będę się długo wahał z podjęciem tematu. Nie rozumiem, w jaki sposób kolega Tomasz jest zmuszany do powtarzania tras w ramach zdobywania dużej GOT. Moim zdaniem, jest chyba „geniuszem”, skoro zna na pamięć lub przeszedł 6 grup górskich, Góry Świętokrzyskie i Tatry, bo tyle należy „dokonać” chcąc zdobyć dużą GOT. Należy

ciągnąć kontakt z górami. Wcale nie jestem starym działaczem i w ogóle działaczem. Jestem akurat w tym wieku, gdy starzy działacze powiedzieliby: smarkacz, a kol. Tomasz nazwałby mnie wapniakiem, skrupiakiem czy czymś podobnym. Wcale nie uważam, że się jakoś przemęczyłem z tym regulaminem. Kolega po prostu chce pójść na łatwiznę i dalej być ograniczony punktami jak nowicjusz.

A propos realiów gospodarczych. Jak

Zdobyć dużą GOT

przyjąć, że kolega, nie zadając sobie trudu, z góry zanegował regulamin, a właściwie dużą GOT. Tak więc, według autora, znalazłem się w grupie elitarnych zdobywców dużej GOT. Nie przeczę, że tak być może jest, każdy, który wykonał dużą normę GOT, to jest gość, czyli turysta przez duże „T”. Nie jest to już zwykły, bezmyślny deptacz gór (przepraszam wszystkich, którzy poczuli się obrażeni za takie porównanie), lecz osoba, która posiada już duży zasób wiedzy o górach oraz bogaty bagaż doświadczeń. To turysta, który jest zamiłowany w górach i nie jest dla niego trudnością poświęcić aż 7 dni w górach (w większości stanowi to urlop), aby „zrobić” jedną grupę górską.

Nie mogę się zgodzić ze stwierdzeniem o przymusowych punktach pośrednich, które trudno łożyć w sensowną całość. Najwidoczniej brak tu komuś paru map i odrobiny wyobraźni. Gdy kończyłem małą GOT, marzyłem o możliwie najszybszym rozpoczęciu dużej normy. Albowiem tu właśnie nie obowiązywały mnie żadne punkty, limity dzienne. Mogłem bez żenady chodzić na skróty, chodzić poza szlakami (z wyjątkiem Parków Narodowych i rezerwatów) i naprawdę poznać góry takie, jakie są naprawdę. Nic tak nie poprawia samopoczucia, jak

w dzisiejszych czasach można sobie wyobrazić wyjazd na dwa dni co tydzień (konceptja kol. Tomasza) w celu zdobycia dużej GOT, czyli 8 grup górskich? Kolega jest chyba krezusem. Następną sprawą: ile należałoby, zdaniem autora, zdobyć punktów? Tak dla zachęty proponuję 7, 8 i 10 tysięcy, może będzie dla kolegi w sam raz. Następne pytanie, które się nasuwa, to na ilu punktach pośrednich autor był (i czy wie, że są to akurat miejsca naprawdę warte „zaliczenia”, a na ogół pomijane), że tak zaciekle walczy o swoją wolność w dobie demokratyzacji, chcąc jednocześnie ograniczyć się punktami przy zdobywaniu norm na dużą GOT.

Wykreślenie całego § 18 z regulaminu GOT to nic innego, jak tylko pójście na łatwiznę. Nasuwa się smutny wniosek. Najlepiej nie wykonywać żadnego ruchu, bo wysiłek może zaszkodzić, a już nie byłoby w dobrym tonie zapocić koszulkę.

Pomimo tego, co napisałem, przypuszczam, że największym problemem kol. Tomasza jest brak odpowiednich towarzyszy na wędrowkę po dużej GOT i stąd ta krytyka regulaminu GOT.

Bardzo serdecznie pozdrawiam całą Redakcję „Na szlaku”

Bogusław J. Polak

Z DRUGIEJ STRONY

Nasz miesięcznik jest miejscem, płaszczyzną, na której spotykają się różni autorzy prezentujący różne poglądy i punkty widzenia. Niektóre polemiki i dyskusje ciągnęły się lub ciągną przez wiele kolejnych numerów. Nie wnioskuję w to, czy to dobrze, czy nie, ważne, że jest takie pismo, które pozwala turystycznej braci spotykać się na jego łamach. Bywa, że niektóre problemy prezentowane są z jednego punktu widzenia. Jest tak często, kiedy piszemy o stosunkach z parkami narodowymi, o schroniskach, o tym, co nas gnębi na szlaku.

Pojawiają się więc opinie, że bywamy jednostronni w ocenach różnych zjawisk i problemów. Owszem, tak bywa. Ale nie ma żadnych przeszkód, by osoby czy środowiska, o których piszemy, wyartykułowały swoje poglądy w sprawach interesujących obie strony. Pozwolę sobie wrzucić kamień do ogródka TPN-u. Nasze pismo jest dostępne w Zakopanem. Można je kupić w księgarni Domu Turysty. Dlaczego nikt z Parku nie zainteresował się poglądami turystów? My nie możemy i nie musimy znać wszystkich problemów Parku, natomiast Park, jako instytucja mająca służyć społeczeństwu (bo chyba nie sobie), powinien interesować się poglądami ludzi chcących korzystać z urody Tatr. Wydaje mi się, że również na łamach „NS” dy-

rekcje parków mogłyby prezentować regulaminy i zarządzenia, a przede wszystkim dyskutować z naszymi poglądami. Tymczasem nasze poglądy i problemy są ignorowane. Zapraszam „drugą stronę” do korzystania z naszych łamów, zwłaszcza, że ani „Parki Narodowe”, ani „Tatry” nie ukazują się tak regularnie, jak „NS”. Również słowa oceny, a często krytyki pod adresem schronisk trafiają w próżnię. Dlaczego? Czy kierowników (szkoda, że nie gospodarzy) schronisk nie obchodzi, co turyści sądzą o prowadzonych przez nich obiektach? Tak źle chyba nie jest. Zabiegani i zmęczeni nie mają czasu, by prezentować swoje problemy, o których my nic nie wiemy, przez co często nie rozumiemy sytuacji zastanej w jakimś schronisku. Ja ze swej strony obiecuję, że w miarę możliwości będę przedstawiał także problemy „drugiej strony”.

Juliusz Wystouch

Od Redakcji: Wielokrotnie zapraszaliśmy różne ministerstwa, dyrekcje parków narodowych i nasz własny ZG PTTK do skorygowania z naszych łamów. Niestety, nic z tego. A pierwsi kierownicy schronisk już się zgłosili. Podtrzymujemy swoją propozycję do wszystkich!

Szanowna Redakcjo!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie poniższej wypowiedzi. W zasadzie jestem przeciwny sporom czytelnym jedynie dla hermetycznej grupy tzw. „działaczy” górskich, ponieważ ogranicza to treść merytoryczną pisma, ale tym razem rzecz zadręcza o „imponderabilia”.

W odpowiedzi na zmiany regulaminu GOT

Całkowicie nie zgadzam się z propozycjami zmiany regulaminu GOT wysuniętymi przez kol. Tracza. Błąd w rozumowaniu kol. Tracza polega na innym pojmowaniu idei GOT, niż mieli to na myśli twórcy odznaki. Dla mnie ta idea wyraża się w maksymie: „chodzimy w góry dla przyjemności, a odznakę zdobywamy przy okazji”. Od trzydziestu lat jestem przodownikiem GOT i zawsze starałem się, aby zdobywanie GOT nie stało się celem samym w sobie, tak dla mnie, jak i dla tych, których prowadziłem w góry.

Jeżeli dla kol. Tracza przyjemność wędrowania po polskich górach to jedynie sobotnio-niedzielne wycieczki, powinien poprzestać na małych stopniach GOT. Jednak istnieją ludzie, którym przyjemność sprawia wielodniowa włóczęga z plecakiem od schroniska do schroniska, albo z własnym namiotem. Celem jest tu nieprzerwane przejście pasma górskiego, zaplanowanie, a potem zrealizowanie, wędrowki, uwzględniając aspekty krajoznawcze, możliwości noclegowe, aprowizacyjne itp. Rzecz więc polega nie na umożliwieniu zaliczania kolejnych punktów za zdobywanie szczytów i przełęczy, ale na pokazaniu innego sposobu wędrowania po górach. To jest właśnie duża GOT.

Kiedy w 1953 r. podczas studenckich wakacji zaplanowałem i przeszedłem trasę: Mszana Dolna – Turbacz – Gorc – Lubań – Czorsztyn – Bukowina Tatrzańska – Tatry, nie słyszałem w ogóle o istnieniu GOT. Kiedy w 1964 r. przeszedłem w 24-dniowej nieprzerwanej wycieczce ze Stuposian do Wisty, największą satysfakcję sprawiło mi nie zdobycie dużej złotej GOT, ale sprostanie wyzwaniu przejścia polskich Beskidów w ciągu jednej wyprawy. Potem wędrowałem w Karpatach rumuńskich i górach bułgarskich. Teraz, gdybym był młodszy, pojawiłyby się na pewno wyprawy trekkingowe do Nepalu. Ale jeszcze nęcą nareszcie dostępne Gorgany i Czarnohora...

To wszystko napisałem nie dla chwaleń, ani z powodu starczej zgryźliwości – „niech i inni się męczą” – ale dla pokazania, że jest różne przeżywanie gór.

Andrzej J. Wiśniewski
Hon. Przodownik GOT nr 145

Regulamin GOT przed reformą?

Czy potrzebne są zmiany w Regulaminie Górskiej Odznaki Turystycznej? Skoro na ten temat podejmowane są dyskusje, czy wypowiedzi na łamach czasopism turystycznych, to należy się liczyć z tym, że prędzej czy później Regulamin GOT reformy się doczeka. Dlatego pozwoliłem sobie skreślić kilka własnych i nie tylko własnych przemyśleń na ten temat.

Jestem przodownikiem GOT, posiadam dużą złotą odznakę i zbieram punkty na normy „Za Wytrwałość”. Piszę to nie dlatego, żeby się chwalić, ale żeby określić się jako ten, który jeżeli chce reformować regulamin, to nie dlatego, żeby było mi łatwiej. Z drugiej jednak strony nie chcę być poświadczony o to, że skoro ja mam, to niech inni też się męczą.

Staralem się w ostatnim czasie pilnie śledzić to, co na ten temat napisano, przede wszystkim w „Na szlaku”. Zaczę od problemu Przodownik GOT i posiadany przez niego stopień odznaki w momencie zdawania egzaminu na Przodownika. Uważam, że kandydat na Przodownika GOT musi posiadać dużą brązową odznakę, ponieważ jej zdobycie uczy odbicia wielodniowej wycieczki w górach. Jest to praktyczny sprawdzian nie tylko dla niego, ale ponieważ gwarantuję, że wie, jak taka wielodniowa wędrówka w górach wygląda. Przecież może się zdarzyć, że przodownikowi przypadnie prowadzenie obozu wędrówkowego lub właśnie wielodniowej wycieczki dla zdobywców dużych GOT, więc niech lepiej wie, jak praktycznie taką wycieczkę zorganizować...

Zgodnie z regulaminem, odznaki od popularnej do małej złotej można zdobywać w ciągu 4 do 11 lat. Weźmy tę górną granicę, dodajmy do tego 4 lata na przerwy między zdobywaniem poszczególnych odznak i wyjdzie 15 lat. Niech będzie to dotyczyło osoby, która zaczęła zdobywać GOT od 15 roku życia i otrzymujemy wiek około 30 lat. Może więcej, może mniej. Dla mego toku myślenia nie jest to aż tak ważne. Ale jak umożliwić takiej osobie dalszy kontakt z GOT, skoro nie chce lub nie może zdobywać dużych GOT? W tym miejscu mam taki pomysł. Według regulaminu maksymalny czas zdobywania dużych odznak GOT to 8 sezonów. Po zdobyciu dużej złotej GOT i spełnieniu 7 norm na dowolny stopień odznaki otrzymuje się odznakę „Za Wytrwałość”. I teraz, czy odznakę „Za Wytrwałość” nie mogliby zdobywać posiadacze małej złotej GOT i dużej złotej GOT, tylko, że ci pierwsi po spełnieniu 15 norm, a ci drudzy bez zmian 7 norm. Ktoś zauważy, że to pomysł zaczerpnięty z regulaminu OTP i wcale się nie pomyli...

Co zrobić, jeżeli ktoś zaczął zdobywać normy „Za Wytrwałość” i raptem zapragnie zdobywać duże odznaki GOT? Wtedy taka osoba musiałaby zdobyć wszystkie stopnie dużej GOT, a zdobyte normy na odznakę „Za Wytrwałość” zawieszono zostająby do czasu zdobycia dużej GOT. Gdyby ktoś miał spełnionych, po małej złotej GOT, powiedzmy 8 czy 10 norm na „Za Wytrwałość” i po zawieszeniu tych norm zdobył wszystkie duże GOT, mógłby otrzymać również odznakę „Za Wytrwałość”...

Wydaje mi się, że głosy o spadku atrakcyjności dużych GOT częściowo są słuszne. Na własnym przykładzie wiem, że podane punkty wyjściowe i końcowe oraz punkty pośrednie naniesione na mapę w pierwszym momencie doprowadzały, delikatnie mówiąc, do złości. Jak tu

ułożyć logiczną 7-dniową (minimum) wycieczkę, bez powtórzeń, bez jazdy autobusem i na miarę sił?... Niektórych ze wskazanych w regulaminie punktów nigdy bym nie odwiedził, gdyby nie konieczność właśnie regulaminowa. A może o to chodziło twórcom regulaminu, aby być tam, gdzie niewielu chodzi. Tylko, że jeszcze nie tak dawno było lepiej z możliwością noclegów. Nie mówię o tak dawnych czasach, jak stacje turystyczne PTTK... Jeżeli muszą być punkty pośrednie, to może dodać jeszcze kilka innych, przy pomocy których byłoby łatwiej zaplanować wycieczkę. Albo po dodaniu tych nowych dopuścić możliwość wyboru dwóch dowolnych punktów na trasie, tak aby w sumie było ich siedem. Przecież i tak trzeba wykazać je w książeczce referując przebieg trasy. Nie raz brakowało mi właśnie takiego punktu, żeby było „prosto”. Przecież w innym miejscu regulamin dopuszcza przejście trasą, która nie jest opisana w regulaminie, i samemu policzenie sobie punktów. Z kolei, ten kto zdobył 1260 punktów, realizując małą złotą GOT, trochę po różnych grupach górskich musiał pochodzić. Więc przy pewnym uelastycznieniu regulaminu może zachęciłoby to niektórych do zdobywania dużych GOT.

Jeszcze jedna refleksja na temat upływającego czasu, co nie bardzo zostało w regulaminie ujęte. Jak wcześniej wspominałem, wszystkie małe odznaki można zdobyć w ciągu 4-11 lat. Znowu weźmy tę górną granicę, dodajmy do tego 8 lat na zdobywanie dużych stopni GOT i jeszcze 7 lat na odznakę „Za Wytrwałość”, to wyjdzie nam 26 lat, rok po roku wyjazdów w góry i zdobywania punktów lub robienia tras. Jeżeli zacznie to dziecko w wieku lat dwunastu, to już jako osoba dorosła w wieku 38 lat zakończy cykl zdobywania odznak. Oczywiście, odpowiadając z góry ewentualnym oponentom, cały cykl można zrobić w ciągu 14 lat, tylko trzeba mieć na to czas, pieniądze i kondycję. Jeżeli przyjmujemy, że w II kategorii wiekowej dziennie, maksymalnie, można zdobyć 30 punktów, to trzeba na to 20 dni, a w kategorii III (po 40 punktów na dobę) 18 dni, aby

zdobyć małą złotą GOT. Pewnie są tacy, którzy to robią, ale generalnie cykl zdobywania odznak jest bardzo długi. Aby zdobyć następną odznakę „Za Wytrwałość” wszystko trzeba zaczynać od nowa, jedynie wolno już od początku chodzić po Tatrach. Może co niektórym życia starczy na drugą odznakę „Za Wytrwałość”, może są i tacy, którzy zdobyli trzy odznaki, ale większość po zakończeniu cyklu nie podejmuje już zdobywania GOT od nowa. A może znowu śladem regulaminu OTP ustanowić trzy stopnie, a może pięć stopni „Za Wytrwałość” bez potrzeby powtarzania wszystkiego od nowa?

Byłem na spotkaniu aktywu górskiego połączonego z wyborem nowej KTG i wiem, że problem zmian w regulaminie nie jest jej obcy. Wiem, że KTG zbiera wszystkie opinie i pomysły na ten temat i ostrożnie bez nerwowego pośpiechu je analizuje. Myślę jednak, że dobrze by było, gdyby KTG ZG wyszła naprzeciw toczącej się dyskusji i przedstawiła tezy: myśl, jaka powinna przyswiecać przyszłym zmianom w regulaminie. Przecież nikt z wypowiadających się przede mną, jak i ja sam, nie chcemy likwidacji odznaki, nie chcemy ułatwień, jak i obniżania wymogów GOT wobec przyszłych przodowników. Chcemy natomiast, aby odznaka stała się bliższa obecnej rzeczywistości. Zmian w regulaminie można by dokonać przy jednoczesnym uaktualnieniu spisu wycieczek punktowanych do GOT. Powstałe możliwości wycieczek przygranicznych, szczególnie w Sudetach, jak i wytyczenie nowych szlaków z jednej strony, z drugiej natomiast dokonanie koniecznych korekt lub uzupełnień obecnego wykazu, składającą do szybkiego uaktualnienia tej części regulaminu. Myślę, że przodownicy GOT, jak i zdobywający tę odznakę, mogliby kierować swoje spostrzeżenia, uwagi i wnioski bezpośrednio do KTG ZG lub delegatur KTG Sudeckiej lub Beskidzkiej.

Andrzej Gumowski

Od Redakcji: Do czego gorąco, po „rozkręceniu” dyskusji, zachęcamy.

Zmienić Regulamin GOT

Krajoznawstwo i turystyka służą wzbogaceniu wiadomości..., kształceniu społeczno-moralnemu, estetycznemu i zdrowotnemu, ...stanowią one swoiste formy aktywności intelektualnej, emocjonalnej, społecznej i zdrowotnej. Powołaną myśl przedstawił prof. Kazimierz Denek w „Na szlaku”, nr 2/56.

Dodam od siebie: a Górską Odznakę Turystyczną niech będzie miłą sercu pamiątką takiej właśnie aktywności krajoznawczej i turystycznej.

1. Wystąpienie Tomasza Tracza w „Na szlaku”, nr 4/58, o potrzebie zmiany zasad zdobywania dużych stopni GOT godne jest wsparcia. Przytoczone argumenty potwierdzam własnym doświadczeniem. Punkty od popularnej do małej złotej GOT zdobywałem w czasie rodzinnych wyjazdów urlopowych, a także w indywidualnych wycieczkach i podczas rajdów.

Książeczka GOT od kilku lat upamiętnia przebyte szlaki i odwiedzane schroniska.

Z całego dorobku punktowego prawie trzy czwarte to potwierdzenia wędrówek po Sudetach. Na szlaku zaliczyłem większość punktów pośrednich wymienionych w „Spisie wycieczek...”

Moje widzenie sprawy oraz suma znanych mi odczuć innych turystów kwestię otwarcia GOT na szeroko rozumiane krajoznawstwo i turystykę uważa za konieczną do rozwiązania.

2. Powracającej na łamy „Na szlaku” dyskusji proponuję nadać konkretny kształt. Proponowane zmiany Regulaminu GOT zachowują jego dotychczasowy kształt punktowy w ogólnej ich wartości w popularnej i małej GOT. Odchodzi od krytykowanej elitarności dużych GOT. Natomiast nadają charakter elitarności tytułowi „Przodownik turystyki górskiej PTTK”.

Janusz W. Maciejewski

Od Redakcji: Autor załączył gotową propozycję nowej wersji Regulaminu GOT. Zamieszczenie jej przekracza, niestety, nasze możliwości. Materiał ten przekazaliśmy KTG ZG PTTK do dalszego wykorzystania. Sądząc po ilości skierowanych do nas wystąpień, i zajmie się ostatecznie zgłoszonymi sugestiami.

Recenzje

Stopniowy powrót zainteresowań Huculszczyzną i Czarnohorą datuje się jakoś od 1980 roku, kiedy to SIW „Znak” wydał tom esejów Stanisława Vinceza „Z perspektywy podróży”. Zataczają owe zainteresowania, zwłaszcza w 2 połowie lat osiemdziesiątych, mając za punkt centralny cały czas „Homera Huculszczyzny” i jego na nowo odkrywaną literacką spuściznę, coraz szersze kręgi, by od 1989 r., gdy stopniowo otwierają się granice państw, przybrać na sile – w sposób i lawinowy, i jakby bardziej różnorodny, pełny. Bo

Znaczące na jej mapie, bo wszelakimi kulturowymi wyobrażeniami otoczone, stały się w pierwszym rzędzie: uzdrowisko Burkut, zagłębia czarnohorskiej turystyki – Zabie i Worochta, schronisko na Zaroślaku, obserwatorium astronomiczne na Pop Iwanie.

Po II wojnie światowej stała się Czarnohora dla Polaków, zrzuceniem praw historii, jedynie górami utraconymi, a przez to jakby jeszcze bardziej mitycznymi, jedynie fantazmatem. Z różnym skutkiem próbowały ją od 1947 r. zastąpić, jako początkowo nieświadoma

przewodnik po Czarnohorze. Trudno za taki byłoby uznać dwa dawne i wielce zdeaktualizowane czarnohorskie przewodniki: „Wschodnie Karpaty” (1914 r.) i „Krótki przewodnik po Huculszczyźnie” (1933 r.), a takie właśnie ostatnimi czasy ukazały się jako reprinty. W pełni temu zapotrzebowaniu sprostać może „nie tylko przewodnik” Marka Olszańskiego i Leszka Rymarowicza „Powroty w Czarnohorę”.

„Powroty w Czarnohorę” to nie tylko przewodnik turystyczny *sensu stricto*, to także swego rodzaju kompendium wiedzy o Czarnohorze, próbujące wszechstronnie zapre-

POWROTY W CZARNOHORĘ...

zentować i samo bogactwo tej czarownej górskiej krainy, i wieloletni wkład Polaków w jej rozwój. Autorzy prezentują tedy, jak to w klasycznych przewodnikach bywa, podstawowe dane o budowie geologicznej Czarnohory, o jej klimacie, faunie i florze, o dawnych i obecnych mieszkańcach, opisują warunki i możliwości, w jakich przyjdzie potencjalnym turystom przemierzać owe góry, ale też ukazują głęboko z polskością związaną przeszłość tych gór, ich dzieje jako pasma granicznego, jak je ongiś odkrywano i jak po nich turystycznie wędrowano, historię ich schronisk, je same jako *leitmotiv* polskiej sztuki, literatury, malarstwa, filmu.

Właściwa część przewodnika „W Czarnohorze dzisiaj”, złożona z opisów szczytów górskich, dolin, rzek, zagubionych między nimi miejscowości, szlaków turystycznych i schronisk, jest objętościowo niewielka, a wszelkie *stricte* turystyczne rady i wskazówki Olszańskiego i Rymarowicza wydają się co najmniej enigmatyczne i jako takie mogą irytować, niemniej taka jest w tych górach rzeczywistość – zdumiewający brak infrastruktury turystycznej.

Jej znikomość zmusza wprawdzie turystów do samodzielności i rzetelnego wysiłku, ale potęguje ich emocje, przeżycia, wrażenia, doznania. Godne uwagi jest to, iż autorzy „Powrotów...” przewidując wobec takiego czarnohorskiego stanu rzeczy uprawianie turystyki „na dziko”, usilnie przestrzegają swych „podopiecznych” przed grozącymi im ewentualnie niebezpieczeństwami oraz gorąco apelują o nie stwarzanie jakichkolwiek w górach zagrożeń ekologicznych.

„Powroty w Czarnohorę” opatrzone są zwyczajowo skorowidzem nazw geograficznych, nazwisk, organizacji i instytucji, ale mają ponadto wklejoną na ostatniej stronie (wewnętrznej) okładki panoramę Czarnohory „rozrysowaną” z Kostrzycy, bogaty materiał zdjęciowy oraz dołączoną do całości mapę tych gór wykonaną w podziale 1: 100 000, z zaznaczonymi czerwonym kolorem trasami wędrowek opisanymi w przewodniku.

Wszystko to sprawia, iż przewodnik autorstwa Olszańskiego i Rymarowicza uznać wypadnie za pionierski i za, dla turysty wybierającego się w Czarnohorę, niezbędny.

Andrzej Burghardt

Marek Olszański, Leszek Rymarowicz, *Powroty w Czarnohorę. Nie tylko przewodnik*. Pruszków 1993. Oficyna Wydawnicza „Rewasz”, ss. 256.



W Czarnohorze. Foto: autor

Sądzę, iż zainteresowani górami czytelnicy nie mogą ostatnimi czasy utyskiwać na brak dobrej i zajmującej lektury górskiej. Szczególnie powinni być zadowoleni miłośnicy wspinaczki wysokogórskiej. Do nich to bowiem adresowane są sukcesywnie ukazujące się

czyli i przygotował ewentualnym kontynuatorom-antologom ramy postępowania. Potrzeba bowiem powołania do literackiego życia antologii „małych form górsko-wspinaczkowych”, rozsianych po różnorodnych wydawnictwach zwartych i czasopiśmienniczych, które ukazały się

lizmu („Taternik” 1-2/63) oraz „Lawinę” i „Ścianę lęku” J. Długosza, który, jak dowodził powielokrotnie tutaj przywoływany J. Kolbuszewski, pierwszy na początku lat sześćdziesiątych kładł kres literackiej amatorszczyźnie taterników, a świadomie uprawiając opowiadanie i nowelę, przy-

„Takiej książki dotąd nie mieliśmy...”

czasopisma „Góry”, „Optymista”, a i pośrednio, „Na szlaku”, „Wierchy”, „Pamiętnik PTT”. Z myślą o nich wydawane są również wszelakie o treści alpinistycznej książki, np. R. Messnera „Siódmy stopień”, A. Machnika „Na kolanach do koryta”, Z. Wacha „Biwak nad Białą Wodą”. Zainicjowane zostały także cenne serie: „Klasyka literatury górskiej” (gdańskie Wydawnictwo „Granit”: J. Długosz „Komin Pokutników”, A. Skoczylas „Cztery dni słońca”) oraz „Literatura górską na świecie” (katowickie Wydawnictwo „Stapis”: J. Simpson „Dotknięcie pustki”, antologia „Najlepsze polskie opowiadania o górach i wspinaniu”.

Antologia małych form literackich górsko-wspinaczkowych, opracowana przez Jana Gondowicza i Wacława Sonelskiego, „Najlepsze polskie opowiadania o górach i wspinaniu”, która stanie się przedmiotem niniejszych recenzentkich rozważań, nie jest, jakby się po lekturze rekomendacji książki pióra Jacka Kolbuszewskiego, zamieszczonej na skrzydełku obwoluty, wydawać mogło, w kontekście szeroko pojmowanego rodzimego piśmiennictwa taternickiego i alpinistycznego, pozycją wyjątkową. Nie jest pozycją wyjątkową, a to z tegoż względu, że podobną formalnie i treściowo antologię sporządził już swego czasu (1976) właśnie J. Kolbuszewski.

„Czarny Szczyt”, bo tak ją twórca zatytułował, była wyborem prozy taternickiej (głównie bujałek i wypowiedzi z zakresu ideologii górskiej) i obejmowała swym chronologicznym zasięgiem lata 1904-1939. Jej sporządzenie i wydanie w tzw. „serii tatrzańskich” śmiało możemy dziś uznać za ważne wydarzenie literackie. W stosunku zaś do „Najlepszych polskich opowiadań...” – na pewno za prekursorskie. Kolbuszewski zrealizował wówczas z jednej strony pomysł wydania „wypisów tatrzańskich”, rzucony bodajże po raz pierwszy jeszcze w 1934 r. w „Notach” „Kamieny” (nr 8-9/34) i wielokrotnie potem przypominany przez J. A. Szczepańskiego, z drugiej zaś – wyty-

po II wojnie światowej, ze względu na kulturalne wartości polskiego taternictwa i alpinizmu wydawała się od dawna jak najbardziej zasadna.

Powinny być zatem „Najlepsze polskie opowiadania...” postrzegane jako logiczna, w sensie chronologicznym, a i częściowo formalno-treściowym, kontynuacja „Czarnego Szczytu”. O ile jednak J. Kolbuszewski jako prekursor pewnych błędów w układaniu swej antologii nie uniknął, np. zamieścił niektóre teksty artystycznie słabe, ze szkodą dla innych, lepszych, ciekawszych, ważniejszych, nie ograniczył się do omawianej we własnej przedmowie jednorodności gatunkowej wybranych tekstów (bujdałki), na co zgodnie wskazywali J. Gondowicz i J. A. Szczepański („Taternik” 2/77, „Wierchy” R. 47), o tyle praca Gondowicza i Sonelskiego wydaje się być od nich wolna.

Są bowiem pomieszczone w niej, zgodnie z jej (zauważmy – pojemnymi!) tytułem, wyłącznie opowiadania o górach i wspinaniu. Przy tym są to opowiadania rzeczywiście z napisanych w ostatnim półwieczu (dokładnie: między rokiem 1956 a 1993, wyjąwszy jednakże „Rzecz o duchach” W. Żuławskiego i „Zdobywanie rekordu” J. A. Szczepańskiego – te powstały jeszcze w międzywojniu) najlepsze, opowiadania autorów będących bądź uznanymi pisarzami (S. Lem, M. Nowakowski), bądź legitymującymi się nierzadko wysokiej próby talentem pisarskim (J. Długosz, A. Skoczylas, T. Łubieński, M. Jagiełło, W. Kurtyka). Kilka z nich ponadto swego czasu spełniło, ze względu na swą artystyczną wartość, znaczącą, by nie rzec, przełomową rolę. Myślę tu przede wszystkim o „Najprostszej” A. Ziemińskiego, która w końcu lat pięćdziesiątych była pierwszą próbą „przeskoku” od wszechwładnie w literaturze górskiej panującego reportażu, wspomnienia, bujałki ku fikcji literackiej, była, jak pisał A. Grzybowski („Taternik” 1/59), „jaskółką” autentycznej literatury. Mam tu na uwadze również „Pocztówkę” T. Łubieńskiego, powstałą na początku lat sześćdziesiątych, w której J. Kolbuszewski dopatrzył się, dotychczas nieobecnego nieomal w literaturze górskiej, uniwersa-

wrócił pisaniu o górach sens, przybliżył to pisanie do literatury oficjalnej („Taternik” 1-2/64, 3/67). Tymi tropami poszli inni – A. Skoczylas, A. Bilczewski, A. Wilczkowski, M. Jagiełło – i literatura o górach i wspinaniu stawała się formalnie coraz bardziej wyszukana i wyrafinowana, treściowo zaś za przedmiot swoich rozważań obierała coraz częściej przede wszystkim człowieka, jego bytność w górach pojmowaną z reguły jako walkę z samym sobą, jako próbę intensywniejszego odczucia własnego życia, wreszcie, jako próbę sprawdzianu własnego człowieczeństwa w kontaktach z innymi ludźmi-partnerami wysokogórskich wspinaczek i wypraw. Góry w owej literaturze przestawały być, jak to zazwyczaj wcześniej bywało, właściwym bohaterem, a stawały się niejednokrotnie ledwie sztafetażem.

Ma ponadto owa antologia jeśli nie celowo zamierzoną (co wynika z nieco przewrotnego wstępu Sonelskiego), to w każdym razie widoczną wewnętrzną konstrukcję. Ramy owej konstrukcji wyznaczają – z jednej strony mocno jeszcze kształtem tworzywa językowego i treścią w okresie międzywojennym, a nawet w modernizmie, osadzone impresje wspomnieniowe W. Żuławskiego („Rzecz o duchach”) i J. A. Szczepańskiego („Zdobywanie rekordu”), w widomy sposób korespondujące z prezentującym tamte czasy wyborem tekstów taternickich z „Czarnego Szczytu”, z drugiej zaś – daleko w przyszłość, w niewiadomą sięgająca jedna z opowiadań science-fiction S. Lema o pilocie Pirxie „Wypadek”. Pośrodku tych ram antologodzy pomieścili dwadzieścia dwie inne opowiadania. Układają się one w szalenie bogatą paletę różnorodnych niewielkich epickich form gatunkowych i zamykają w swych artystycznych kształtach całe bogactwo treści obrazujących wszelakie związki człowieka z górami. Są zatem „Najlepsze polskie opowiadania...”, jak się wydaje, *sui generis* górsko-literackim panopticum.

Najwięcej jest wśród tych opowiadań opowiadań. I tak przykładowo w „Najprostszej” A. Ziemińskiego oraz w „Sizalu” J. J. Szczepańskiego bohaterowie-wspi-

nacze w okresie okupacji hitlerowskiej odnajdują w Tatrach przede wszystkim krainę niewiarygodnej wolności, ale zmagają się nie tyle z granitowymi ścianami, ile z problemami czasu pogardy i własnego, w nim niejako uwięzionego, losu. W „Sznurowadłach” A. Bilczewskiego na tle wspinaczki na Grandes Jorasses skreślony został image legendarnego ongiś w środowisku taternickim „Druciarza” (Jerzego Rudnickiego, „Optymista” 6/88), w „Papierowych górach” M. Jagieli obsesyjna miłość do Tatr przeradza się w schizofrenię, zaś w „Liście stamtąd” A. Wilczkowskiego himalaista „spisuje” w podszczytowym obozie swe ostatnie przed śmiercią życiowe credo...

Ale znajdujemy wśród nich bardziej wykwintne i wyrafinowane formy artystycznej epickiej wypowiedzi. Tak zatem – przykładowo – w filozoficznej opowieści J. Strzeleckiego „Książka o górach” (fragmenty) góry stają się miejscem inicjacji i wtajemniczenia, „naszym miejscem” na ziemi. W grotesce „Ze wspomnień starego wspinacza” autor, ukryty pod pseudonimem Zez, bezlitośnie wykreowuje „koślawy” obraz bohatera, którego góry społecznie nobilitowały, ale i zniszczyły, w satyrze C. Momatiuka „Na wagę złota” narrator wykpiwa taternicko-finansową pazerność...

Jednakowoż za minus Gondowiczowi i Sonelskiemu poczytywać wypada, iż nie opatrzyli swej antologii (jak to zwyczajowo się przyjęło) obszerną i kompetentną przedmową. Pozwoliłaby ona bowiem czytelnikowi zgłębić swą górsko-literacką wiedzę, świadomiej smakować treść opowieści, swobodniej poruszać się w gąszczu różnorakich, nie raz zupełnie nieznanym mu problemów.

Niemniej, tak skonstruowana antologia „Najlepsze polskie opowieści o górach i wspinaniu” obrazuje najnowszy w czytelniczej, szerzej nawet – społecznej percepcji literacki wizerunek gór, ludzi gór i, jak słusznie napisał na skrzydełku obwoluty J. Kolbuszewski, jest książką, jakiej „dotąd nie mieliśmy”.

W czasach, gdy w zastraszającym tempie giną naturalne krajobrazy górskie, gdy wspinaczka „wywędrowała” poza granice gór do sportowych hal i stała się wyłącznie sportem, gdy kurczą się i blakną „wewnętrzne górskie pejzaże”, potrzeba zaistnienia wśród czytelników takiej książki wydaje się być bezsporna.

Andrzej Burghardt

Najlepsze polskie opowieści o górach i wspinaniu. Wybór: J. Gondowicz i W. Sonelski, Wyd. „Stapis”, Katowice 1993, ss. 260.

Monografia Wałbrzycha

Po dłuższej przerwie otrzymaliśmy w ostatnich miesiącach szóstą już pozycję z serii *Monografie regionalne Dolnego Śląska*, wydawaną przez Instytut Historyczny Uniwersytetu Wrocławskiego i Dolnośląskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Rodziła się ona długo, ale wyszło to jej na zdrowie, gdyż autorzy docięgli dzięki temu opis do lat dziewięćdziesiątych. Bez cenzuralnych już skrępowań mogli więc oni zaprezentować odmienny w licznych przypadkach pogląd na wydarzenia powojenne, ujawnić wiele faktów. Książka obejmuje w ogólnym opisie właściwie cały był pow. wałbrzyski, lecz koncentruje się oczywiście na samym mieście. Rzecz z pewnością bardzo ważką, choć przezornie zaopatrzoną skromnym podtytułem. Z tego też względu warto zwrócić uwagę wszystkich miłośników Sudetów. Pewne jednak sprawy sprawiają niedosyt, żeby nie powiedzieć – prowokują do krytyki. Oto tak ważnym zagadnieniem, jak destrukcja środowiska (kto choć raz choćby przejeździł przez Wałbrzych, ten wie, jakie to tu ważne), poświęcono zaledwie

malutki podrozdział. A przecież ten rejon to jeden z dwudziestu siedmiu obszarów ekologicznego zagrożenia w Polsce! Zupełnie marginesowo ukazano gospodarcze zamieranie miasta, głównie pod wpływem likwidacji górnictwa i przemysłów z nim związanych, np. koksownictwa. Zdumiewa natomiast absolutny brak jakiegokolwiek nawet wzmianki o turystyce. Dotyczy to zarówno okresu niemieckiego, jak i powojennego. Rozpisano się dużo, może nawet za dużo, o szkolnictwie czy teatrze i sporcie, a o tak ważnej tu działalności turystycznej (w tym PTTK) ani słowa! Historycy! Turystyka wcale nie jest gorszą sferą życia społecznego i gospodarczego od omówionych w książce, a w porównaniu do sportu – nawet ważniejszą, choć nie tak efektowną. I to być może jest zasadniczą przyczyną.

K. R. M.

Wałbrzych. Zarys monografii miasta na tle regionu. Red. S. Michalkiewicz. Wrocław: Wyd. DTSK Silesia 1993, ss. 374.

Karkonosze ze szkicownika

Na Dolnym Śląsku nie trzeba nikomu tłumaczyć, kim jest Ryszard Natusiewicz. Ale że nie wszyscy mieszkają w tym rejonie, więc wyjaśnijmy, że to znakomity i wzięty rysownik, który od lat wzbogaca wrocławską prasę i różne wydawnictwa (w tym PTTK) pięknymi rysunkami węglem i piórkiem. Obecnie profesor architektury Politechniki Wrocławskiej, z zamiłowania narciarz, uczestnik słynnych „Słomów Czekoladowych” koło „Samotni”, wydał niedawno dwunastą pozycję w serii *Ze szkicownika Ryszarda Natusiewicza*. Nieduży, acz pociągający tomik, dedykowany jest niedawno zmarłemu Waldemarowi Siemaszce, nieodżałowanemu kierownikowi „Samotni” i inicjatorowi oraz organizatorowi wspomnianych słomów. Na 51 rycinach przedstawione są widoki, schroniska i inne obiekty karkonoskie, z obu strony granicy. Specyficzna

kreska urzeka swą urodą, wydobywa czasami niedostrzegane akcenty mijanych często fragmentów tych gór. Smaczny to kąsek dla koneserów, tym bardziej że nie można kupić owej pozycji. Jest to bowiem nie tylko katalog wystawy „Architektura Karkonoszy w rysunkach Ryszarda Natusiewicza”, zorganizowanej w owym schronisku, ale i pozycja bibliofilską, wydana w stu egzemplarzach ręcznie numerowanych i podpisanych przez autorów (drugim z nich jest syn profesora – Marek). Z pewnością jednak rzecz godna odnotowania, gdyż właściwie zalicza się do cymeliów.

K. R. M.

Architektura Karkonoszy w rysunkach Ryszarda Natusiewicza (na okładce: Szkicownik Ryszarda Natusiewicza. Architektura Karkonoszy). Wrocław: Urbanistyka 1994, ss. 52.



Samotnia. Rys. Ryszard Natusiewicz

Kiedy pięć lat temu schodziliśmy z Babiej, zadowoleni z udanych noworocznych biwaków, mijaliśmy schronisko na Markowych, gdzie zaskoczył nas taki oto widoczek. Przed schroniskiem krzątał się pracownik obsługi zbierając butelki po szampanie i innych trunkach. Oczywiście nie zaskoczyło nas to, że polanka przed schroniskiem była sprzątana, gdyż, jak wiadomo, załoga Markowych stara się utrzymywać schronisko i jego otoczenie w czystości. Niemną niespo-

lub miście, w pojemniku na śmieci. Podobnie dzieje się w czasie wędrowek z wykorzystaniem schronisk. Owszem, tzw. „drobniac” zostawiamy w schroniskowych koszach, ale grubsze śmieci także znosimy na dół. To naprawdę nic nie kosztuje. A noworoczne butelki? Znosimy je także, a mam wrażenie, że i inni entuzjaści sylwestrowych biwaków robią to samo, bo ostatnio nie widziałem zwiększonej ilości szkła „graniowego”. Z tego, co zauważyłem, także i sylwestrowi goście na

śmietnisko: od papierów do kawałków karoserii samochodów. W wielu gospodarstwach praktykuje się tzw. „zapłotyizm”. Wszystko, co niepotrzebne, wyrzuca się za płot. W końcu ważne, by w obejściu było czysto. No i jest. Wszelkie rekordy biją brzegi Skawicy, a raczej mieszkańcy położonych tuż przy nich gospodarstw. Takich ogromnych ilości wszelkiego śmiecia nie widziałem nigdzie. Niektóre, zwłaszcza wysokie brzegi potoku, zasłane są jednorodną warstwą odpadków.

OBYCZAJE, CZYLI nie tylko „noworocznych obserwacji” ciąg dalszy

dzianka były owe flaszki walające się przed schroniskiem. Czyżby noworoczni goście trenowali rzut butelką do „nisko przelatujących niedźwiedzi”? Z rozmowy ze znajomym, przebywającym wówczas stale w schronisku, dowiedziałem się, że rzeczywiście było nadmiernie wesoło, a niektórzy goście cokolwiek przesadzili. No właśnie. Jak to jest? Nie chodzi nawet o rzucanie przez okna flaszki po „Smirnoffie”, bo to już jest zwyczajne chamstwo, chodzi o pewne elementarne zasady. Idąc w góry zabieramy ze sobą wiele rozmaitych przedmiotów, które możemy podzielić na dwie grupy: użytku stałego, czyli śpiwór, namiot, menażka i skarpetki oraz „zużywające się całkowicie”, czyli głównie jedzenie i to w bardzo różnych opakowaniach. Oczywiście te przedmioty użytku stałego podałbym tylko przykładowo, są wśród nas wędrowcy maszerujący w walmmanem na uszach lub targający radiomagnetofony, by posłuchać w ciszy schroniska dyskretnego wrzasku AC DC lub kojącego uszy i umysł „Mydelfa Fa”. Wśród zapasów jedzenia bywają również butelki i puszki z piwem, torebki, pudełka i co tam jeszcze ludzkość wymyśliła w dziedzinie opakowań. Owe opakowania ładują przeważnie w schroniskowych koszach na śmieci, ale nie wszystkie.

I tu rodzi się pytanie. Czy musimy zostawiać w górach „góry śmieci”? Przypomnijmy sobie, jak wyglądają schroniskowe kosze w okresach zwiększonej frekwencji. Najczęściej pracownicy schronisk nie nadążają z opróżnianiem koszy, a bywa i tak, że oczekują, aż sobotnio-niedzielni goście wyniosą się i dopiero wtedy zabierają się za sprzątanie. A przecież połowy tych śmieci można by w górach nie zostawiać. Czy taką sztuką jest zniesienie na dół tego, co wniosło się na górę? Ja i moi partnerzy „wyprawowi” praktykujemy znoszenie zużytych opakowań. Od pierwszego biwaku przeznaczamy spory i mocny plastikowy woreczek, do którego ładujemy wszystkie odpadki. Worek wędruje razem z nami i kończy swój żywot już na dole, w jakiejś wsi

Markowych są inni niż kiedyś. Góry jednak to nie tylko szczyty i granie, grzbiety i doliny, schroniska i turyści, ale także miasta, wsie i przysiółki, a w nich pensjonaty i domy czasowe oraz, jakże często nie zauważani stali mieszkańcy. Nie pisałem nigdy o stałych mieszkańcach miejscowości podgórskich, koncentrowałem się na turystyce i na zjawiskach z nią związanych, ale po tym, co widziałem ostatnio jadąc autobusem z Zawoi do Suchej, już nie zmilczę. Być może górale to lud dumny, bitny i honorowy, ale odniosłem przykre wrażenie, że również nadmiernie dbający o czystość. Oho! – ktoś zaraz powie – robi mi ten autor wodę z mózgu. Jak można nadmiernie dbać o czystość. I co mają do tego beskidzcy górale?

Ano mają. Proszę się jednak nie obrażać. Zjawisko, które opiszę, jest powszechne i stanowi integralną część tzw. „wschodnio-europejskiego stylu bycia”, występuje także w mieście, w którym mieszkam, a znają je wszyscy. Owa nadmierna dbałość o czystość polega na totalnym zaśmiecaniu otoczenia. Często jadąc w góry, zapatrzeni w zbliżające się szczyty, nie widzimy, co dzieje się za oknami pociągu czy autobusu. Jedno wielkie

Warstwa ta rośnie, a po przekroczeniu wewnętrznych naprężeń, niczym śnieg na lawinowym stoku, zsuwa się do potoku. Nie mogąc zatem dziwić garnki i balie, a także błotniki od „syrenki” tkwiące w nurcie Skawicy. Można sobie wyobrazić, jakie spustoszenie czynią w wodzie odpady, które się w niej rozpuszczają lub rozkładają. Można zadać pytanie następujące: gdzie jest Państwowa Służba Ochrony Środowiska, gdzie jest Sanepid, gdzie jest policja? Tak jest – również policja, której zadaniem jest strzeżenie porządku publicznego. A może ja źle rozumiem pojęcie „porządek publiczny”? Można też zapytać, czy istnieje jakaś oświata sanitarna. Podobnych pytań rodzi się zresztą więcej. Czy kultura Beskidów ma się objawiać tylko w czasie jakiegoś festiwalu czy wystawy koronek lub konkursu na najdłuższą fujarę? To jest kultura od święta, ja wołałbym widzieć kulturę na co dzień. Wstyd mi za tych ludzi, bo wiem, że tego, co widać kilkadziesiąt metrów od głównej szosy, nijak nie pojmą angielscy czy francuscy turyści, których spotkałem na Babiej. Zresztą i ja tego nie rozumiem, i nigdy się do takich widoków nie przyzwyczaję.



Nie pojmę też ludowego obyczaju tłuczenia butelek o asfalt jezdni podczas witania Nowego Roku. Zwyczaj ten panuje w Zawoi. Idąc z Markowej do Widel wykonaliśmy słalom gigant pomiędzy kupkami grubego, tłuczonego szkła. Wciąż miałem wrażenie, że za chwilę kawał szkła wbije mi się w piętę, mimo grubych podeszw „himalajów”.

A zatem, kiedy słyszę dobiegające z różnych stron deklaracje przedstawicieli władz i samorządów miejscowości podgórskich, o chęci budowy stacji narciarskiej lub co najmniej o organizacji zimowej olimpiady, to nie wiem: śmiać się, czy płakać? Panowie! Uprzątnijcie najpierw śmieci! Setki metrów sześciennych śmieci! Zróbcie coś, by wasi sąsiedzi nie wywalali odpadków za płot, raczcie zauważyć, jak proste czynności wystarczy wykonać, by podgórskie miejscowości wyglądały w miarę porządku, by przybysz z zewnątrz nie musiał otwierać gęby ze zdziwienia: ale tu brudno!!!

Nie mam złudzeń. Apel powyżej wyartykułowany nie dotrze do jego adresatów, ale może my turyści zwrócimy bacniejszą uwagę na otoczenie, w którym się poruszamy w drodze w góry. Powinniśmy demaskować brzydotę, zawstydzając brudasów, nie odwiedzać brudnych, zaśmieconych miejscowości, mówić publicznie o niechlujach, a nawet wyszydzając i wyśmiewać. Pamiętajmy przy tym o naszych przyzwyczajeniach i nawykach, które nie zawsze pasują do gór, nie wnosimy w góry miejskich zwyczajów takich, jak dyskoteki, zbyt głośne zabawy, nadmierny „luz” uchodzący w miejskim gwarze.

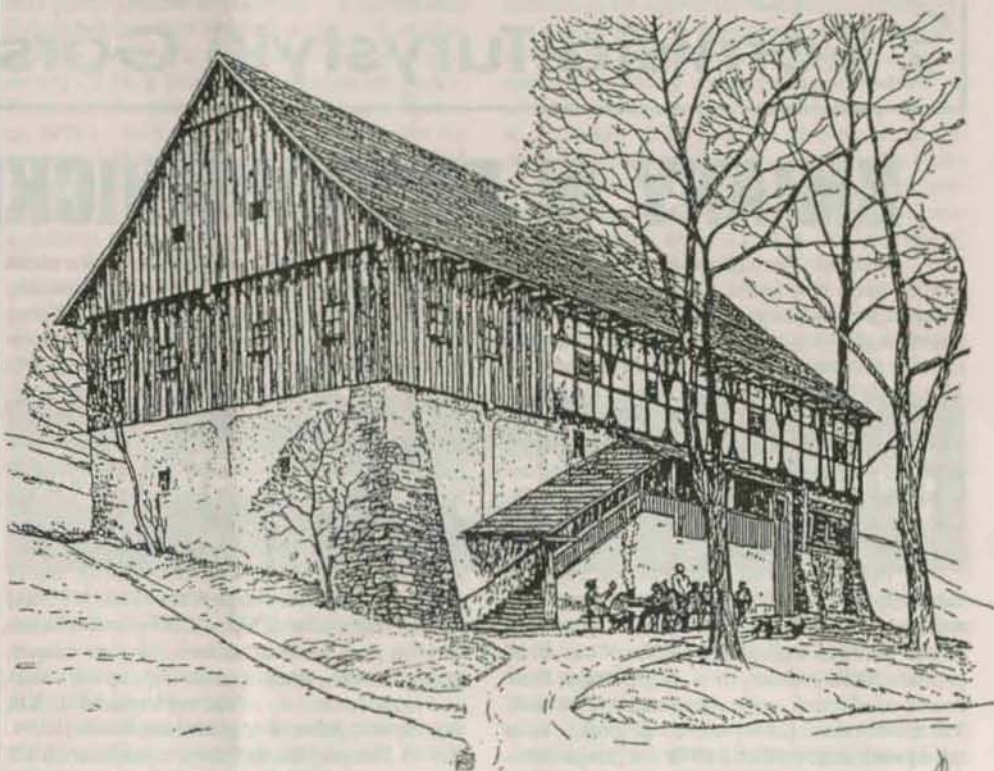
Zakończę wzmianką o obyczajach, których na pewno nie powinniśmy przejmować. Otóż w Gorganach i Czarnohorze, a jak wynika z literatury, także w innych górach naszych wschodnich sąsiadów, turyści sporządzają posiłki „na siekierze”. Dziwne to, bo produkowano tam całkiem niezłe benzynowe kuchenki. Sam używałem takiej przez ponad piętnaście lat.

Powszechnym zwyczajem jest noszenie siekierki, za pomocą której wędrowcy tną kosodrzewinę na ogniska. Wciąż mam w oczach Jezioro Niesamowite pod Turkułem, tradycyjne miejsce biwaków. To, że jest to środek parku narodowego, wcale nie przeszkadza miejscowym turystom w wycinaniu kosówki. Na szczęście my nosimy kuchenki benzynowe i gazowe, a ognisko bywa czasem tylko uzupełnieniem biwakowego wieczoru.

Namawiam czytelników, by podzielili się swoimi spostrzeżeniami o osobliwych, choć powszechnych obyczajach utrudniających turystykę i przynoszących nam wszystkim wstyd. Ujawniamy dziadostwo i chamstwo, tępy i nasze przyzwyczajenia niegodne turystów, bądźmy lepsi, by nie próbowano rugować nas z górskich ścieżek. Wtedy, tacy autorzy, jak niżej podpisany, przestaną zrzedzić i marudzić.

Juliusz Wystouch

Jest taka karczma



Książęca Karczma w Miskowicach. Wg L. Loewe „Schlesische Holzbauten”

W dzisiejszej polszczyźnie słowo karczma kojarzy się nie najlepiej. A przecież dawniej była to cała instytucja: wypić tu można było, podjeść, jak trzeba to i przenocować, a wreszcie w wielu wypadkach tu odbywały się posiedzenia sądowe lokalnej władzy. Stąd też obiekty takie odznaczały się na ogół okazałą sylwetą, ale w późniejszych okresach uległy, niestety, zniszczeniu. Kilka ciekawych zabytków karczemnych zachowało się w Sudetach. Używany dotąd budynkiem jest dawna karczma w Bukowcu u podnóża Rudaw Janowickich, zapomniana inna – w Uniemyślu na południe od Krzeszowa, choć niezwykle atrakcyjna, ulega rozpadowi. I jest jeszcze inna, bodaj najciekawsza architektonicznie – w Miskowicach. Otoczenie przepiękne, bo jedna z najpiękniejszych sudeckich dolin, spływająca z Przeł. Kowarskiej ku Bramie Lubawskiej. Po ostatniej wojnie w zasadzie nieużytkowana, ale jakoś się trzyma i czeka na zagospodarowanie. A przecież wiedzie tędy tak atrakcyjna szosa z Kotliny Jeleniogórskiej przez Kowary do Lubawki!

Stare przekazy mówią, że pierwotnie stał tu dwór myśliwski, wzniesiony przez niejakiego księcia Michała, pana na Trutnowie i Żaclęfu, w 1012 r. I stąd wybudowaną w XVI w. na jego

fundamentach karczmę zaczęto nazywać Książęcą. Ale też rzeczywiście jest ona imponująca. Mury kamiennej, wysokiej podmurówki mają do 1,5 m grubości, podczas gdy cały budynek liczy 31,5 długości i 12 m szerokości, zaś wysokość części szkieletowej wynosi 3,95 m. Najstarsze części drewniane pochodzą z 1624 i 1664 r., w tym przysłupowy parter. Natomiast w 1772 r. powstało szkieletowe piętro dzięki pracy cieśli J.C. Bönscha, którego inicjały zachowały się na jednej z belek. We wnętrzu znajduje się imponująca wielkością izba o wymiarach 10,8 x 11,5 m, w której toczyły się rozprawy sądowe. Delikwentów przywiązywano do stojącego pośrodku niej bala o rozmiarach 29 x 39 cm.

Warto dodać, że w Książęcej Karczmie spotkali się w 1810 r. (niektóre źródła podają 1813) dwaj wybitni pruscy politycy: baron J. Stein i książę K.A. Hardenberg, kanclerz Prus, przebywający na emigracji w Austrii, korzystający też z gościnności hr. von Redena z Bukowca, celem omówienia zmian koniecznych w Prusach. Efektem stały się reformy, przeprowadzone po zakończeniu wojen napoleońskich pod imieniem Steina.

Dodajmy, że jest to bardzo blisko schroniska PTTK w Jarkowicach.

K.R.M.

NA SZLAKU z Komisją Turystyki Górskiej ZG PTTK

ZMIANY W PRZODOWNICKIM ŚWIATKU

Komisja Turystyki Górskiej zorganizowała 7 maja spotkanie z przewodniczącymi Komisji Egzaminacyjnych dla przodowników turystyki górskiej. O potrzebie takiego spotkania i randze problemów najlepiej świadczy obecność 15 z 16 działających komisji. Poprzednie spotkanie odbyło się kilka lat temu, a w naszym środowisku od tego czasu zmieniło się bardzo wiele. Zniknęły zarządy i komisje wojewódzkie, stanowiące najczęściej oparcie dla naszych KE, zmieniła się sieć oddziałów, sporo zmian zaszło też w szeregach przodowników.

Spotkanie miało ścisły związek z tym, co dzieje się w KTG ZG. Aktualizacja kartoteki ptg wykazała, że kilkunastoosobowa KTG nie jest w stanie przeprowadzić weryfikacji ok. 6000 przodowników rozsianych w całym kraju. Przekracza to również nasze możliwości finansowe. Także uchwalona już wymiana legitymacji, która ma się rozpocząć od 01.01.1995 r. wymaga szerokiego wsparcia naszych działaczy. A skoro już mamy do załatwienia tyle spraw, to dlaczego nie „pójść na całość” i nie wykorzystać naszych kolegów-działaczy maksymalnie. Okazało się właśnie, że można i trzeba tak postąpić.

Przewodniczący KE po przedyskutowaniu sprawy podjęli się roli terenowych reprezentantów KTG ZG w swoich rejonach działania, przede wszystkim w sprawach dotyczących przodowników turystyki górskiej. Ustalono, że niezmieniony pozostaje podział kraju pomiędzy poszczególne KE i ich ilość. Przy okazji wyjaśniono pomiędzy zainteresowanymi wątpliwości dotyczące przynależności niektórych województw czy regionów. Pozostała też zasada, że kandydat na ptg (lub przodownik poszerzający uprawnienia) może zdawać egzamin tylko przed właściwą terytorialnie komisją egzaminacyjną. Liczy się tu miejsce zamieszkania zdającego. Wyjątki dopuszcza się jedynie dla uczestników centralnie organizowanych kursów i szkoleń, np. dla nauczycieli, których absolwenci mogą zdawać egzaminy przed KE upoważnioną do tego przez KTG ZG.

Nie powinno też być problemów z egzaminami na Tatrach, bowiem wszystkie działające KE mają w swych składach przodowników z uprawnieniami na Tatry. Utrzymano też zasadę, że uprawnienia tatrzańskie nie mogą być pierwszymi uzyskiwanymi (poza mieszkańcami Zakopanego i Podtatrza), można je uzyskać tylko w wyniku poszerzenia uprawnień już posiadanych. Zaapelowano też do KE, aby unikały egzaminowania kandydatów na ptg od razu na komplet (prawie komplet) uprawnień, bowiem musi się to odbijać na poziomie i randze egzaminu.

Przy okazji dyskusji wypłynęły też kwestie związane z funkcjonowaniem GOT i jej regulaminem, ale postanowiono ich nie dyskutować i pozostawić – przynajmniej na razie – odznakę i regulamin bez żadnych zmian.

Najwięcej problemów było z określeniem roli KE jako przedstawicieli KTG ZG w terenie. Stwierdzono, że powinny to być pewnego rodzaju delegatury sprawnie prowadzące ewidencję kadry

przodowniczej na swoim terenie, a więc kartoteka ptg powinna być tworzona i aktualizowana tam, a w KTG ZG będzie tylko baza danych. Wobec tego KE będą wnioskować i informować o wszelkich zmianach dotyczących ptg. Wymagać to będzie także sprawdzania, czy ptg są członkami PTTK, odnajdywania „zaginionych” i ewentualnie wnioskowania o skreślenie tych, którzy utracili łączność z Towarzystwem lub zaprzestali działalności. Wymagać to będzie wzmożonych kontaktów na linii KTG ZG = KE.

Nie jest wykluczone, że przynajmniej część KE będzie musiała poszerzyć swoje składy pod kątem pełnienia roli przedstawicieli KTG ZG d/s przodowników. Z kolei KTG wszelkie informacje o przodowniku, zmianach w jego danych, przynależności, uprawnieniach itp. będzie kierować bezpośrednio do właściwej terytorialnie KE, aby uzyskać jednolitość posiadanych materiałów.

Liczymy też, że już w przyszłym roku KE będą w stanie przejąć kolportaż dorocznej „Informacji”, bowiem rozsyłanie 6000 egz. na adresy domowe staje się nierealne ze względów finansowych. Sam koszt wysłania takiej ilości listów równa się wysokości rocznego budżetu KTG ZG (nie licząc druku). Spróbujemy więc dostarczyć „Informację” do KE, a te przy okazji wymiany legitymacji dadzą ją bezpośrednio zainteresowanym.

I tu dochodzimy do sprawy najważniejszej dla wszystkich ptg, a mianowicie do akcji wymiany legitymacji. Komisja w czerwcu zatwierdzi ostateczny wzór tej legitymacji. Wiadomo, że będzie to legitymacja okresowa, tzn. przedłużana (prawdopodobnie raz na 4 lata) i być może ze zdjęciem. Taka forma legitymacji została na nas niejako wymuszona, głównie przez parki narodowe, które przyzwyczajone do legity-

macji przewodnickich, bronią się przed dawaniem uprawnień (licencji, zezwoleń etc.) osobom, które mają bezterminowe uprawnienia organizacyjne.

Przy okazji weryfikacji kartoteki ptg okazało się, że wielu przodowników utraciło kontakt z macierzystymi jednostkami Towarzystwa. Część oddziałów w miejscu zamieszkania ptg nie wie nawet, że ma takich działaczy wśród członków. Sporo ptg zawiesiło też członkostwo i nie płaci składek. Tu należy przypomnieć, że przodownik turystyki górskiej jest działaczem PTTK i tylko czynny członek PTTK może posiadać do uprawnień. Wobec tego w stosunku do osób nie mających uregulowanych spraw członkowskich będziemy musieli stosować kroki wynikające ze statutu PTTK i regulaminu ptg. Wprowadzenie okresowo potwierdzanych legitymacji pomoże też w utrzymywaniu aktywniejszych i regularniejszych kontaktów ze wszystkimi ptg, którzy nadal zechcą pełnić tę funkcję. Dlatego właśnie prolongatą legitymacji będą zajmować się macierzyste KE.

Zakładamy, że od 01.01.1995 r. nowe legitymacje otrzymają te Koleżanki i ci Koledzy, którzy mają zaktualizowane dane w centralnej kartotece ptg (do których docierają regularnie nasze „Informacje”) i którzy są członkami PTTK. Pozostałe osoby będą otrzymywały legitymacje sukcesywnie, w miarę dokonywania weryfikacji. Osoby, z którymi nie mamy kontaktu, po prostu nie otrzymają nowych legitymacji i utracą uprawnienia. Równocześnie wszystkie obiekty noclegowe i jednostki PTTK zostaną powiadomione, że stare legitymacje tracą ważność od 31.12.1995 r. i po tym, terminie nie będą honorowane przy weryfikacji GOT i w obiektach noclegowych.

Marek Staffa

L.p.	Siedziba Komisji	Nazwisko i adres przewodniczącego	Egzaminuje na terenie województw
1	Białystok	Antoni Januchta 15-424 Białystok, ul. Lipowa 31/9	białostockie, łomżyńskie, białsko-podlaskie, suwalskie
2	Bielsko-Biała	Ryszard Mazur 43-400 Cieszyń, ul. Mennicza 2/2	bielskie
3	Gdańsk	Antoni Dworski 80-447 Gdańsk, ul. Kraszewskiego 10/1	gdańskie, słupskie, elbląskie, olsztyńskie
4	Katowice	Kazimierz Kowalczyk 40-126 Katowice, ul. Grażyńskiego 11a/12	katowickie, częstochowskie
5	Kielce	Krzysztof Wilczyński 25-410 Kielce, ul. Staffa 3/24	kieleckie
6	Kraków	Jerzy Zgala 31-809 Kraków, Os. Strusia 14/79	miejskie-krakowskie
7	Lublin	Paweł Surdacki 20-027 Lublin, ul. Hipotečna 3/14	lubelskie, chełmskie, zamojskie
8	Łódź	Andrzej Lesiński 92-531 Łódź, ul. Bartoka 61/25	łódzkie, sieradzkie, skierniewickie, piotrkowskie
9	Nowy Sącz	Leopold Bieniasz 33-300 Nowy Sącz, ul. Lwowska 83/38	nowosądeckie
10	Poznań	Eugeniusz Musiał 61-142 Poznań, ul. Rocha 6B/4	poznańskie, leszczyńskie, kaliskie, konińskie, pilskie
11	Rzeszów	Antoni Hadala 35-310 Rzeszów, ul. Podwisłocze 2/122	rzeszowskie, krośnieńskie, przemyskie, tarnobrzskie
12	Szczecin	Jan Knapczyk 71-118 Szczecin, ul. Kaliny 6/7	szczecińskie, koszalińskie, gorzowskie
13	Warszawa	Zbigniew Zieliński 03-246 Warszawa, ul. Rzepichy 4/66	warszawskie, radomskie, ciechanowskie, siedleckie, ostrołęckie, płockie
14	Wrocław	Krzysztof Chudoba 54-402 Wrocław, ul. Szkoła 75/20	wrocławskie, wałbrzyskie, jeleniogórskie, legnickie, zielonogórskie, opolskie
15	Tarnów	Józef Małecki 33-100 Tarnów, ul. W. Stwosza 1/6	tarnowskie
16	Toruń	Stanisław Wasilewski 87-100 Toruń, ul. Kraszewskiego 56/6	toruńskie, włocławskie, bydgoskie

SUPLEMENT DO SPRAWY „CZARTAKA”

Dopóki „Czartak” był schroniskiem PTTK nigdy nie cieszył się takim zainteresowaniem turystów i środowiska górskiego. Od momentu, gdy stał się obiektem prywatnym, ukazało się na jego temat więcej artykułów, notatek i wspomnień, niż w całej poprzedniej – już przecież dość długiej – historii. Chyba to dobrze, bo obiekt jest atrakcyjnie i pięknie położony i na pewno zasługuje na popularność. Trudno go zresztą pominąć wędrując Głównym Szlakiem Sudeckim, Europejskim Szlakiem E3, czy wreszcie tylko kręcąc się po Rudawach Janowickich.

Sam już ubolewałem na łamach „Na szlaku”, że utraciliśmy tak atrakcyjny obiekt. Przyznaję, że nie dawało mi to spokoju. Z przyjemnością więc donoszę zainteresowanym, że jednak nie utraciliśmy. Nie znaczy to oczywiście, że „Czartak” jest znowu własnością Towarzystwa, ale doszło do zawarcia formalnej umowy pomiędzy właścicielką a PTTK, na mocy której będzie to nadal obiekt służący turystom z legitymacją Towarzystwa. Ustalono, że w „Czartaku” będą honorowane legitymacje członkowskie PTTK, na podstawie których wszyscy otrzymają 15% zniżkę noclegową. Nie będą natomiast honorowane (i tym samym udzielane zniżki) legitymacje uprawniające do wyższych zniżek organizacyjnych i funkcyjnych, np. dla przodowników, posiadaczy złotych i srebrnych odznak PTTK itp.

Wydaje się, że takie załatwienie sprawy powinno satysfakcjonować turystów. W zamian PTTK zgadza się na dalsze używanie w obiekcie i na nim odznaki PTTK, wprowadzi obiekt do swojej sieci informacyjnej i będzie się starać wykorzystywać go i promować w kraju i za granicą na równi z własnymi schroniskami.

Ciesząc się z takiego załatwienia sprawy pozostaje mi zaprosić wszystkich do „Czartaka”, a warto. Sporo już się w nim zmieniło i to na korzyść (choć tego mi może nie wypada oficjalnie przyznać, ale zawsze się sprawdza powiedzenia, że pańskie oko ...).

Marek Staffa

Dnia 13 kwietnia br. na Wydziale Biologii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach nastąpiło szkoleniowe spotkanie przodowników turystyki górskiej z uprawnieniami na Beskidy Zachodnie oraz przewodników beskidzkich – z dyrektorem Babiogórskiego Parku Narodowego, p. Wizińskim. Jego celem było zaznajomienie kadry programowej PTTK z aktualnymi problemami Parku. Przedstawiono nam także punkt widzenia Dyrekcji BPN na ruch turystyczny w zbliżającym się sezonie. Głównym inicjatorem spotkania był wiceprezes ZG PTTK Edward Kudelski, który z ramienia PTTK jest odpowiedzialny za kontakty z parkami narodowymi.

W tym miejscu warto wspomnieć o nowej ustawie o ochronie środowiska, która wzmacnia pozycję i uprawnienia dyrekcji parków narodowych. Na tej podstawie kilka górskich parków (Pieniński, Tatrzański, Karkonoski, Babiogórski)

Szkolenie zupełnie inaczej

wprowadziło dla osób chcących prowadzić grupy, tzn. dla przodowników TG i przewodników, obowiązkowe dodatkowe zezwolenia (lub, jak ktoś woli – licencje). Chcąc nie chcąc, musimy się na to zgodzić i zaakceptować.

Spotkanie przebiegało w koleżeńskiejszej atmosferze. Po wystąpieniu dyrektora z sali zaczęły padać pytania. Atakowany był on ze wszystkich stron. Ja jednak chciałbym zatrzymać się na wypowiedzeniach dotyczących spraw „przyziemnych”, jak to określił jeden z pytających.

Pierwszą z takich, to sprawa opłat. Otóż ich wysokość nie ulegnie zmianie w porównaniu do roku ubiegłego i będą one pobierane w dwóch miejscach. Dla turystów znających okolice Babiej Góry (1725 m) podaje, że będzie się to odbywać na przełęczy Krowiarki (986) i przy schronisku na Markowych Szczawinach (1180 m). Będzie również pobierana dodatkowa opłata, tzw. pobytowa, którą będziemy uiszczać we wspomnianym schronisku za każdy nocleg. W stronę przodowników TG i przewodników (posiadających licencję Parku) dyrekcja zrobiła ułkon w postaci zwolnienia ich z opłaty za wstęp. W nadchodzącym sezonie BPN przewiduje uruchomienie z prawdziwego zdarzenia wejścia do Parku. Główna brama wejściowa ma być umiejscowiona na przeł. Krowiarki. Tam też będzie zlokalizowany punkt informacyjny, w którym pracownicy Parku udziela wszystkim chętnym i zainteresowanym fachowych i rzetelnych informacji na tematy związane ze sprawami BPN. Podsumowując temat opłat dyrektor stwierdził, że wpływy z nich za rok ubiegły pokryły 1% wszystkich wydatków. Na ten sezon przewiduje się, że wyniosą one 1% całości wydatków! Wynika więc z tego, że jest to źródło raczej znikomego dochodu.

Inne pytanie dotyczyło sprawy zachowania czystości. Otóż okazało się, że w tym sezonie w granicach Parku nie będzie żadnych pojemników na śmieci. Będą one zlokalizowane jedynie na Krowiarkach i przy schronisku na Markowych Szczawinach. Jak stwierdził dyrektor, Park nie ma technicznych możliwości opróżniania ewentualnych koszy na śmieci, np. z Babiej Góry czy z przeł. Brona (1408 m). I w tym właśnie miejscu swojej wypowiedzi dyrektor zwrócił się z apelem o to, aby wszyscy turyści zabierali ze sobą swoje odpadki, puste butelki, papiery itp. Na dole, poza granicami Parku, będzie można się tego zbędnego balastu pozbyć. Oczywiście, wszyscy przyłączamy się do tego apelu, Panie Dyrektorze!

Kolejno poruszono sprawę pól namioto-

wych na terenie Parku. Na to pytanie, które zresztą ja sam zadałem, otrzymałem martwiącą mnie i, jestem przekonany, że nie tylko mnie, odpowiedź. Mianowicie dyrektor stwierdził, że jedynym legalnym miejscem spędzenia noclegu na terenie BPN jest schronisko na Markowych Szczawinach. Obecnie na terenie Parku nie istnieje żadne pole namiotowe. Muszę z przykrością powiedzieć, że informacja dotycząca pól namiotowych, zawarta w „Na szlaku” (6/93), jest już, niestety, nieaktualna. Również w najbliższej przyszłości pola takie go nie przewiduje się uruchomić. Dyrektor uzasadnił swoją decyzję mówiąc, że nie istnieje takie zapotrzebowanie wśród turystów. Moim zdaniem, w tej kwestii dyrektor absolutnie nie ma racji. Wprawdzie stwierdził on, że tego typu obiekty funkcjonują poniżej granicy Parku, ale są to miejsca nieco oddalone od jego centrum, a prawdziwemu turyście plecakowemu chyba nie o to chodzi.

Ponieważ nie ma legalnie istniejących pól namiotowych, a znając niektórych zapaleńców, jestem przekonany, że będą powstawać dzikie biwaki, które mogą być bardziej szkodliwe dla środowiska przyrodniczego.

Przy okazji pytania o pola namiotowe, „wydała się” też sprawa nowej mapy Babiej Góry w skali 1:25 000. Otóż, jakby się wydawało, jest to mapa dla turysty plecakowego atrakcyjna. Jednym powodem jest skala, a drugim – zaznaczenie miejsca biwakowania (a było ich, jak na tak małą powierzchnię Parku, sporo). Jedyną niedoskonałością miała być odwrotna jej strona, która w ogóle nie była wykorzystana (jest biała), a można było przecież zamieścić tam jakieś przydatne informacje (np. na temat BPN). Mapę tę wydała Oficyna Wydawnicza Rewasz. Ja także uległem fałszywej, jak się okazało, atrakcyjności mapy. Szkoda tylko, że było to przed spotkaniem z dyr. Wizińskim. Podczas szkolenia okazało się, że jakiś czas temu przedstawiciele Wydawnictwa Rewasz zaproponowali wydanie mapy BPN we współpracy z dyrekcją. Jednak w końcowym efekcie, nie wiadomo dlaczego, Rewasz wydał tę mapę sam, bez porozumienia się z pracownikami Parku. I co w wyniku tego powstało? Wiele mylnych informacji. Np. wspomniane już przeze mnie pola namiotowe, których w ogóle nie było, czy nadawanie niektórym miejsc nazw, które w rzeczywistości nie funkcjonują, nazw, jak to określił dyrektor, „wyspanych” z palca. A poza tym, ta wysoka cena. Tak, Panowie Redaktorzy z Wydawnictwa Rewasz, powiedzmy sobie, że był to niewypał.

Na zakończenie spotkania dyrektor BPN zadał nam (kadry programowej PTTK) jedno pytanie, na które odpowiedź ze strony uczestników miała pomóc w powzięciu pewnych kroków. Wątpliwości dotyczyły przepisu, który prawdopodobnie wejdzie w życie w nowym Regulaminie BPN. Mianowicie chodzi tu o możliwość zamknięcia dla ruchu turystycznego szlaków w rejonie kopuły szczytowej Babiej Góry od zachodu do wschodu słońca. Wyobrażam sobie w tej chwili miny i nastroje turystów, którzy są amatorami słynnych zresztą wschodów słońca obserwowanych z najwyższego szczytu Beskidów. Jednak dyrekcja dopuszcza wyjątki w postaci takiej, że osoby chcące brać udział w owym niezapomnianym widowisku mogą to uczynić, ale tylko w towarzystwie osoby uprawnionej. Osobami takimi byłiby przodownicy TG, przewodnicy beskidzcy

oraz GORP-owcy, z tym że wymienieni musieliby posiadać licencje dyrektora BPN. W tej kwestii z przykrością muszę stwierdzić, że się zgadzam ze stanowiskiem Pana Dyrektora. Nie, nie chodzi o dodatkowe (jak by niektórym osobom się wydawało) korzyści z powodu posiadanych uprawnień. Rzecz w tym, że dyrektor dosyć obrazowo i przekonująco przedstawił powód, który zmusza go do podjęcia takich właśnie kroków. Mianowicie, pracownicy Parku przez pewien okres prowadzili badania dotyczące zniszczeń, jakie powodują wycieczki na obserwację wschodu słońca. W czasie tylko jednego weekendu okazało się, że w regionie szczytu natknięto się na ślady dwudziestu paleńskich. Tak, śladów po ogniskach, które były pozostałościami nocno-rannych wypadów turystów. Palenie ognisk w takich rejonach, w rejonach o tak naturalnej jeszcze przyrodzie, to przecież barbarzyństwo. Nieraz „turysty” palą też kosodrzewinę, która podlega ścisłej ochronie. I dlatego właśnie przychyliam się do tego projektu dyrektora BPN.

Oto jeszcze kilka dalszych informacji. Licencje mają mieć ważność na rok lub dwa lata. Po upływie tego czasu odbędzie się kolejne spotkanie z przedstawicielami Parku. Oczywiście szkolenia tego typu nie będą się odbywać tylko w Katowicach. Na dzisiaj pewny jest jeszcze na razie Kraków. Tam szkolenie będzie mieć charakter ogólnopolski, w przeciwieństwie do tego w Katowicach, w którym brali udział wyłącznie przedstawiciele Górnego Śląska. Zresztą z założenia tylko dla nich spotkanie to było przeznaczone. Prezes Kudelski stwierdził, że szkolenie ogólnopolskie to już sprawa KTG w Krakowie. Z przykrością muszę stwierdzić, że jestem zaskoczony tak małą ilością uczestników. Z ogólnej liczby ponad 1200 przewodników TG zamieszkujących województwo katowickie i posiadających uprawnienia na Beskidy Zachodnie, w spotkaniu wzięło udział 127 osób (w tej liczbie należy jednak uwzględnić też przewodników w beskidzkich, którzy również uczestniczyli w tym miniszkoleniu, a których ilości, niestety, nie znam). Wydaje mi się, że daję tu znać o sobie problem braku kontaktu wielu z moich kolegów z macierzystymi oddziałami PTTK. A szkoda. Spotkanie takie było potrzebne.

A tak już na zakończenie. Mimo wszystko bardzo gorąco zachęcam turystów do odwiedzenia Babiogórskiego Narodowego, tego jakże urokliwego zakątka gór polskich. Zapraszam również do zwiedzenia Muzeum BPN (w budynku tym ma też swoją siedzibę dyrektura Parku), która mieści się w Zawoi. Można doń trafić idąc z Zawoi-Widła zielonym szlakiem w stronę schroniska na Markowych Szczawinach. Zapewne nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że Park, który został utworzony w 1954 r., jest jednym z najmniejszych parków narodowych w Polsce. Powierzchnia jego wynosi 1734 ha i właśnie pod względem obszaru zajmuje on przedostatnie miejsce w Polsce. Ze względu na rzadkie gatunki fauny i flory występujące na terenie Parku, w 1976 r. BPN został uznany za Światowy Rezerwat Biosfery.

W imieniu swoim oraz wszystkich uczestników spotkania składam Panu Dyktorowi Wzimirskiemu serdeczne podziękowania za przeprowadzone szkolenie. Jeżeli już wprowadzać licencje, to wydaje mi się, że trzeba to robić w podobny sposób, w jaki było to zorganizowane w Katowicach. Oby takich spotkań między dyrekcjami parków narodowych a kadrą PTTK było jak najwięcej, a nieporozumień na tej linii – jak najmniej.

Grzegorz Opalski

GÓRSKIE BAZY NAMIOTOWE PTTK W 1994 R.

SUDETY

Jaskinia Radochowska (O/Międzyuczelniany PTTK w Poznaniu) dojście szlakiem zielonym (PKP i PKS Radochów).

Nowa Morawa (j.w.), w dolnej części wsi; dojście szosą 15 min. od PKS Bolesławów lub 30 min od górnej części wsi szlakiem niebieskim Łądek Zdrój – schr. Pod Śnieżnikiem.

BESKID ŻYWIECKI

Polana Górowa pod Pilskiem (O/Międzyuczelniany PTTK w Katowicach), dojście szlakiem zielonym z Sopotni Wielkiej (PKS), szlakiem czarnym z przeł. Przystopy, szlakiem zielonym ze schroniska pod Pilskiem.

Głuchaczki (j.w.), dojście głównym szlakiem beskidzkim

Przełęcz Klekociny (O/Akademicki w Częstochowie), dojście b.zn. od PKS Kosza-

rawa-Bystra lub b.zn. z Przełęczu Klekociny, od szlaku.

BESKID WYSPOWY

Polana Wały pod Jasieniem i Krystonowem (j.w.), dojście szlakiem żółtym Przełęcz – Mogielica lub zn. od PKS Białe (Kamienica – Mszana Dolna).

BESKID SADECKI

Żłockie k/Muszyny (O/Akademicki w Łodzi), dojście b. zn. z centrum wsi.

PIENINY

Polana pod Wysoką (j.w.), dojście z Jaworek b.zn. (potem znaki zielone), omijając wąwóz Homole (opłata PPN) lub szlakiem zielonym z rej. Wysokich Skałek (szlak niebieski, Szczawnica – przeł. Obidza).

Zlot Klubów Górskich PTTK Zwardon

(27 – 29 maja 1994 r.)

XIV Zlot Klubów Górskich PTTK, zorganizowany przez Klub Górski „Howerla” z Białegostoku, odbył się w schronisku „Dworzec Beskidzki” w Zwardoniu. Wzięły w nim udział 43 osoby reprezentujące 14 klubów z całej Polski. Mimo nie najlepszej pogody odbyły się dwie wycieczki górskie na Ochotnicę oraz na Wielką Raczę. Zapoznano się również ze stanem prac przy projektowanym drogowym przejściu granicznym na Słowację, na tzw. Mycie.

Uczestnicy Zlotu zostali przez niżej podpisanego zapoznani z aktualnymi kierunkami pracy KTG ZG PTTK, realizacją ustaleń styczniowej narady prezesów Klubów Górskich, jak również zamierzeniami Podkomisji. Biorący udział w Zlocie w charakterze gościa wiceprezes ZG PTTK kol. Edward Kudelski omówił, operując konkretnymi liczbami, zagadnienie wyników finansowych działalności schronisk w ub.r. (Spółka „Karpaty”) i na ich tle wartość udzielonych zniżek członkowskich. Mówił także o kierunkach prac nad ewentualnymi zasadami zmian w określeniu cen noclegów. W trakcie dyskusji uczestnicy Zlotu podawali przykłady odmowy udzielania zniżek członkom Towarzystwa, a także jego kadry programowej.

W ramach programu krajoznawczego odbył się trwający prawie trzy godziny pokaz przeźroczy na temat „Ziemia Białostocka”, przedstawiony z dużą znajomością rzeczy przez jednego z członków Klubu „Howerla”. Mimo, że pokaz nie dotyczył rejonów górskich piękno tego zakątka Polski urzekło uczestników Zlotu.

Część rozrywkową Zlotu przy ognisku prowadził niezrównany Józef Michlik – „Bacca” z Ostrzeszowa (w „cywilu” kierownik Schroniska PTT (a właściwie domu) – „Chyż u Basy” na Młodej Horze) przy pomocy zespołu muzycznego Klubu „Koliba” z Poznania. Gospodarze serwowali kielbaski z różną i dla

chętnych „boski nektar” z browaru żywieckiego.

Ostatniego dnia Zlotu pan Piotr Van der Cogen z Gliwic prowadzący wraz z żoną Szkołę Survivalu, Narciarstwa i Alpinizmu, przedstawił film video prezentujący działalność szkoły. Z zapartym oddechem obserwowano „wyczyny” młodych ludzi hartujących swą wolę i mięśnie w karkołomnych ćwiczeniach prowadzących do zdobycia umiejętności koniecznych przy wyprawach w góry wysokie oraz do silnych więzów koleżeństwa.

Przedstawiciele Klubu Górskiego z Dębina zadeklarowali zorganizowanie XV Zlotu Klubów Górskich w roku przyszłym w Kazimierzu nad Wisłą.

Po wykonaniu pamiątkowej fotografii Zlot zamknęto.

Należy podkreślić dobrą organizację Zlotu, wspaniałe pamiątki i upominki wręczone uczestnikom czy wreszcie zniżkę kolejową, dzięki której wielu mogło wziąć udział w imprezie. Na podkreślenie zasługuje praca księgarń z Białegostoku, którą prowadził autor przewodników po Bieszczadach i Beskidzie Niskim pan Tomasz Darmochwał.

W imieniu KTG ZG PTTK tą drogą jeszcze raz dziękuję Organizatorom za wzorowe wywiązanie się z przyjętych na siebie obowiązków. Dziękuję również Kierownictwu „Dworca Beskidzkiego” w Zwardoniu za trud związany z obsługą Zlotu.

Do zobaczenia za rok w Kazimierzu nad Wisłą.

Przewodniczący
Podkomisji Klubów Górskich
Pełnomocnik KTG ZG PTTK
d/s Górskich Baz Namiotowych
Wojciech Stankiewicz

O czwartej trzydziści wysiadamy na stacji Zeel am See. Na peronie pus- to, dookoła rozciągają się góry i ogrom- ne jezioro, od którego wieje chłodem. Świat jest ponury, miasto jeszcze uś- pione, a my zmęczone podróżą. Do tego wszystkiego na pobliskim przystanku Deutsche-Buss nie ma kursów do Heili- genblut, miasteczka położonego u stóp Grossglocknera. Okazuje się, że Zell am See oddziela od Heiligenblut masyw Wysokich Taurów, a jedyna droga pro- wadzi słynną Glocknerstrasse, prze- dzierającą się przez Alpy. Potrzebujemy prawie całego dnia na dotarcie stopem na kemping. Przejazd autostradą przez Edelweisspitze (2577 m) dostarcza nie- zapomnianych wrażeń. Z jednej strony to barbarzyństwo na górskiej przyrodzie, a z drugiej – wysokie osiągnięcie przyno- szące niemałe dochody.

Wystarczy jedno spojrzenie na ośnieżoną, skalno-lodową piramidę Grossglocknera, aby zapomnieć o kosz- marze podróży. Z Heiligenblut widok jest wspaniały. Wierzchołek góry, oświetlony promieniami zachodzącego słońca, na- biera surowego piękna. Tak długo cze- kałam na ten widok...

W obawie przed anomaliami alpej- skiej pogody postanawiamy zacząć wła- śnie od Glocknera. Cały rok snułyśmy pla- ny i marzenia tylko wokół tej góry, dla- tego widok bezchmurnego nieba decy-

Wysokie Taury (1)

Grossglockner

duje o pośpiechu. Wysokość 3798 m, nie wymaga jeszcze wstępnej aklimaty- zacji, więc pakujemy wory na cztery dni i wyruszamy w nieznane. Pierwszego dnia postanawiamy podejść doliną Möl na Franz-Josefs-Höhe. Zajmuje nam to cały dzień. Dopiero około osiemnastej docieramy zmęczone do celu. Trochę winne są temu plecaki, bo przecież tar- gamy ze sobą cały sprzęt: raki, czekany, linę i... namiot. Planujemy biwak w okolicach lodowca Pasterze, ale miejsce okazuje się nieodpowiednie. A dla- czego?... To, co widzą moje oczy, przerasta wyobraźnię. Wiem, że tutaj kończy się Glocknerstrasse, więc jestem przgoto- wana na widok parkingu i ludzi podziwia- jących z daleka piękno Alp. Ale to, co zo- baczylam... Na wysokości 2418 m stoi luksusowy Hotel „Kaiser Franz-Josef”, piętrowy kompleks garaży, supermarket, dwie kawiarnie, budynki z suwenirami, a do tego tłum ludzi przechylonych przez barierkę podziwia w dole lodowiec Pasterze. Jakby tego mało, jest jeszcze stacja Gletscherbahn – lodowego pociągu zwożącego turystów na lodowiec i z powrotem. Serce mi pęka, jak na to pa- trzę. Dopiero teraz rozumiem odczucia Wawrzyńca Żuław- skiego, jak pisał że *na Franz-Josefs przerażały go ryki syren samochodowych, warkot mo- torów i wybuchy dynamitu roz- sadzającego skały*.

Jest już wieczór, a my mamy jeszcze pół godziny łat- wej drogi do Hoffmanshütte, gdzie zatrzymujemy się na noc. Tam do razu inni ludzie, inna atmosfera i niezwykle uprzejmi gospodarze. Jutro o świcie planujemy wejść na lekko na Grossglockner i wró- cić do schronu. Szybko gotu- jemy kolację i prawie natych- miast zasypiamy.

Wstajemy o szóstej, tzn. o godzinę za późno. Zapła- cimy za to w swoim czasie. Rano jest zimny, niebo gra- natowe bez jednej chmurki, z widoczną jeszcze bladą tarczą księżyca. Jemy szybko śnia- danie i o siódmej jesteśmy go- towe. Najpierw schodzimy stromą ścieżką na lodowiec i zaczynamy lawirować pomię-

dzy szczelinami. Kłopoty zaczynają się prawie natychmiast. Dochodzimy do po- tężnej szczeliny przecinającej Pasterze wzdłuż. Zielonkawa odchłań w żadnym miejscu nie nadaje się do przeskoczenia. Czekamy na parę Francuzów, którzy wy- szli ze schroniska chwilę po nas. Zakła- damy raki i wspólnie udaje się nam prze- trawersować lodowiec. Teraz mamy do pokonania jakieś 200 m niezbyt trudnych skał. Błądząc po morenach bocznych lodowca nie możemy odnaleźć początku drogi. Upływający czas zmusza do „własnego wariantu”. Z lekką zadyszką docieramy do lodowca Hoffmana. Tu odpinamy czekany, zakładamy ponownie raki i wiążemy się liną. Upał jest nie- znośny, ale, niestety, jeżeli jeden lo- dowiec udaje się przejść o świcie, to na drugim ląduje się w południe! Taka już kolej rzeczy. Lodowcem Hoffmana pod- chodzimy do schroniska Erzherzog-Jo- hann-Hütte, położonego pod piramidą szczytową Glocknera (3454 m). Cztery godziny na zalanym słońcem lodowcu wystarczy, aby marzenia człowieka ogra- niczyły się do kubka herbaty. Odpoczy- wamy dłuższą chwilę, uzupełniamy nie- dobór wody i o czternastej trzydziści zu- pełnie na lekko ruszamy. Zmrok zapada dopiero o dwudziestej pierwszej, więc mamy jeszcze kilka godzin.

Szczyt wydaje się blisko, ale wiem, że to złudzenie. Spotkani przy- padkowo alpinisci pozdrawiają serdecz- nie i przypominają, że już późno. Wiemy o tym doskonale, ale na razie próbujemy dalej gonić słońce. Od schroniska pod- chodzimy najpierw łagodnym firnowym grzbietem, potem stromym żlebem na przełęcz w grani Kleinglocknera. Z tego właśnie miejsca powinna się zacząć czysto skalna droga. Tymczasem spo- glądam nieufnie na mikstowe płyty i eks- ponowaną grań prowadzącą na szczyt Małego Glocknera. Niezwiązany śnieg, mokre i oblodzone skały. W takim terenie nie ma mowy o pośpiechu. Po poko- naniu drugiej płyty myślę tylko o jednym: jak stąd zejdziemy i ile nam to zajmie czasu? Wprawdzie drogę wyznaczają metalowe tyczki, ale odległość między nimi nie pozwala na założenie porę- czówki. Mamy za krótką linę.

c.d.n.
Ewa Gnacik



Grossglockner

Był lipiec 1945 r. Koniec wojny przyniósł wielką wędrówkę ludów w poszukiwaniu nowej egzystencji. Ja, bezdomny warszawiak, wyruszyłem wraz z żoną na Dolny Śląsk. W plecakach mieliśmy szczątki dobytku, nieco żywności i skierowania Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów.

Pamiętna to była podróż: pociąg towarowy, potem wóz konny, własne nogi, ciężarówka. Po drodze gruzi Wrocławia, koczujący tłum w Legnicy, jakaś rozbita wioska, a w końcu prawie normalny świat w Jaworze. Na milicji znaleźliśmy nocleg i solidną kolację. Radzono nam, aby jechać „do Waldenburga” (podawano różne, dziwaczne nazwy polskie), że to istna Ziemia Obiecana...

A więc w drogę! Na pocztę wysłaliśmy kartę do rodziny – ciekawy dziś dokument. Na stacji kupiliśmy, za grosze, bilety. Normalny, prawie pusty pociąg mknął wśród pięknego, górskiego krajobrazu, zatrzymywał się na stacyjkach o niemieckich jeszcze nazwach. Wysiedliśmy na dworcu „Waldenburg Dittersbach” (dziś Wałbrzych Główny). Trolejbus zawiózł nas do centrum za 5 gr, co równało się, według ówczesnej relacji, 10 fenigom! Był hotel, czysty pokój, łazienka i piwo – znowu za 5 gr. Po mordedze ostatnich dni wszystko wydawało się nierealne.

Nie będę się rozwodził nad perypetiami naszego startu w Wałbrzychu. Dwa, trzy miesiące były trudne i głodne, na zmieniających się kwaterach, zupkach w Opiece Społecznej i gliniastym chlebie, ale wreszcie pracując, doszliśmy do własnego mieszkania i znośnej egzystencji.

Okolice Wałbrzycha stanowiły znakomity cel krajoznawczych wypraw. Po raz pierwszy znalazłem się w dużym mieście przemysłowym rozłożonym wśród gór. Zwiedzanie ułatwiła mi mapa w skali 1:12 500, a także tramwaje docierające głęboko w dolinne

odgałęzienia, rozległej stosunkowo aglomeracji miejskiej. Z każdego wzniesienia można było obserwować nowe widoki, nie zawsze jednak cieszyły one oczy.

Od początku intrygował mnie, odosobniony na zachód miasta, kopulasty Chełmiec; mówiono, że to szczyt najwyższy – moja mapa wskazywała: Hochwald 852 m (współczesne mapy 834 m). W październiku, gdy porastający go las bukowy rozbarwił się kolorami jesieni, po raz pierwszy forsowałem

tam całodzienną wędrówkę, mając starszego Niemca za przewodnika. Na miejscu spotkania ujrzałem postać w krótkich, skórzanym spodniach na szelkach, w grubych butach i kolanówkach, flanelowej koszuli i tyrolskim kapelusiku. Jakże niepoważnie prezentowałem się w swoim (jedynym) ubraniu i marnych półbutach! Ta konfrontacja była jednak owocna, bo już wkrótce wszedłem w posiadanie turystycznego stroju – ale po polsku.

Dawniej w Sudetach

WŚRÓD WULKANÓW

jego stromy stok przecinając spacerowe ścieżki. Była to chyba niedziela i na szczycie zebrał się spory tłumek ludzi. Czynna też była restauracja. Wszedłem na wieżę widokową, skąd dobrze było studiować topografię Pogórza i Gór Wałbrzyskich. Zafrapowały mnie stępione stożki wypowych szczytów, a w niemieckim przewodniku znalazłem informację o ich wulkanicznej przeszłości.

Wulkany! To przemawiało do mojej wyobraźni. Penetrowałem więc okolicę poszukując bardziej namacalnych ich śladów. Jako dyletant nie zamierzałem oczywiście dokonywać ścisłych badań, zadowalały mnie spostrzeżenia amatora-turysty; niechaj więc Czytelnicy nie oczekują naukowych relacji!

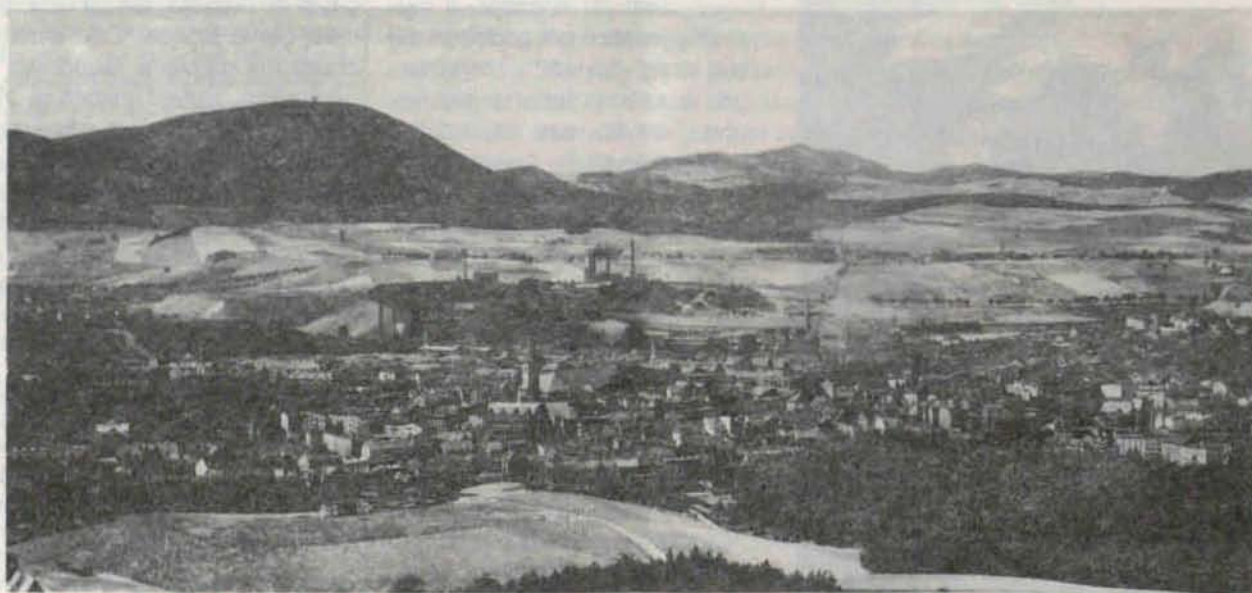
Gdzieś na północnych stokach Chełmca natrafiłem na jakąś odkrywkę, być może po dawnym szybie. Wygrzebałem tam pierwsze moje trofea. Były to tzw. bomby wulkaniczne, niewielkie białoróżowe kule ze zwierzęcego porfiru, z jakby kołnierkami po brzegach.

Mocno pociągało mnie gniazdo górskie na południo-wschód od miasta. Odbylem

Wracajmy na trasę. Z górnej części doliny Pełcznicy pomaszerowaliśmy na przełęcz między Kozłem, Suchą i Borową, jak wskazuje mapa – najwyższym szczytem Gór Wałbrzyskich (854 m). Z drogi mieliśmy szeroki widok na miasto zalegające w długiej dolinie, budynki mieszkalne, fabryki, kopalnie i koksownie, z których biły ognie i żółte, zasiarczone dymy – charakterystyczny obraz zagłębia przemysłowego ukrytego wśród gór.

Mineliśmy ośrodek sportowy i podeśliśmy pod stromą Górę Zamkową. Między drzewami zwróciłem uwagę na ruiny. Mój Niemiec uprzedził mnie w informacji, że są to ruiny zamku piastowskiego, zbudowanego w końcu XIII w., przez księcia świdnickiego Bolka I, zwane Nowym Dworem. I pośpieszył dodać, że już przed sześciuset laty król polski rzekł się Śląska. Wspomniałem o postanowieniach Poczdamu i na tym skończyliśmy temat.

Wygodne, spacerowe ścieżki prowadziły w górę przez las. Na jakiejś polance czynna była piwiarnia. Mnie jednak bardziej interesowały wulkany. Wkrótce też dopatryłem się, że stąpamy po licznych okruchach



Wałbrzych w dolinie Pełcznicy u stóp Chełmca. Foto: Adam Czarnowski



„Organy Wielisławskie” w Górach Kaczawskich

Foto: Adam Czarnowski

skął wylewnych: porfirach, bazaltach, melafirach, które już znałem z opisów w podręcznikach. Coś niecoś z tych okazów trafiło do plecaka. I tak minął dzień na obserwacji krajobrazu, wypatrywaniu skalnych okrucich i myślowych skojarzeń z przejawami wulkanizmu. Wśród młodej zieleni zawędrowaliśmy w okolice Jedliny-Zdroju. Był to ówczesny ośrodek sanatoryjny wojsk radzieckich i roiło się od przeróżnych typów antropologicznych.

Początkowo nie miałem do swych wypraw liczniejszych partnerów. Wkrótce jednak powstał Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, założony w 1947 r. przez Ferdynanda Drabika, późniejszego zasłużonego działacza ZG PTTK. Zorganizowano kilka wycieczek, m.in. z dojazdem ciężarówką w Góry Stołowe, Karkonosze i na pogórze sudeckie, gdzie znowu szukałem wulkanów. Był więc wspaniały stożek Ostrzycy, bazaltowe kolumny koło Smolnika i tzw. Wielkie Organy – odsłonięcie słupów porfirowych w Wielisławiu Złotoryjskim.

Nie mogę tu pominąć kilku obrazków charakteryzujących ów historyczny okres powojennego Wałbrzycha. W latach 1945–1946 miasto było szczególnym skupiskiem, jakby obozem przejściowym, gromadzącym międzynarodowy zlepek ludzki. W dominującym początkowo żywiole niemieckim szybko pojawili się liczni Polacy. Byli też Żydzi, uratowani m.in. z ciężkich robót w

okolicznych lasach, kamieniołomach i podziemnych fabrykach. Mieszkali żołnierze radzieccy i ich rodziny. Trafiali się też Francuzi, Włosi, Węgrzy, był jakiś rzekomy Szwajcar – podejrzewam, że spod znaku swastyki, a podobnych było więcej. Przybyli też Cyganie i Grecy.

Można było, zwłaszcza zimą, zobaczyć najdziwniejsze ubiory, spotkać unikatowe typy ludzi. Byli, na przykład, Niemcy z epoki Wilhelma II, jak mówiono: „alte Mode Herr” – postać w tużurku i meloniku, z bródką, w binoklach, z miną dostojną. Te i im podobne oryginały zaczęły zanikać; po Konferencji Poczdamskiej wyjeżdżano na Zachód.

W tym konglomeracie ludzkim żyło się raczej spokojnie. Nie pamiętam np. konfliktów na tle politycznym, czy narodowym. Prawie wszystkich łączyły jakieś sprawy bytowe, handlowe, lokalowe, również męsko-damskie i rozrywkowe. Miejscowy, jakże zdemo-

kratyzowany, „wielki świat” spotykał się początkowo na koncertach niemieckiej orkiestry jazzowej lub snobował się bywając w tzw. kasynie w Solicach-Zdroju (d. Salzbrunn, obecnie Szczawno-Zdrój), w parku, na deptaku i w restauracji, gdzie można było dostać bieszytk – w dni beźmieszne pod jajecznicą! Poza tym życie toczyło się jednak w znacznej przeważności. Większość mieszkań była prymitywna, a w ogóle domy zbudowane „tanio” i coraz mniej zadbane. Emanowały z nich zapachy minionych pokoleń – stęchlizna, myszy, wilgoć, piwo...

Ale powracam do wulkanów. W moich penetracjach dotarłem jeszcze do pobliskiego Kamieńska. Niedaleko stacji kolejowej znajdował się kamieniołom złóż porfiry. Było widać fragment komina wulkanu z zastygłymi warstwami potoków lawy, tufy oraz liczne bomby wulkaniczne; niektóre z nich, jak bochny chleba, a nawet większe, o kolorze ceglonym i brązowym. Były też tzw. lapille. Niektóre bomby miały kształty nieregularne, wydłużone, skręcone lub były popękane. Otaczał je z reguły zielonkawy nalot zwietrzliny.

W 1949 r. rozstałem się z Wałbrzychem. W zbiorach ze swoich wędrówek przechowywałem porfirowe bomby wulkaniczne z Gór Wałbrzyjskich i trochę zdjęć.

Adam Czarnowski

SZANUJMY TO, CO MAMY. CZYLI SCHRONISKA!

Po tym, co widziałem w czasie kilkudniowego pobytu w Beskidzie Żywieckim, nie sposób oprzeć się myśli, którą tak właśnie bym sformułował: szanujmy to, co mamy, czyli schroniska! Skąd taka myśl się wzięła? Obserwowałem, jak korzystają niektórzy turyści z urzędzeń, zwłaszcza sanitarnych, w schroniskach, a moje obserwacje potwierdził w rozmowie pracownik schroniska na Markowych Szczawinach. Jemu zaś trudno nie wierzyć, bowiem ma on tzw. bezpośrednią styczność z problemem, a mówiąc wprost: do jego zadań należy utrzymanie w czystości schroniska i jego zaplecza sanitarnego. Niektórzy goście schroniska zachowują się tak, jakby nigdy w życiu nie korzystali z umywalki czy WC. Jaki jest tego efekt, łatwo się domysleć. Dość powiedzieć, że wrzucanie fusów po herbacie do umywalki czy mycie zabłoconych butów w tychże, jest nader popularną czynnością. Niestety, celują w tym procederze młodzi uczestnicy zbiorowych wędrówek, których wciąż sporo, a których opiekunów niewiele obchodzi zachowanie podopiecznych. Oczywiście nie wszyscy turyści grzeszą w ten sposób i jestem daleki od uogólnienia. Spotykałem grupy młodzieży, nad którymi dyskretnie i skutecznie panowali wychowawcy. Ci młodzi turyści nie stwarzali problemów ani obsłudze schronisk, ani nie przeszkadzali innym.

Juliusz Wyslouch

ZŁE NAŚLADOWNICTWO

Zawsze, kiedy przyjeżdżam zimą w Tatry, natykam się na tabliczki wystawiane przez TPN zakazujące wchodzenia na szlaki powyżej górnej granicy lasu. Tabliczki te wystawia się niezależnie od tablic GOPRu, a dziś TOPRu – ostrzegających przed zagrożeniem lawinowym. Podobny zwyczaj pojawił się na Babiej Górze. Dawną tabliczkę, u wejścia na Perć Akademików, informującą o trudnościach na szlaku, zastąpiła tabliczka zakażająca poruszanie się po tym szlaku zimą. Oficjalnie wolno chodzić po „Akademickiej” od pierwszego maja. Nie bardzo rozumiem. Turystykę uprawia się na własną odpowiedzialność i, o ile się orientuje, nie ma takiego prawa w naszym kraju, które pozwalałoby zakazywać chodzenia po górach zimą. Autorzy coraz to nowych zakazów i ograniczeń zapominają, że ograniczając w ten sposób konstytucyjne prawo do poruszania się po terytorium własnego kraju. Istnieją przepisy dotyczące przebywania na określonych terenach, ale dotyczy to poligonów wojskowych i różnych obiektów specjalnych, przemysłowych itd., itp. Czy ktoś w końcu zweryfikuje mnożące się zakazy, nakazy i ograniczenia? Pytam o to, bo wbrew pozorom nie jest to blachostka, a swoboda, z jaką stanowi się nowe przepisy czy regulaminy, bliska jest samowoli i anarchii.

Juliusz Wyslouch



Zamkowe opowieści (29)

Był późny, mroczny, niedzielny wieczór. Na dworze na dobre już poszarzało, gdy Johann Kschock, mieszkaniec Białej, wsi klasztornej, położonej u północno-zachodnich podnóży Ślęży, wracał

I piekielny śpiew na wiele głosów zabrzmiał ponownie.

Teraz dopiero trzęsący się jak galareta mężczyzna dostrzegł kilka kotów siedzących na plecionym płocie od strony ogrodu. Przerzązo-

Aliści właśnie w tej samej chwili kocur zerwał się na nogi, wyprężył się i ziejąc ogniem dał potężnego susa aż na parapet otwartego okna, znajdującego się po przeciwnej stronie izby. Sus był

Zakochany diabeł

niezbyt pewnym krokiem od kumpla w Górcę. Odwiedził go zaraz po sumie. Kolega był służącym w tutejszym zamku.

W momencie, kiedy Kschock przechodził akurat koło starego opuszczonego domostwa, usłyszał dość niespodziewanie jakiś dziwny, budzący grozę koncert. Sparaliżowany strachem stanął jak skamieniały na środku wiejskiej drogi, nie mogąc ruszyć ani kroku do przodu. Wtedy głosy nagle ucichły, a z wnętrza zagrody rozległo się wołanie:

– Miauuu..., miauuu..., Johann, jak będziesz we Wrocławiu, pozdrów ode mnie gorąco Meermayer z „Błękitnej Pani”¹.

ny, zdobył się na ostatni wysiłek i na uginających się w kolanach nogach, z duszą na ramieniu, pobiegł zataczając się od płotu do, płotu do swojej chałupy, znajdującej się po drugiej stronie wsi, już na samym jej końcu.

W jakiś czas później Johann Kschock przybył do stołecznego Wrocławia. Po udanym i dość szybkim załatwieniu handlowych interesów, przypomniał sobie nagle o gospodzie „Pod Błękitną Panią”. Wiedziony chłopską ciekawością, udał się tam niezwłocznie, aby spełnić niecodzienne „zlecenie” sprzed paru tygodni.

Po solidnym posiłku, popitym okazałym garncem dobrego, węgierskiego wina, Kschock przywołał gospodarza, któremu oznajmił, że poszukuje niejakiego Meermayera, gdyż ma dla niego coś ważnego do przekazania. Zdziwiony gospodarz popatrzył na siedzącego mężczyznę i z nieukrywanym uśmiechem wskazał na stojącego w kącie izby piecu dużego, czarnego... kocura.

– To jest Meermayer – oznajmił, śmiejąc się z całkiem udanego żartu wiejskiego gościa.

doprawdy niesamowity! Potem zwierzę wyskoczyło na ulicę i... więcej go w tym domu już nie widziano.

Tymczasem Meermayer gnał jak opętany na przełaj przez pola, rowy, drogi, prosto w kierunku Ślęży.

Był to bowiem zakochany diabeł, którego w ten sposób wzywała stęskniona czarownica z Białej.

Julian Janczak

¹ „Błękitna Pani” była to stara gospoda na rogu Nowego Targu i ulicy Szerokiej (dziś Purkyniego). Ongiś, przed wiekami, w 1503 roku, żona tutejszego karczmarza Augustyna, Magdalena, była czarownicą. Potem dom ten przez długie lata stał opuszczony, nikt bowiem nie chciał go kupić, ani wydzierżawić. Cicho tu było i ponuro, jedynie w mroczne noce na dachu kamienicy harcowały koty.

Dopiero w wiele lat później, już po wojnie trzydziestoletniej, po odprawieniu przez proboszcza egzorcyzmów, osiadło tu młode małżeństwo z Warszawy i otworzyło winiarnię. Aby zaś uchronić budynek przed piekielnymi mocami w narożniku od ulicy wmurowano figurę Marii w błękitnym płaszczu. Odtąd kamienicę nazywano „Pod Błękitną Panią”.

Ciekawe te perypetie dokładnie omówione są w książce „Z tamtej strony historii, czyli wrocławskie i dolnośląskie legendy, podania, baśnie i niesamowite wydarzenia. Wybrał i do druku przygotował Julian Janczak. Wrocław 1993”. (Opowiadanie „Prawdziwa czarownica”).



Johann Kschock



MASYW
ŚNIEŻNIKA

L.K.
JANOWA GÓRA

KOŚCIÓŁKI NA ZIEMI KŁODZKIEJ W GRAFICE KOMPUTEROWEJ LESZKA KUMORA



L.K.
KAMIENICZAK
k/Międzylesia



L.K. ZALESIE
WĘSTRZYCY KŁODZKIEJ

Pomnik Koziołka Matołka w Zakopanem?

Bodajże nieliczni są tacy miłośnicy Tatr, którzy nie mieli w ręku książek Kornela Makuszyńskiego, czy to jako dzieci zastłuchane i utrwalające rytmiczne strofy „120 przygód Koziołka Matołka”, czy to jako nastoletni amatorzy zwirowanych przygód „Panny z mokrą głową” lub też „Szatana z siódmej klasy”.

W lipcu 1993 r. minęło czterdzieści lat od śmierci honorowego obywatela Zakopanego, gdzie w 1966 r. zaistniało w dawnym jego mieszkaniu Muzeum Makuszyńskiego. W styczniu 1994 r. minęła zaś 110 rocznica urodzin. Obie skłoniły entuzjastów jego twórczości do ogłoszenia pomysłu usytuowania w Zakopanem, przed „Opolanką” – ostatnim miejscem jego zamieszkania – pomnika, popiersia pisarza lub przynajmniej figury jednego z jego wspinających bohaterów – Koziołka Matołka.

Czy warto ozdabiać Zakopane jeszcze jednym pomnikiem? O tym zdecydują jego władze, ale pomysł przypomnienia człowieka, który dla tego miasta zrobił tak wiele – warto rozważyć. Makuszyński urodził się w 1884 r. w Stryju, skończył studia filozoficzne we Lwowie, po Janie Kasprowiczu objął dział recenzji w lwowskim „Słowie Polskim”, które również sporo miejsca poświęcało artykułom o treści turystycznej, krajoznawczej i sportowej. Od 1918 r. mieszkał Makuszyński w Warszawie, ale od dzieciństwa wielokrotnie odwiedzał Zakopane, w którym zakotwiczył na stałe w 1927 r. po małżeństwie z córką prof. Gluzińskiego i zamieszkał w willi „Ustronie”.

Do dziś zakopiańskie zawody narciarskie dla dzieci nagradzają zwycięzców nagrodą im. Kornela Makuszyńskiego. Dzieje się tak m.in. dlatego, że już w 1930 r. pisarz patronował klubowi sportowemu „Wisła” w Zakopanem i ufundował nagrodę za narciarski bieg z przeszkodami według własnego pomysłu. Pisarz propagował także narciarstwo wśród dzieciaków, fundując im narty i inicjując zbiórkę pieniędzy na ich zakup. O popularności Maku-

szyńskiego świadczą nie tylko krociowe nakłady jego książek, ale i wspomniane honorowe obywatelstwo miasta oraz tytuł honorowego członka Związku Podhalan.

Dziś willa „Opolanka” i czteropokojowe muzeum należy do najliczniej odwiedzanych w Zakopanem placówek. Wizyta przy ul. Tetmajera 15 należy do stałego repertuaru wielu wycieczek szkolnych, wszak Makuszyński to lektura szkolna. Muzeum pisarza ma rangę filii Muzeum Tatrzańskiego, co też mówi o jego znaczeniu dla dziejów literatury i kultury Podhala.

Mieszkanie wypełniają liczne cenne zbiory, głównie pamiątek osobistych po Makuszyńskim, ale na ich czele są liczne znakomite dzieła malarskie Wyspiańskiego, Fałata, Sichulskiego, Skoczylasa, Stryjeńskiej, a obok liczne wydania książek oraz ilustracje do nich.

Zwiedzając Stary Cmentarz w Zakopanem łatwo zauważymy, że grób Makuszyńskiego należy do odwiedzanych często, pokryty jest setkami tarcz szkolnych, pamiątek od jego czytelników. Rocznie, które minęły, są ledwie okazją do przypomnienia jego twórczości. Do wspomnienia o zakopiańczyku z wyboru, który utrwalił podtatrzańską stolicę w swoich książkach, o człowieku, który wzruszał i rozśmieszał swoimi utworami.

Tomasz Kowalik

PS. Jeden z projektów pomnika ku czci Makuszyńskiego przedstawia Koziołka Matołka, który zwiedził świat – „po szerokim szukał świcie tego, co jest bardzo blisko” – niezwykłego krajoznawcy, obieżyświata, wędrowca z Pacanowa. Więc może warto, żeby ten pomnik świadczył, że Koziołek Matołek dotarł również do Zakopanego i w Tatry?



Weroniki Sobolewskiej i Szymona Płazy

PANOPTICUM GÓRSKIE

Dostojni i dojrzałym wiekiem czytelnicy „Problemów” sprzed lat pamiętają, jak wielkiej im uciechy w każdym numerze tego, świetnie wówczas redagowanego pisma, sprawiał przedowcipne *Cicer cum caule*, pieczołowicie i ze smakiem uprawiane przez Juliana Tuwima. Formalnie rzecz biorąc był to, zgodnie z tytułem, „groch z kapustą”. Tuwim, erudyta i bibliofil, znawca rzeczy przedziwnych (to on przecie napisał i opracował wspaniałe *Czary i czarty polskie oraz wypisy czarnoksiężskie*, 1924), gromadził tu i do druku podawał najprzeróżniejsze osobliwości, paradoksalnie nieraz śmieszne, a przecież stanowiące nieraz przyczynek nie tylko do dziejów głupoty w Polsce. *Cicer cum caule* było dowcipne, bawiło wspaniale, ale i miało tę zaletę, że przez pryzmat specyficznie dobranych anegdot, cytatów, wypisów, informacji i relacji zmuszało do refleksji nad pewnymi właściwościami ludzkich zachowań i nad różnymi drobnymi aspektami dziejów kultury. Tym śladem Tuwima szedł później wrocławski uczonek – erudyta, Roman Kaleta, gdy po trzykroć wydawał smakowicie pozbierane i arcydokładnie opracowane *Sentencje z dawnych lat*, zawierające zresztą i ciekawostki dotyczące gór, których – niestety – u Tuwima nie było. Kolekcjonerzy zaś, zmarłej nieszczęśliwie jakoś przed z górą dziesięcioleciem, „Serii Tatrzańskie” Wydawnictwa Literackiego pamiętają bez wątpienia, że jednym z tomów, jakie się w niej ukazały, były *Osobliwości i sensacje tatrzańskie* w wyborze i opracowaniu Jacka Kolbuszewskiego.

Otóż idąc tropem tej tradycji, zapoczątkowanej, jako się rzekło, przez Tuwima, otwieramy niniejszym najuroczyściej nasze *Panopticum górskie*, gromadzące „dla memoriału, dla nauki, dla praktyki, dla rozrywki” (jak by to książd Benedykt Chmielowski powiedział), dla celów więc różnych, częściowo pewnie niepoważnych niż poważnych, materiały, notatki, informacje, fragmenty utworów literackich, zawsze dotyczące gór i zawsze coś w sobie mające osobliwego. Ich panoptikalność zdaje się osobliwie sprawiać, iż choć same w sobie nie mają doniosłego znaczenia, to jednak w osobliwy sposób uzupełniają one dzieje różnych aspektów ludzkiego bytowania w górach i pojmowania ich roli – na przykład kulturowej. Zbieranie tego rodzaju materiałów nazwał kiedyś Roman Kaleta „erudycją cudaczną” i jest to bez wątpienia określenie celne. Warto jednak pamiętać, że każdy z prezentowanych tu tekstów, każde ukazane zjawisko, każde zdarzenie, mieści się gdzieś na peryferiach godnych uwagi zjawisk kulturowych i może stanowić przewrotny do nich komentarz. Wiąże się to zaś z godnym uwagi faktem, iż bardzo często (właściwie – zazwyczaj) teksty, relacje, zapisy, tworzone w najpoważniejszych intencjach, odczytywane po latach bądź z jakiejś zmienionej perspektywy, nabierają innego zgoła, niż zamierzony, sensu. Miał głośić prawdy głębokie i poważne – śmieszą, miał przerażać – rozbawiają. Wcale to jednak nie oznacza, by zbiorowi temu patronowała jakaś prześmiewcza, z góry założona tendencja. Znajdą się tu bowiem także i takie materiały, które, nawet z tej zmienionej perspektywy odbioru i mimo upływu lat, ciągle zachowują wyrazistą aktualność. Świadomi zatem, że nie wszystko złoto, co się świeci, góra się z górą nie zejdzie, że w górach dzieć się mogą iście przedziwne i niezwykle rzeczy, otwieramy *Panopticum górskie*, tak pełne różności, jak ów staropolskiego poety „kram rozlicznego gatunku”, „bróg, ale co snop, to innego zboża”, „ogród, ale nie plewiony”. I niech każdy w nim coś dla siebie znajdzie...

„TU SIUSIAŁ LENIN W DRODZE DO PIENIN”

Słynne w swoim czasie Rajdy Lenińskie po Tatrach i Podhalu, uroczyste kończące przy Muzeum Lenina w Poroninie, gromadziły tysiące uczestników. Tak ich było wielu, że kto w tym czasie przyjechał do Zakopanego i w Tatry, ten na nocleg w Domu Turysty i w tatrzańskich schroniskach nie mógł liczyć. Jahonorniejszą zaś trasą rajdową był tatrzański Szlak Lenina, wiodący z Zakopanego przez Zawrat do Morskiego Oka. Mówiąc

nawiasem, rzecz to dziwna, że brały w tych rajdach udział tłumy prawdziwe, dziś zaś jakoś nikogo nie można spotkać, kto by się do udziału w tej imprezie przyznawał, choć tak wielu działaczy i turystów pod sztandarami swoich kół i oddziałów PTTK wypręgało się przez pomnikiem Wodza Rewolucji w czasie podniosłych, radosnych uroczystości zakończenia każdego Rajdu Lenina. Ile tych rajdów było, kto się na nich wyróżnił szczególnie, o tym czytać można na przykład w starych rocznikach „Turysty”. Ale – mniejsza z tym...

Każdy szanujący się uczestnik Rajdu Lenina wiedział, że Przywódca Światowego Proletariatu, Włodzimierz Iljicz Lenin odbył w 1912 r. wycieczkę na Babią Górę i stamtąd widział Tatry, że bawiąc na Podhalu w roku 1913 i 1914, odbywał z Poronina wycieczki w Tatry, że był na Rysach, gdzie słynął odwagą. Gdy bowiem na podszczytowej granicy dość było trudno i groźną powiało, gdy mu towarzysze powiedzieli, że może lepiej zawrócić i nie ryzykować, wówczas wyrzekł te słynne słowa, iż trudności na to są, by je przezwyciężyć. I nie dał się, wszedł na szczyt! To na cześć jego wycieczki przez Zawrat do Morskiego Oka (1913) szlak ten nazwany był Jego Drogim Imieniem. Pamięć o tym wszystkim utrwalana była gorliwie i pielęgnowana pieczołowicie. I także za sprawą pisarzy – wcale nie pośledniego lotu – pobyt Włodzimierza Iljicza na Podhalu stał się mitem, kreowany zaś był na ważny element lokalnej, ale mającej przecie znaczenie szersze, tradycji: rewolucyjnej tradycji Podhala!

Ileż więc napisano pięknych wierszy o pobycie Lenina w Poroninie! Serdecznie, z miłością wyrażały one głębokie przekonanie, iż tu, na naszej podhalańskiej ziemi, w Poroninie, w głowie Wodza Rewolucji zrodziły się myśli, które przemieniły świat. Pielgrzymowali więc poeci do Poronina i tam doznawali przeżyć niezwykłych, wręcz – wizyjnych. Pisał Mieczysław Jastrun w wierszu *Wspomnienie z Poronina* (z tomu *Barwy ziemi*):

*Zarysy Tatr śnieżycą sprzed oczu porywa,
Wierzchołki czarnych świerków wiatr okrywa.
Legenda? gdzie tam! powieść prawdziwa
Dobija się do mego serca.*

*Zamieci kłęb, ta nawałnica gniewu!
Świecący kurz z kaptura wyobraźni,
Tu gdzie się dźwiga gigant granitowy, Giewont,
I masyw skał okrakiem z nieba złazi.*

*Tutaj go widzę, nie jak nieruchawy pomnik,
Lecz jak człowieka, co się w płaszcz otula.
(Później, widziałeś jego płaszcz, przypomnij!
Który przebiła eserowska kula).*

*Ręce założył w tył. Czoło potężne,
Czaszka okryta szerokim kapeluszem.
Tak – wcześniej – z myślą, jedynym orzęmem,
W grudniową noc z Finlandii uszedł.*

Dobrze umiejąc życiorys Lenina, nie przejmował się poeta zbytby wiedzą o Tatrach: Giewont stał się u niego granitową górą, jakby ideologicznie potężniejszą – ale też jawił się Lenin jako większy od tych gór:

*On z czasem przyszłym grał w kamienne szachy tutaj,
Gdzie tysiąclecia gór, co tylko przeszłość znają,
Ciężą – gdy on w przeskokach myśli, w rzutach,
W przewidywaniach żył, jak w własnym kraju.*

*Ale bo też i nie był to zwyczajny człowiek:
Gdy z faktem wiązał fakt, to z nich konieczne wnioski
Niby strumienie ze źródeł wynikały.
Rozmawiał z nimi tu, mieszkając wioski,
Lecz widać było, że zszedł z orlej skały.*

*Myśl jego w kłębach śnieżycy i w dymie
Nadlatywała, aby się na naszym brzegu,
Ubrać się w słowa, przyjąć jego imię
I w słońcu trwać jaśniejsza od górskiego śniegu.*

Za sprawą swego geniuszu jawił się przeto poecie Lenin Wiecznie Żywy:

*Kto jak on umiał rozkazywać wiekom,
Nie umarł. Widzę go wśród górskiej zimy.
Tu mieszkał. Jeszcze dziś skalistą ścieżką
Idzie z rękami w tył założonymi.*

Nie wszyscy poeci byli takimi wizjonerami, by Lenina zobaczyć, dla wielu jednak wizyta w Muzeum Lenina w Poroninie była przeżyciem tak silnym, że domagała się ekspresji w mowie wiązanej. Spośród różnych tego typu utworów przytoczyć warto *Muzeum Lenina w Poroninie* Mariana Piechala (z *Wyboru poezji*), także ten bowiem poeta wyraził przekonanie, iż myśli Lenina były silniejsze od praw i sił natury:

*W Poroninie, w góralskiej chacie,
zbudowanej z świerkowych bali,
mieszkał Lenin przed wielu laty –
„Orzeł górski” – powiedział Stalin.*

*Obok chaty strumień się toczy,
nad strumieniem wicher z gór wieje.
Ale dalej niż strumień i wicher
biegły myśli wplecione w dzieje.*

*On na skrzydłach tatrzańskich wichrów
biegł, strumieniem sływał w doliny.
Jego słowa w podziemiach krzywdy
wybuchały nagle jak miny.*

(...)

*Bezlitosnym dziobem dialektyki
wykuwały dni jasnych ziarna,
kiedy w chacie góralskiej, gdzie mieszkał
w Poroninie trwała jeszcze noc czarna.*

*Przed tą chatą dziś, odlany z brązu,
na tle mglistym Giewontu w dali
Stoi Lenin na złomie skalnym –
„Orzeł górski” – powiedział Stalin.*

To kultowe traktowanie pobytu Lenina w Poroninie znalazło także wyraz w piosenkach. Jedną z nich głosiła światu:

*Mieszkał tutaj, w Poroninie,
U podnóża pięknych Tatr,
Dziś piosenkę o Leninie
Podhalański nuci wiatr!*

Podhalańsko-poroniński kult i mit Lenina odbiły się też nieprzypadkowym echem w szkolnych wypisach. Jeden z takich wierszy, utrwalaony w pamięci dobrej uczennicy z tamtych lat, ukazywał, jak wielkim jest przeżyciem dla zwykłego, prostego człowieka, stąpanie po tej ziemi, po której Lenin także chadzał:

*Na małej stacji w wiosce Poronin,
Gdy pociąg stanął wśród zgrzytu szyn,
Wyszedł z wagonu ojciec, a po nim
raźno wyskoczył na peron syn.
Wyszli na drogę, wesoło idą,
Miło, spokojnie płynie im czas,
Gdy podziwiają wspinały widok,
Góry i chmury, strumień i las.
Ożywczy strumyk chłodzi ich mile,
Na kładkę przeszli na drugi brzeg,
Ojciec przystanął, pomyślał chwilę,
Spojrzał na syna i tak mu rzekł:
– Tu, po tych ścieżkach, dawno lat temu,
Za moich młodych, dziecinnych lat,
Chodził na spacer człowiek, któremu
Nową epokę zawdzięcza świat.
Wiesz, o kim mówię? – Wiem, o Leninie.
Czy Lenin tu mieszkał, czy tutaj żył?
– Tak, na tej ziemi, tu, w Poroninie
Przed żandarmami cara się krył.
Nim rewolucja wstrząsnęła światem,
Zanim się carski zawałił tron,
Lenin dwukrotnie mieszkał tu latem,
Tu swe zwycięstwa obmyślał on.
Zamilknął ojciec i zamyślił*



*Obaj w skupieniu i ciszy szli
Podgórską ścieżką, po której Lenin
Być może chodził za naszych dni.*

Tych wierszy, czytańek, opowiadań, naukowych i popularnych artykułów o Leninie było oczywiście więcej. Rzecz godna osobnego, poważnego studium. Ograniczając prezentację tego panoptikalnego mitu do tych wybranych przykładów, musimy jednak choćby tylko zasygnalizować jeszcze i ten fakt, że miał ów poroniński kul Lenina jeden jeszcze, równie godzien uwagi, aspekt. Oto bardzo szybko doszło do jego folkloryzacji, tyle tylko, że opowiastki, anegdoty, wierszyki z owym tematem związane, niezbyt się do rozkrzewienia kultu Lenina przyczyniały, jednoznacznie go ośmieszając. Śpiewano więc na przykład (kto ją zna całą?) pioszeczkę, zaczynającą się od słów:

*W Poroninie na kominie
Wiszą gacie po Leninie.*

Opowiadano też, jak to w czasach zakładania Muzeum Lenina, gdy organizatorzy zwrócili się o pomoc do księdza, po jego apelu z ambony o przynoszenie pamiątek po Leninie i czasach, gdy był on na Podhalu, zniesiono do powstającego muzeum kilkadziesiąt par starych, zdartych portek i tyleż połamanych wiekowych parasoli. a także innych zbędnych gratów, zapewniając, że używał ich Lenin. Gdzieś w folklorze przewodnickim powstało to słynne powiedzenie: *Tu siał Lenin w drodze do Pienin*. Z tymi słowami miał ponoć któryś z przewodników pokazywać jakieś krzaki czy zarośla. Nie brakowało i anegdot. Jedną mówiła, że gdy się stary przewodnik, który miał w górach uratować życie Leninowi, dowiedział, komu ofiarował swą pomoc, złapał za głowę i zaczął płakać. Inna zaś dotyczyła mądrości Lenina. Oto zdarzyło się, że jakaś letniczka z Warszawy opalając się nago nad potokiem, zasnęła. Przechodził tamtędy stary góral i by zgorzelenia nie było, przykrył jej przyrodzenie kapeluszem. W chwilę zaś później szedł tamtędy Włodzimierz Iljicz. Popatrzył, popatrzył i wypowiedział pełne głębokiej mądrości słowa: – Wiele w życiu widziałem, wiadome są mi różne formy ekonomicznego i społecznego ucisku człowieka pracy, a jestem też świadom, że różne są formy wyzysku proletariatu i ludu pracującego wsi, ale żeby chłop tak wessało, to widzę po raz pierwszy.

Lenina dotyczyły też inne, jeszcze mniej przyzwoite dowcipy, więcej też było ośmieszających jego mit i kult pobytu w Poroninie piosenek. Być może czytelnicy „Na szlaku” znają je i jeszcze pamiętają? Miło nam będzie, jeśli zechcą się z nami wszystkimi podzielić tą wiedzą o owym, doprawdy dziwnym, rozdziale w dziejach polskiej kultury górskiej.



Orawskie impresje

stety! – portrety starych ludzi.

Wernisaż odbył się 15 kwietnia br. z udziałem naprawdę licznej widowni, w miłej, niekonwencjonalnej atmosferze, co niewątpliwie udało się dzięki staraniom dyrektorki Miejskiej Biblioteki Publicznej – Marii Dudowej i kierowniczkii filii – Krystyny Mikowej. Wystawę zaszczylił

– Nikt mi tu nie przeszkadza podczas pracy, nie ma ludzi ciekawskich, mogę spokojnie i długo robić zdjęcia!

– Pokazujesz obiekty sakralne, zaliczane raczej do małej architektury i cmentarz żydowski...

– Kapliczki są mi potrzebne do katalogu zabytków sakralnych na Orawie, który kiedyś pewnie zostanie wydany, a kirkut jest od dawna moim tematem numer jeden.

– Pokazujesz twarze starych ludzi, steranych życiem, nie można ich tu nie zauważyć!

– Twarze mają coś w sobie, coś niosą, to czas je orze! Ludzie ciężko tu pracują i twarze się zmieniają pod wpływem tej pracy, wiele mówią, żyją nawet po ich śmierci!

– Przyznaję rację, ale widziałem już lepsze Twoje fotografie ludzkich twarzy...

– Tak! – te, o których myślisz, są w zbiorach Skansenu w Zubrzyicy Górnej.

– Jest to Twoja któraś z rzędu wystawa. Co w planach?

Orawa w Gliwicach zadomowiła się na dobre. Początkowo za sprawą Kręgu Przyjaciół Orawy im. Tomasza Nowalnickiego, niestety, już nieistniejącego, a następnie widoczna była i jest w działalności członków dawnego Kręgu i jego sympatyków.

Co pewien czas, w tej raczej spontanicznej, a mniej programowej działalności, zdarzały się rodzinne, na które trzeba i należy zwracać uwagę.

Niewątpliwie do takich zdarzeń zaliczyłbym wystawę fotograficzną „Orawskie impresje” Antoniego Krzewniaka. Przygotowana została przez Miejską Bibliotekę Publiczną – Filię nr 5 w Gliwicach (os. Sikornik).

Antoni Krzewniak, były członek Kręgu, fotografik, miłośnik Orawy i Spisza – zasłynął nie tylko z doskonałych zdjęć, ale także ze swojej działalności na rzecz udokumentowania społeczności żydowskiej na tych terenach. Dzięki jego wytrwałości i ogromnemu zaangażowaniu, jedyny istniejący kirkut po polskiej stronie – w Podwilku, został metodycznie zbadany i opisany.

Na wystawę złożyły się fotografie kolorowe i czarno-białe dużych formatów, przedstawiające obiekty sakralne: kościoły, kapliczki, figury przydrożne; przykłady budownictwa orawskiego i fragmentarycznie – nie-

swoją obecnością przewodniczący Rady Miasta – Tadeusz Grabowiecki.

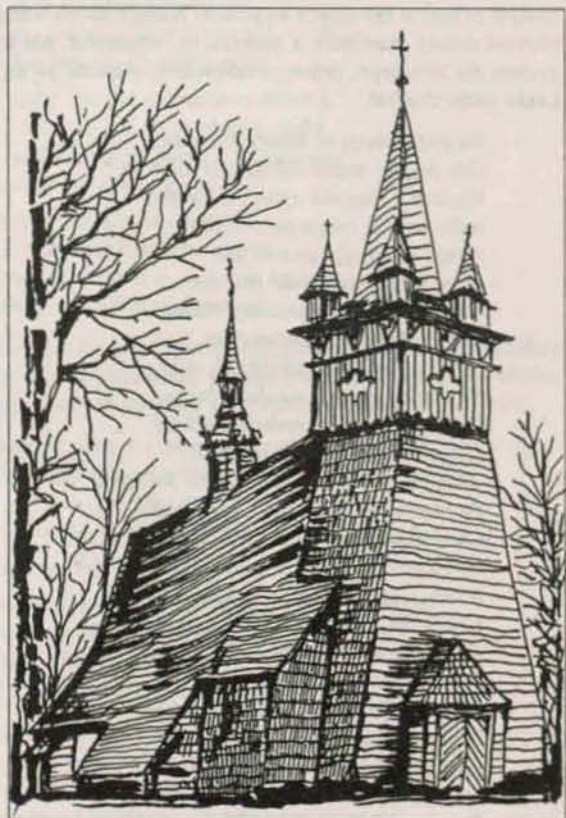
Z niektórymi fotografiami byłem emocjonalnie związany, przedstawiały bowiem figury i obiekty, które w przeszłości mnie zaciękały i stanowią fabułę do moich artykułów (kościół Św. Jana Chrzciciela w Orawce, kapliczka i figura Św. Anny w Podwilku, danielczańska Pieta, kirkut w Podwilku). Z zainteresowaniem oglądałem fotografie obiektów orawskich po stronie słowackiej (spichlerze w Podbielu, Zamek Orawski).

Poprosiłem autora – Antoniego Krzewniaka, o krótki wywiad dla czytelników „Na szlaku”:

– Znając Twoją twórczość zaobserwowałem na tej wystawie nowe elementy – fotografie Orawy z drugiej strony kordonu...

– Tak, gdzieś przed miesiącem, za namową bliskich mi osób, zdecydowałem się na pokazanie Orawy po jednej i drugiej stronie granicy. W moich zdjęciach nie będzie podziału, będzie tylko Orawa. Na tej wystawie jest tego trendu pierwsza zapowiedź. Będę szukał różnic i elementów łączących.

– Coś Cię urzekło na Orawie, prawda?



– Przygotowuję się do pokaza-
nia tych samych obiektów, ale inaczej,
chciałbym, aby żyły, tchnęły w nie życie,
pokażę je z ludźmi, podczas kultu. Nie
chcę, aby były takie martwe, stojące w
połu i żyjące jakby tylko dla siebie. I
niespodzianka: przygotowuję się do
wystawy poświęconej Spiszowi, ale to
już będzie niespodzianka, także dla
Ciebie!

**Dziękuję! – poczekamy na nią,
zycząc Ci spełnienia tych planów.**

Wracając do wystawy – nie
wiem, kto wpadł na pomysł – organi-
zatorzy czy autor, aby podczas wer-
nisażu skojarzyć tematykę orawską z
muzyką irlandzką i hiszpańską! Spo-
dziawałem się – nie ukrywam – dyso-
nansu. Mile byłem zaskoczony. Balla-
dy, piosenki i muzyka tańców irlandz-
kich, w wykonaniu zespołu „No Name
Band”, a szczególnie w wydaniu so-
listki Iwety Pakosz, nie tylko nie raziła,
lecz dziwnie współgrała. To nie pa-
radoks! To samo mógłbym powiedzieć
o drugim zespole – „Szybki Lopez”,
prezentującym muzykę hiszpańską
(flamenco).

Może takie skojarzenia, takie
skrajności są potrzebne od czasu do
czasu? Może znużenie pewną szta-
mpą takich spotkań pozwala na podobne
mariaże?

W tej sytuacji nie zdziwiła mnie
prośba solisty zespołu Michała Cza-
chowskiego, grającego muzykę hisz-
pańską, o zamieszczenie w mojej re-
lacji apelu do wszystkich miłośników
tej muzyki o zgłaszanie się pod telefon
w Gliwicach: 38-10-46 na wspólne gra-
nie. Warto!

Wyda mi się, że dla członków
obu zespołów tematyka wystawy była
nie mniej egzotyczna, jak dla nas,
obecnych na wernisażu, ich muzyka.
Coś jest w Orawie, że potrafi tak
kojarzyć skrajności!

W drukowanym programie wy-
stawy zauważyłem błąd – raz używa
się nazwy Skansen, raz Muzeum Etno-
graficzne. Dla ścisłości – są to okre-
ślenia potoczne i w takim programie
błędne! Instytucja ta nosi nazwę Mu-
zeum – Orawski Park Etnograficzny.

Na koniec, poproszony o wpisa-
nie się do wyłożonej książki, zo-
baczyłem wcześniejszy wpis, który tak
mi się spodobał, że właśnie nim po-
stanowiłem zakończyć tę relację:
Brawo Antoś – Mama.

Tak! – brawo...

Ryszard M. Remiszewski

Któż z miłośników Karkonoszy, a
Sudetów w ogóle, nie zna oryginalnej i ma-
lowniczej sylwety kościółka, który wznosi się
w górnej części Karpacza. Każdy, kto rusza
stąd na Śląski Grzbiet, albo zeń schodzi, staje
jak zauroczony przy granicy Karkonoskiego
Parku Narodowego. Nie spotykane formy,
zdobnictwo, w całości drewniana konstrukcja
i romantyczne otoczenie. W sezonie tłoczą się

pruskiego króla Fryderyka Wilhelma IV,
poinformował o tym władcę. Królowi „udało
się” skłonić Dahla do odstąpienia zakupu z
zamiarem wzbogacenia pejzażu Wyspy
Pawiej na Wannsee w południowo-zachod-
niej części Berlina. Rozebrana konstrukcja
przez Lärdaal, Bergen i Szczecin dotarła do
Muzeum Królewskiego, ale decyzja uległa
zmianie. Z kłopotu wybawiła króla hrabina

Jubileusz Wangu

tu wycieczki, indywidualni turyści czekają w
kolejce, by z grupą dostać się do środka. Bo
warto to uczynić. Jest ten kościółek jedynym
tego typu w Polsce i w rozległej konty-
nentalnej okolicy, jako że pochodzi z krainy
Wikingów, z Norwegii. Akurat przypada 150-
lecie jego ustawienia w tej części Sudetów,
wzbogacając i tak interesujący region w
kolejną, i to dużą, atrakcję. Przypomnijmy,
jak to było.

Otóż około 1840 r. ważną decyzję
podjęła ewangelicka parafia z miejscowości
Vang, położonej nad niewielkim jeziorem
Vangsmjøsa, tuż zresztą przy rozległym
wydłużonym jeziorem Mjøsa. Jest to mniej
więcej w połowie między Oslo a Lille-
hammer (dopiero co była tam zimowa
olimpiada!), na zachodnim skraju Hedmark.
Szukać jej należy tuż przy większym mie-
ście, jakim jest Hamar. Dotychczasowy
nieduży kościół, pamiętający czasy raso-
wych Wikingów, był już i za stary, i za ma-
ły. Ale że doceniano jego wartość, parafia-
nie postanowili sprzedać budowlę i za
pieniądze uzyskane w ten sposób wybu-
dować nową świątynię. Bo na remont
dotychczasowej i inwestycję nie było ich po-
 prostu stać. W końcu to i dziś odległa, słabo
zagospodarowana południowonorska
prowincja. Przy odnowieniu byłoby bo-
 wiem sporo zachodu, a stąd i kosztów.
Kościółek był nader wiekowy. Do dziś
znawcy nie osiągnęli porozumienia, ile ma
lat. Jedni wskazują na połowę XI w., inni,
zwłaszcza Norwegowie, możliwość jego
powstania zamykają w granicach 1250-
1319. Tak czy inaczej, budowla dźwiga
ponad sześćset lat!

Postanowienie dotarło i do Johana
Christiana Dahla, malarza urodzonego w
Norwegii, ale pracującego w I poł. XIX w.
w Dreźnie. Zebrał on 80 talarów w złocie
(to była wówczas bardzo duża suma, ale
czegoś się nie robi z miłości do obiektów
swojej pasji!). Nowiną tą musiał podzielić
się z otoczeniem, w którym był Caspar
David Friedrich, inny, niemiecki malarz,
którego romantyczne obrazy cenione są po
dziś dzień. Onże, przebywając w otoczeniu

Fryderyka von Reden, rezydująca na co-
 dzień w Bukowcu koło Kowar. Przekonała
go, że wobec braku świątyń ewangelickich w
rejonie Jeleniej Góry, a szczególnie Karko-
noszy, warto zrekonstruować zabytek jako
żyjący nadal kościół. Tak też się stało.
Kanałami, potem Odrą do Malczyc, a stąd
wozami elementy kościółka Wang, jak
zaczęto go nazywać, dotarły wreszcie do
Karpacza. Wybrano dlań niewielkie spłasz-
czenie na morenie końcowej lodowczyka,
jaki schodził w plejstocenie z rejonu kotłów
Małego i Dużego Stawu, z piękną perspek-
tywą na Kotlinę Jeleniogórską i Rudawy
Janowickie. Mówi się, że zapewniało to też
widoczność oryginalnej bryły i przez hrabinę
z jej dworku. Latem 1842 r. ruszyły więc
prace budowlane, w trakcie których okazało
się, że do ponownego zastosowania nadaje
się zaledwie 7% części, na szczęście tych z
wnętrza, najcenniejszych. Resztę dorobiono,
mniej lub bardziej udanie z punktu dzi-
 siejszych wymogów konserwatorskich, ale
obecnie i tak mało kto w tym się rozezna.
Dodano natomiast kamienną wieżę, która
skutecznie chroni świątynię przed hura-
ganowymi często fenami. Wreszcie
28.07.1844 r. odbyło się ponowne po-
 święcenie kościoła, w sposób bardzo uro-
 czysty, z procesją i udziałem wielu znako-
 mitych gości, na czele których stał sam król
z małżonką i następcą tronu oraz księżę
holenderski Fryderyk.

Z czasem urządzono przy kościele
nastrojowy zakątek z tablicą upamiętniającą
hrabinę von Reden, pomniczkiem, cmen-
 tarzikiem oraz budynkiem parafialnym, w
którym mieszka pastor i gdzie urzędują
różne spotkania ewangelickie. Wangiem bo-
 wiem nadal zarządza to wyznanie od 1946 r.
jako Kościół Ewangelicko-Augsburski w
Polsce. Z różnych stron przyjeżdżają tu czę-
 sto młode pary, bo ponoć ślub w Wangu, to
murowane szczęście na całe życie. My zaś
życzymy kościółkowi też wiele szczęścia, by
trwał wiecznie pod Karkonoszami, radując
nas swym oryginalnym pięknem.

Krzysztof R. Mazurski

NA SZLAKU 7-8/61-62 STR. 23

KOLEJNY TOM „WIERCHÓW”

Już z rok z górą temu, w maju 1993 r. w wydawanym wówczas 57 tomie „Wierchów” za lata 1988-1991, redakcja tego szacownego rocznika trochę pompatycznie zapowiedziała, że kolejne tomy ukazywać się będą rytmicznie, bez opóźnień, za sprawą czego „Wierchy” – wreszcie, po latach, staną się prawdziwie aktualne. Wynikało z tych zapowiedzi niedwuznacznie, że z początkiem bieżącego roku ukaże się jeszcze spóźniony tom 58 za rok 1992, rzeczywiście zaś aktualnego tomu za rok ubiegły mogliśmy się spodziewać jesienią, a zatem tak, jak za dawnych czasów Władysława Krygowskiego bywało. Pierwsza część tych oczekiwań spełniona jednak została tylko połowicznie. Właśnie dotarł do naszych rąk jeden z pierwszych egzemplarzy tomu 58. Trudno w tym wypadku mówić o „nowych” „Wierchach”, można zaś tylko orzec, że ukazał się tom kolejny.

Ów tom kolejny, znowu wydany w Krakowie, z ładną, do tradycji pisma nawiązującą, ale i trochę unowocześnioną okładką, jest objętościowo mniejszy od szeregu poprzednich roczników pisma, ale nie jest to jego wadą. Jeśli bowiem zyskiem z tego zmniejszenia arkuszy może być rzeczywiste przyspieszenie wydawania „Wierchów”, jeśli zyskuje się za tą cenę szansę odzyskania prawdziwej aktualności owego, bardzo przecież ważnego, periodyku, to widzieć w owym fakcie można tylko zjawisko pozytywne. Tym bardziej, że ów kolejny tom wydany został starannie, że nie ma w nim wielu rażących błędów, treść zaś jego określić można mianem tyleż interesującej, co i – generalnie rzecz biorąc – wartościowej. Z radością i uznaniem powitać trzeba przede wszystkim fakt, iż w tych „znów krakowskich” „Wierchach” znalazło się miejsce dla *Biblioteki górskiej*, rejestrującej książki z 1985 r. oraz artykuły i inne prace zarejestrowane w „Bibliografii zawartości czasopism” z 1979 i 1980 r. Jeśli uda się redakcji w tomach następnych bibliografię tę w większym stopniu zaktualizować, to będzie to godnym uwagi, cennym osiągnięciem. W tej chwili ważne jest to, że owa bibliografia górską znów wróciła na karty „Wierchów”, martwi natomiast trochę może zbyt radykalne okrojenie działu recenzji. Godnych

książek górskich ukazuje się u nas od jakiegoś czasu dość sporo, „Wierchy” zaś są właściwie jedynym poważnym periodykiem, stwarzającym szansę porządnego merytorycznego ich omówienia. Mniej natomiast te ograniczenia objętościowe dały się we znaki kronikarskiej części tomu, zawierającej kilka interesujących przyczynków historycznych i krajoznawczych.

W rzeczywisty jednak sposób o zaletach omawianego tomu stanowi jego część artykułowa. Jest rzeczą dość naturalną, że otwiera go *pro domo sua* napisany tekst Edwarda Moskały o Centralnym Ośrodku Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie. Zarysował on nie tylko historię powstania Ośrodka, ale wskazał także na cele, jakiemu on ma służyć. Jeśli cele te będą rzeczywiście realizowane, jeśli Ośrodek dobrze wywiąże się ze swej roli integracyjnej, to z pewnością po latach nikt tej publikacji kwestionować nie będzie, uznając, że ma ona charakter programowy, a nie jest tylko laurką realizatorów Ośrodka dla samych siebie. Jest zaś faktem, że obecny kształt Ośrodka stwarza szansę, by taką ważną rolę w trudnych dla turystyki górskiej czasach mógł on odegrać.

Może się w owym tomie podobać różnorodność treści poszczególnych prac. Śliczne opowiadanie Stanisława Siedleckiego dobrze tu koresponduje z garścią głębokich refleksji Władysława Krygowskiego o sposobie obcowania z górami. Wieloletnie doświadczenie wytrawnego górolaza, wielkiego „przewodnikopisarza” (jak Krygowskiego nazwał kiedyś J.A. Szczepański) w połączeniu z jego wielką kulturą literacką sprawia, że warto się w zadumie pochylić nad afo-

ryzmami i refleksjami pisarza, który utworzył własną filozofię górską, jeśli tak rzecz można nazwać. Z kolei dla obrazu dziejów tatarnictwa polskiego i polskiej turystyki górskiej spore znaczenie ma – dobrze przeprowadzona – rekonstrukcja górskiej ideologii Jan Alfreda Szczepańskiego. Andrzej Burghardt ukazał ją na szerokim tle istotnych zjawisk kulturowych, bardzo taktownie i mądrze komentując „sorealistyczny” epizod Jaszcza. Psychologiczny portret innego wybitnego człowieka gór, Wandy Rutkiewicz, bardzo subtelnie i w ciepłych barwach zarysował Zdzisław Ryn. Jego głębokie rozważania dotyczą rzeczy ostatecznych i mądrze polemizują z banalnymi, obiegowymi opiniami dziennikarskimi.

Na osobną uwagę zasługują dwie prace poświęcone romantycznej tradycji, ukazujące rolę gór w kształtowaniu nowoczesnej wobec nich postawy. Bardzo cenna jest praca Aliny Suchoń o ilustracjach tatrzeńskich w polskich czasopismach z pierwszej połowy XIX w. Nowatorski z gatunku charakter ma obszerną, gruntowną, materiał bardzo bogata, rozprawa Ewy Słoki o romantycznym widzeniu i interpretowaniu jaskiń. W dobrze rozwiniętych badaniach nad romantyczną literaturą górską otwiera ta praca nowy zupełnie rozdział i wykazuje także, jak wiele jeszcze można na tym polu zrobić. Dowodem istnienia nowych możliwości interpretacyjnych znanego już materiału jest zwięzły (jak zawsze u tej autorki) szkic Urszuli Janickiej-Krzywdy, ukazujący relację między mitami o zbójnickich skarbach i szczerą o nich prawdą.

Materiałów interesujących i wartościowych jest więc w tych kolejnych „Wierchach” sporo. Co ważne, autorzy prac tu pomieszczonych, zachowują rygor metodologiczny właściwych im dyscyplin naukowych, piszą tu o zjawiskach literackich, historycznych, kulturowych w sposób przystępny i bardzo atrakcyjny. Kto góry kocha i kto gór jest ciekaw, znajdzie w tym kolejnym tomie „Wierchów” porcję interesującej lektury.

Agnieszka Seidler

Zaproszenie na II Rajd Jesienny

Studenckie Koło Przewodników Sudeckich we Wrocławiu zaprasza na kolejny, II Rajd Jesienny, który odbędzie się w dniach 22-23.10.94 r. w Rudawach Janowickich. Zgodnie z tradycją rajdów SKPS, zakończenie zaplanowano na zamku, tym razem Bolczów. Przygotowano 5 dwudniowych tras po wszystkich malowniczych zakątkach Rudaw.

Szczegółowe informacje można uzyskać pisząc na adres: SKPS, Oddział Wrocławski PTTK, Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. 303-44.

ZAPRASZAMY!!!

Wymyślone dla umasowienia turystyki w Tatrach i Beskidach – obchodzone po raz pierwszy w 1935 r., Święto Gór po wojnie nie odrodziło się od razu. Trzeba było takiej okazji, jak 10-lecie PRL, żeby w Szczawnicy spotkało się około 2 tys. tury-

wodników; w Stalinogrodzie (Katowice!) przebywała młodzież z Czarnego Dunajca, zwiedziła zakłady pracy, wjechała kolejką linową na Szynielnię; w 1953 r. zdobyto 21 973 brązowe odznaki GOT i tylko 44 duże złote (w 1952 r. tylko 29); dla 400 studentów

górkich podnoszącą naszą turystykę na wyższy szczebel organizacyjny, wzbogacającą w nowe formy dzieło upowszechniania turystyki i krajoznawstwa.

Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego chodzenie z plecakiem i prowiantem,

40 lat temu na łamach „Turysty” (2)

Jak przed wojną, tak po wojnie

tów pieszych, kajakarzy, kolarzy, motorowców. Ale to i tak niewiele w porównaniu z przedwojennymi gośćmi Zakopanego, którzy ścignęli na to Święto w prawie trzydziestotysięcznej gromadzie. A więc nie PTTK wymyśliło masowość imprez...

Ale to jakby „odprysk historii”, natomiast całkiem nowe w 1954 r. (podobne bariery stawiano i przed wojną) było np. wymaganie posiadania, dla zwiedzenia np. Błędných Skał w Górach Stołowych, specjalnych zezwoleń z jednostki Wojsk Ochrony Pogranicza. Wówczas nie było tam jeszcze wyznakowanego szlaku turystycznego (malowanie pasków na skałach autor uznał za barbarzyństwo), były kładki i pomosty drewniane.

Rajd Naftowców, zakończony w Foluszu z udziałem 208 uczestników 22.05.1954 r., zorganizowany był, a jakże – potwierdził to w swym przemówieniu znany działacz Adam Alberti – jako dowód właściwego wyciągnięcia wniosków z uchwał II Zjazdu dotyczących organizacji właściwego wypoczynku dla ludzi pracy [chodzi o II Zjazd PZPR – przyp. TK].

W dziale „Kronika” nr 7 znajdujemy m.in. doniesienia z gór: wycieczki do Zakopanego należy zgłaszać do biura PTTK w Krakowie, żeby uniknąć chodzenia bez prze-

ZSP zorganizowało (po raz pierwszy w takiej skali i samodzielnie!) obozy wędrowne w Górach Izerskich i Karkonoszach; postanowiono wybudować schrony turystyczne w Smereku, Wetlinie, Berehach Górnych, Ustrzykach Górnych i Stuposianach – każdy z kuchnią turystyczną, pryzmami, prostymi meblami, dla 20 osób, schroniska miały powstać w Jabłonkach i Cisnej. No i jak tu nie uronić łezki, tęskniąc za tamtymi czasami...

Ale całkiem można się zalać łzami, kiedy czyta się swoisty reportaż *O górkim rajdzie w Bieszczadach* [autora nie wspomnę, żeby nie być posądzonym o szarganie świętości – TK]. Impreza ta była jedną z niewielu wówczas robionych z rozmachem, i, dodać wypada bez odcięcia kpiny, w celach szkoleniowych. To się sprawdziło, jako wskazówka metodyczna, w ciągu wielu następnych sezonów nie tylko w Bieszczadach.

Kiedy uczestnicy spotkali się pod pomnikiem [starym – przyp. TK] w miejscu śmierci gen. Świerczewskiego, autor nie wytrzymał i potem napisał: *zdawaliśmy sobie w tej podniosłej chwili sprawę [podczas defilady w hołdzie generałowi], że rajd bieszczadzki nie tylko otworzył nowe tereny dla turystyki górskiej, lecz że zapoczątkował X-lecie Polski Ludowej nową formą rajdów*

z busolą i mapą po górach mało komu znanych w tamtym czasie, było zapoczątkowaniem X-lecia Polski Ludowej. Rajd miał 344 uczestników, w tym 107 kobiet, a 283 osoby w wieku do czterdziestu lat.

Znakiem czasu było w 1954 r. reorganizowanie polskiego alpinizmu (s. 14, nr 8). Chodziło o wyjście z impasu, zamiast Komisji Taternictwa ZG PTTK, powstała Sekcja Alpinizmu – organ fachowy ZG, a zarazem sekcja sportowa GKKF. Wprowadzono też czterostopniową hierarchię członkowską, uzależnioną od szkolenia, pokonywania określonej liczby dróg wspinaczkowych o wyliczonym stopniu trudności. Oprócz znajomości topografii Tatr wymagane było posiadanie odznaki... „Sprawny do Pracy i Obrony”, wzorowanej na odznace sprawnościowo-obronnej radzieckiego Komсомола ustanowionej w 1931 r. Prezesem Sekcji wybrano znanego pisarza, kompozytora i taternika – Wawrzyńca Żuławskiego.

Ówczesny prezes GKKF – Włodzimierz Rzeczek, pierwszy prezes PTTK, wskazał podczas spotkania na Hali Chochołowskiej – schronisko działało już od pół roku – że jest możliwość zorganizowania już w tym roku [tj. 1954] obozu polskich alpinistów w czechosłowackich Tatrach – jako wstępu do późniejszych wypraw w góry wysokie, przede wszystkim w góry Związku Radzieckiego i Chin Ludowych.

Jak wynika z kilku cytatów z „T”, turystyka była w tamtym czasie zależna nie tylko od „zapoczątkowania” czy „reorganizacji”, ale także od przepustek upoważniających do chodzenia po górach. W góry należało chodzić przynajmniej ze sztandarem do zatknięcia, z odznaką w klapie, a nawet – jak to określił jeden z jej nestorów – „w hołdzie”.

Na takie drobiazgi, jak ustanowienie opieki oddziałów PTTK nad schroniskami (nr 8, s. 22) i przełamanie ich martwoty rzucającej się w oczy turystom w 1954 r., mało kto zwracał uwagę.

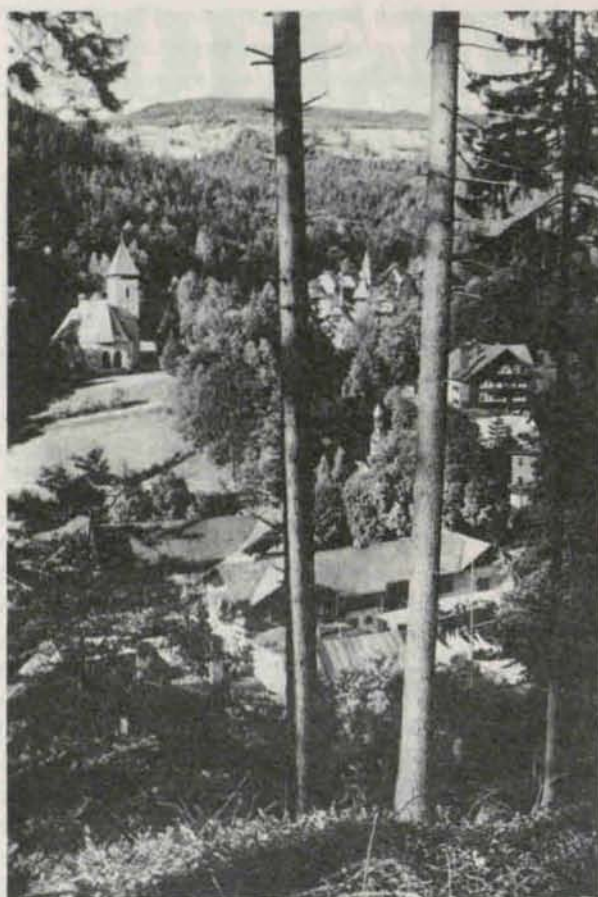
Dodać trzeba, że 24-stronicowy numer „T” kosztował tylko 1 zł i 75 gr, a przewodnik Władysława Krygowskiego *Beskid Niski i Podkarpackie* 7 zł 65 gr.

c.d.n.

Tomasz Kowalik



Zamek w Nidzicy. Foto: Tomasz Kowalik



Międzygórze

Od ponad stu lat pocztówka towarzyszy podróżnym, wycieczkowiczom, turystom. Pod koniec maja 1947 r. powstał w Kłodzku Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Ziemi Kłodzkiej, którego pierwszym prezesem został Zbigniew Kulczycki. W krótkim czasie pojawiły się koła PTT w pobliskich znanych uzdrowiskach, takich jak Polanica-Zdrój i Łądek-Zdrój. Jednym z głównych organizatorów koła PTT w Polanicy-Zdroju był Włodzimierz Młotkowski.

Rozwijający się prężnie Oddział w Kłodzku rozpoczął wydawanie widokówek krajoznawczych. Jego działalność wydawnicza związana jest z nazwiskiem inż. Jerzego Mańkowskiego – krajoznawcy, działacza tego Towarzystwa, a przede wszystkim zawodowego fotografa, którego prywatne Foto-Wydawnictwo, działające dotychczas samodzielnie na ul. Walecznych w Kłodzku, wniosło do spółki wyposażone laboratorium fotograficzne, zgromadzone niemałym trudem finansowym m.in. z Urzędu Likwidacyjnego.

W 1947 r. wyprodukowano i rozprzeczono pierwsze serie pocztówek w ilości 90 tys. sztuk (na awersie napis: Wyd.–Foto Mańkowski, natomiast na rewersie: Nakładem Pol. Tow. Tatrzańskiego w Kłodzku). Z czasem widokówki zaczęto sygnować tylko nazwiskiem „Mańkowski”, a jeszcze później nazwisko Mańkowskiego widzimy w zamkniętej linii owalnej.

Jeżeli idzie o tematy przedstawiane na widokówkach, to najliczniej prezentowane są: Polanica i Łądek, a w dalszej kolejności – Duszniki, Kudowa i najmniejsze – Długopole. Prezentowane są też na widokówkach

Kłodzkie widokówki lat czterdziestych

Międzygórze i zabytkowe Kłodzko. Jest oczywiste, że nie mogło na nich zabraknąć Wambierzyc! Zabytkowa bazylika pokazana jest w kilkunastu ujęciach. Poza widokiem ogólnym z frontonem i efektownymi schodami, iluminacją świetlną w nocy – widokówki przedstawiają poszczególne postacie z Drogi Krzyżowej. Ta tematyka sakralna poszerzona jest jeszcze o zdjęcia ruchomych szopek w Wambierzycach i Pstrążnej i unikatowej Kaplicy Czaszek w Czermej koło Kudowy. Osobną, zasługującą na uwagę serią wydawniczą, są widokówki przedstawiające skały piaskowca na Szczelińcu Wielkim w Górach Stołowych. Niezwykłej urody labirynty i formy skalne dostarczyły wielu tematów do stworzenia przepięknych pocztówek. Górujący nad Kotliną Kłodzką Śnieżnik z charakterystycznym schroniskiem podszczytowym jest także utrwalony na wielu widokówkach. Wydawanie widokówek oparto na technice fotograficznej, która pozwoliła osiągnąć zupełnie niezłą jakość reprodukcji. Były one jakościowo lepsze od wydawanych w tym samym czasie widokówek metodą poligraficzną. W początkowym okresie produkcję oparto w dużej części na papierze fotograficznym „Mimoza” nie barytowanym, który dostarczany był z Niemiec Zachodnich w ramach reparacji wojennych. Z czasem, wraz z rozwojem produkcji krajowej, zaczęto stosować papier z nadrukiem: „Papier filmu polskiego na podłożu krajowym”. Widokówki wydawane w tym czasie nie pominęły tematów związanych z prezentowaniem fauny i flory, ze szczególnym wyeksponowaniem unikatowej „róży kłodzkiej”.

PTT Oddz. w Kłodzku wydało też serię przedstawiającą uroki polskiego Bałtyku,

a także kartki okolicznościowe – świąteczne. Pewnym odstępstwem od wydawania widokówek na papierze fotograficznym było wypuszczenie pięknej serii wykonanej na cienkim kartonie techniką poligraficzną w tonacji niebieskiej. Druk wykonany Zakłady Wkłęsłodrukowe w Warszawie, a nakład objął około 30 tematów. Ta niebieska seria sławiła zimę w górach, zimową Śnieżkę, ale również letnie widoki Polanicy, Dusznik, Kudowy. Owa seria, wydana na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, wzięcia działalność Oddziału.

Pisząc o widokówce krajoznawczej nie sposób pominąć działalności wydawniczej Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Do czasu połączenia się z PTT w latach czterdziestych, a następnie w latach pięćdziesiątych, wydało ono dużą serię pocztówek, w ponad ośmiuset tematach przedstawiającą najcenniejsze zabytki i uroki krajobrazowe kraju. Ziemię Kłodzką w tej serii prezentują widokówki autorskie FOTO-WYD. Mańkowski. Szacuje się, że FOTO-WYD. Kłodzko wydało ogółem około 4,5 mln widokówek w seriach 5-10 tys. sztuk, prezentując na nich około 400 tematów.

Od 1952 r. działalność wydawniczą przejęło Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze w Kłodzku i Oddział PTTK w Polanicy-Zdroju. Produkcję widokówek podjęły też Spółdzielnie Fotograficzne w Kłodzku i we Wrocławiu. Przy produkcji widokówek związanych z propagowaniem Ziemi Kłodzkiej wykorzystywano klisze autorstwa J. Mańkowskiego. Działający wiele lat i mający duże doświadczenie zakład wydawniczy w Kłodzku pomógł w zorganizowaniu i uruchomieniu nowego zakładu wydawniczego PTTK w Jasle, który objął swoim zasięgiem region południowo-wschodni Polski. Tak oto w skrócie wyglądały pionierskie lata działalności wydawniczej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Ziemi Kłodzkiej.

Mieczysław Ziental



Heiszowizna 919 m

Wyd. – Foto Mańkowski

Gdy „popętniałem” folder o gminach ziemi cieszyńskiej, w czterech z nich narażłem się miejscowym znawcom historii, którzy widzieli początki miejscowości co najmniej pół wieku wcześniej. W „błędzie” utrzymał mnie znany mediewista z Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, ale wydawca, mimo mojego sprzeciwu, opublikował rzecz z „poprawkami”, bo oni za to płacą!

Inaczej było z Wisłą. Mimo iż znane były wcześniejsze daty, ojcowie miasta

widokiem doliny Wisły, a w kierunku Wisły, il. 16 nie przedstawia Baraniej Góry, a Malinów, il. 30 nie jest schroniskiem na Stożku, il. 43 – łatwo poznać, że to na Przełęcz Salmopolskiej, il. 49 – turyści wiedzą, że z Malinowskiej Skały doliny Malinki nie widać, a zdjęcie zrobiono z przetrzebionej Magurki Wiślańskiej.

Wreszcie mapka, nawet schematyczna, powinna być wierna, tymczasem na pierwszy rzut oka przypomina mapę Pojezierza Mazurskiego. Niektóre nazwy tere-

głębokich niedostępnych lasów beskidzkich, skoro istniały inne wioski, które były i bliżej, i posiadały o wiele lepsze warunki glebowe. Gdyby tak było, Wisła byłaby jedną z najstarszych wiosek w całych polskich Karpatach!

Niezwykle wartościowe, oparte na mrówczej penetracji archiwów także poza granicami kraju, było wystąpienie dr Barbary Poloczkoj. Znalazła ona dokumenty potwierdzające istnienie Wisły, zanim zapisano jej nazwę w Księdze gruntowej czy w urbarzu książęcym. Dokument pocho-

Ile lat ma Wisła?

przyjęli za podstawę istnienia miejscowości zapis *nowa wieś na Wisłach rzeczona* w urbarzu książęcym, umieszczony pod datą 1643. Wszem i wobec ogłoszono 350-lecie miasta Wisły, przygotowano obszerny, bardzo urozmaicony program obchodów. Tu zajmujemy się tylko dwoma jego pozycjami: albumem *Wisła* oraz sesją naukową, a raczej jej wymiernym efektem w postaci broszury z materiałami z tej sesji.

Album *Wisła*, formatu 23 x 21 cm, cały na kredzie, jest wydany z funduszy *Rady Miejskiej Wisły*, bez paginy. Na wstępie zawiera krótkie wprowadzenie prezesa Towarzystwa Miłośników Wisły, mgr. Jana Kropa. Tegoż autora jest dziesięć stron liczące kalendarium – „Najważniejsze wydarzenia z historii Wisły”. Zasadniczą część albumu tworzą kolorowe zdjęcia, z wyjątkiem trzech reprodukcji archiwalnych, wykonane przez czterech fotografików. Jest też schematyczna mapka. Tekstu nie ma co komentować, gdyż jest to wybór dat, a wybór ma to do siebie, że musi być selektywny, zaś opis – lapidarny. Chociaż trochę żal, że autor zapomniał o jednej dacie – 150-lecie pierwszego polskiego opisu krajoznawczego źródeł Wisły, której obchody przecież wspólnym wysiłkiem organizowaliśmy i pozostawili w terenie trwałe ślady.

Zdjęcia. Nie chodzi o ich jakość, w większości dobrą, chociaż można się zastanawiać, dlaczego w dolinie Białej Wisłki drzewa rosną tak krzywo, a na Stożku mają odcień niebieskawych. Kilka ujęć jest takich, które mogą być wszędzie, a co do czterech zdjęć można mieć wątpliwości, czy w ogóle były zrobione na terenie Wisły. Szkoda, gdyż Wisła krajobrazowo jest przecież na tyle ciekawa i rozległa, że album można było wypełnić bardziej konkretnymi ujęciami. Kwestia gustu. Ale prawdziwą niespodziankę przyszykował czytelnikom anonimowy autor podpisów zdjęć. Wszyscy, którzy fotografują, albo mają dobrą pamięć wzrokową i orientację w terenie, z niemałym zdziwieniem skonfrontowali treść zdjęć z jego podpisem. Przykładowo: il. 13 nie jest

nowe są źle naniesione, kilku innych istotnych (Obłaziec, Kubalonka) brak; skoro oznaczono drogi, gdzie kursują autobusy, dlaczego nie ma drogi do Dziechcinki. Znajac akuratność i bezpardonowe mycie głowy autorom niewiślanom, odważającym się pisać o Wisle...

Wreszcie sesja – długa, wyczerpująca. Kilku prelegentów z kręgu profesjonalnego i amatorskiego prezentowało różnorodną tematykę dotyczącą głównie historii, ale także etnografii, muzealnictwa, turystyki. I tu, jak sądzę, wypowiedzi zaangażowanych prelegentów zaskoczyły organizatorów sesji i obchodów 350-lecia Wisły. Jeden z referentów, Józef Dzwonek, w oparciu o „literaturę przedmiotu w sprawie początków Wisły” stara(ł) się przekonać słuchaczy (także czytelników), iż pierwsza wzmianka o Wisle, uwidoczniła w dokumencie wrocławskiego biskupa Wawrzyńca, nosi datę 1223! Drugą datą, potwierdzającą średniowieczny rodowód Wisły, miałby być rok 1444, wryty na belce pochodzącej z domniemanego kościoła, a przechowywanej na parafii „ponoć jeszcze w 1837 r.” Sprawę komplikuje jednak istnienie wiosek Wisła Mała i Wisła Wielka, położonych także nad rzeką Wisłą (dziś Jezioro Goczałkowickim), a oddległych od obecnego miasta Wisły o 32 km w linii prostej. Cały spór toczy się wokół kwestii, którym Wiślom owe daty przypisać? Sporo już na ten temat zużyto atramentu, również w literaturze pięknej, którą autor wystąpienia także się podpira.

W 1223 r. mamy potwierdzone dokumentami istnienie kasztelanii cieszyńskiej i około tuzina wiosek w jej okolicy. Wioski te położone były na północnej, dolinnej i pogórskiej części przyszłego księstwa. Wyjątek stanowi Puńców pod Cieszynem i Nawsie w głębi doliny Olzy, gdzie prowadził prastary trakt migracyjny i handlowy. O istnieniu jakiegokolwiek traktu wiodącego w głąb doliny Wisły nic nie wiemy. Jest rzeczą mało prawdopodobną, aby rybnickim premonstratensom, później przeniesionym do Czarnowosów, przypisano wioskę zaszytą w

dzący z 1619 r. znaleziono w archiwum opawskim. Dotyczy on nałożenia na siedemnastu osadników dodatkowego podatku wojennego. Oprócz wymienionych chałupników, trzymających także łąki wypasowe, według późniejszego urbarza było w Wisle jeszcze trzynastu nowych osadników „na dorobku”, od których daniny na cele wojenne nie pobierano. Szczegóły związane z 1615 r. tu pomijam. Uwzględniając zatem okres wolnizny, Wisła mogła być zasiedlona pod koniec XVI w. Wynika stąd kolejny wniosek, obalający dotychczasowy pogląd, iż założycielami Wisły byli uciekinierzy, chroniący się bądź to przez żadnym łupów żołdactwem lub wszczętymi po wojnie trzydziestoletniej represjami wyznaniowymi. Obydwie okoliczności mogły zwiększyć ilość mieszkańców Wisły, ale nie były przyczyną powstania osady. Powstała więc Wisła z polecenia księcia cieszyńskiego w okresie, gdy protestantyzm na Śląsku Cieszyńskim korzystał z pełnej aprobaty władcy. Zanim zatem wiadomości te dotrą na łamy przewodników, warto je odnotować wcześniej w piśmie turystycznym. Brak miejsca nie pozwala na szersze omówienie materiałów sesji. Dość na tym, że cieszyński oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego wydał broszurę noszącą tytuł *Wisła (1593-1993), W czterechsetlecie powstania miejscowości* (Cieszyn, 1994, format A5, 92 ss.), już w tytule dystansując się od ostrożnej inicjatywy gospodarzy. Cenną jest także w tej broszurze konfrontacja archiwalnych konkretów z dociekliwością amatorów, zdolnych wyłuskiwać wszelkie niuanse literatury, jak się okazuje, także mogącej prowadzić do ślepego zaułka.

Zainteresowanym, wszystkim miłośnikom Wisły, warto polecić pierwszy album *Wisła* oraz wspomnianą broszurę PTH, jako pokłosie jubileuszowych obchodów 350-lecia *nowej wsi na Wisle rzeczona*.

Władysław Sosna

Wśród tektonicznie potrzaskanych i wypiętrzonych pasm górskich Sudetów istnieje kilka głębokich obniżen. Największe z nich to Kotlina Kłodzka z Rowem Górnej Nysy. Na zachodnim krańcu jej odpowiednikiem jest Kotlina Jeleniogórska. Ma ona ogromne znaczenie turystyczne ze względu na nagromadzenie walorów i dóbr krajoznawczo-turystycznych. Jest też ważnym centrum i miej-

a obiekty, w których należy budować takie instalacje, to głównie stare i o bardzo ciasnej zabudowie elektrociepłowni i zakłady przemysłowe, należy wybierać metodę tanią, nie wymagającą dużej powierzchni, prostą w eksploatacji i wysoce skuteczną. W związku z powyższym żadna technologia sucha lub półsucha nie mogła być zastosowana w kotłowni ZCH „Jelchem”. Zakład ze wzglę-

O czyste powietrze nad Kotliną Jeleniogórską

scem rozrządu turystyki, wczasowiczów i wszystkich przyjezdnych w okoliczne góry, przede wszystkim w Karkonosze. Tymczasem w 1983 r. teren ten uznano oficjalnie za obszar ekologicznego zagrożenia, głównie z powodu ponadnormalnego zanieczyszczenia powietrza atmosferycznego.

W Kotlinie Jeleniogórskiej jednym z największych i najbardziej uciążliwych zakładów dla środowiska były Zakłady Włókien Chemicznych „Chemitex-Celwiskoza”, które po likwidacji z dniem 1.01.1990 r. przekształciły się w Zakłady Chemiczne „Jelchem”, a szczególnie uciążliwy dla środowiska przyrodniczego wydział został zamknięty. Przedmiotem działań przedsiębiorstwa jest:

- przetwórstwo tworzyw sztucznych – folia, wyroby z folii polietylenowych, płyty chromowe,
- wytwarzanie półproduktów chemicznych,
- produkcja artykułów technicznych oraz świadczenie usług.

Przebranieżenie spowodowało zasadnicze zmiany w gospodarce wodno-ściekowej zakładu, zarówno co do sposobu gospodarczego korzystania ze środowiska, jak i w wykorzystaniu istniejących urządzeń oczyszczających ścieki i do składowania odpadów. Na skutek decyzji z 10.12.1991 r. Urzędu Wojewódzkiego w Jeleniej Górze o zakazie emisji szkodliwych związków z Elektrociepłowni zakład został zmuszony do budowy instalacji odsiarczania w celu zmniejszenia emisji zanieczyszczeń. W Europie i na świecie problem odsiarczania i odpylania spalin przestaje powoli istnieć, staje się jedynie sprawą wyboru i budowy instalacji pracującej w oparciu o jedną z wielu znanych technologii odsiarczania spalin. Usuwanie pyłów i SO_2 nie stanowi już bowiem problemu i może być prowadzone w skali pełnoprzemysłowej ze skutecznością ponad 90%. Analiza metod oczyszczania gazów odlotowych pokazuje, że obecnie problemem przy odsiarczaniu spalin jest natomiast zagospodarowanie szlamów i roztworów posorpcyjnych.

W Polsce, gdzie brak jest doświadczeń w eksploatacji pełnoprzemysłowych instalacji odsiarczania spalin,

du na swe położenie w Kotlinie Jeleniogórskiej musi oczyścić spaliny ze skutecznością powyżej 90%. W związku z tym zaprojektowano instalacje jednoczesnego odsiarczania i odpylania zmodyfikowaną mokłą metodą dwualkaliczną prof.dr.hab.inż. M. A. Gostomczyka i dr. inż. E. Kobarowskiej.

Produktem końcowym procesu oczyszczania spalin jest szlam zawierający przede wszystkim uwodniony siarczan wapniowy oraz pył usunięty ze spalin. Prawdopodobnie eksploatowana instalacja zapewni zmniejszenie stężenia dwutlenku siarki i pyłów w gazach odprowadzających do komina do poziomu poniżej $100/mg\ SO_2/m^3$ i poniżej $50/mg\ pyłów/m^3$. Oznacza to, że emisja SO_2 po wybudowaniu instalacji nie przekroczy $30\ kg/h$, a gwarantowana skuteczność nie będzie niższa od 95%. Emisja pyłów nie przekroczy natomiast $15\ kg/h$, zaś skuteczność odpylania będzie mniejsza niż 98%. Eksploatacja instalacji będzie mniejsza od kosztów ponoszonych (bez instalacji) przez emisję szkodliwych związków do atmosfery (około 1800 mld zł rocznie).

Przy zastosowaniu odpowiedniej technologii przetwarzania można otrzymać z produktu odpadowego po odsiarczaniu materiał wiążący o parametrach technicznych zbliżonych do właściwości naturalnego gipsu. Z punktu widzenia szeroko pojętej ochrony środowiska, ochrony nie tylko powietrza, ale także terenów i krajobrazów, szczególnie w takich regionach, jak Kotlina Jeleniogórska, inwestycja taka jest wysoce pożyteczna. Stanie się ona również ekonomicznie uzasadniona, jeśli będzie stanowiła zakład przetwórczy odpadów po odsiarczaniu spalin z wielu innych instalacji pracujących lub projektowanych na Dolnym Śląsku.

Pracownicy Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska w Jeleniej Górze prowadzą cały czas pomiary stężeń w powietrzu dwóch dalszych gazów: siarkowodoru i dwusiarczku węgla. O ile pierwszy z nich z chwilą zamknięcia „Celwiskozy” nie jest wykrywalny – pomiary spadły do zera, to dwusiarczek węgla – szczególnie szkodliwy dla zdrowia (poraża system nerwowy), nadal jest obecny. Można z całą pewnością powiedzieć, opierając się na pomiarach OBiKS, że nastąpił

Rej
znaczny spadek stężeń dwusiarczku węgla po likwidacji „Celwiskozy”, jednak nie na tyle wyraźny, by mieszkańcy czuli się dobrze i zdrowo. Gdzieś jednak tkwi przyczyna tego, że imisja „nie spadła do zera”, tak jak to się stało z siarkowodorem. Do źródeł imisji gazu zaliczane są, poza zakładami chemicznymi, kotłownie (tych w Jeleniej Górze nie brakuje). Przykładowo kotłownia WPEC-Ciepłownia „Zabobrze” w Jeleniej Górze emituje znaczne ilości zanieczyszczeń energetycznych, które są uciążliwe dla mieszczącej się w najbliższym otoczeniu zabudowy mieszkalnej. Z ważniejszych zanieczyszczeń wyemitowała ona w 1991 r. 402 Mg popiołu, 505 Mg dwutlenku węgla, 113 Mg dwutlenku azotu i 511 Mg tlenku węgla.

Położenie stolicy województwa sprzyja kumulowaniu spalin samochodowych. Te pojazdy, które używają etylinę 96, przysparzają największe ilości gazu. W celu ochrony czystości powietrza Wydział Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego podjął różnorodne działania, których celem jest zarówno kontrola emisji, jak i też emitowanie zanieczyszczeń, m.in. Wydział Ruchu Drogowego Wojewódzkiej Komendy Policji wyposażony został w urządzenia do pomiaru toksyczności spalin z silników benzynowych. Ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska zakupiono dla „drogówki” pierwsze, prototypowe tzw. dymomierze, przeznaczone do badania spalin emitowanych przez silniki Diesla. Jak wiadomo, pojazdy wyposażone w nie, często nie wyregulowane (głównie autobusy i samochody ciężarowe), najsilniej zanieczyszczają powietrze w miastach. Po przetestowaniu zostanie zakupiona następna partia produkowanych we Wrocławiu dymomierzy.

Poziom imisji w ostatnich latach w woj. jeleniogórskim nie zmienił się istotnie. Stwierdzono istotny spadek stężeń dwusiarczku węgla, przy czym wielkości normatywne przekraczane są nadal. Podkreślić należy, że w Jeleniej Górze obowiązują normy zanieczyszczenia powietrza dla obszarów specjalnie chronionych. Wraz ze zwiększającym się systematycznie zakresem badań oraz zasobem informacji uzyskiwanych tą drogą, coraz częściej wymierny staje się wpływ źródeł emisji położonych po niemieckiej i czeskiej stronie granicy na stopień zanieczyszczenia powietrza w województwie, a w szczególności w Sudetach Zachodnich.

Biorąc pod uwagę częstości przekroczeń stężeń dopuszczalnych rejestrowanych podczas napływu mas powietrza z obszarów Polski, Niemiec, Czech i Słowacji stwierdza się, że udział Polski w degradacji środowiska w Sudetach nie przekracza 26%, natomiast łączne udziały wymienionych państw wynoszą od 74 do 85%, zależnie od rodzaju zanieczyszczenia.

Beata Mucha

USTROŃSKIE PAPIERNIE

Gdy o papierze czerpanym mówimy, to jawi się nam Muzeum Papiernictwa w Dusznikach-Zdroju, wspaniały obiekt, do dzisiaj pracujący i wytwarzający papier. Mało kto wie, że Ustroń, obok uzdrowiskowych czy hutniczych, ma także papiernicze tradycje. Papiernia w Ustroniu-Polanie powstała w 1792 r. z woli właściciela Komory Cieszyńskiej ks. Alberta Kazimierza, syna Augusta III Sasa, męża cesarskiej córki Marii Krystyny, rzutkiego i energicznego wóldarza, twórcy tutejszego hutnictwa. Pierwszymi papiernikami byli mistrzowie sprowadzeni z Zachodu, gdzie sztukę tę opanowano o wiele szybciej niż nad Wisłą. Znamy z nazwiska pierwszego papiernika ustrońskiego – Augustyna Kiesslinga. Do dzisiaj istnieje budynek pierwszej papierni wraz z kanałem i zbiornikiem wodnym – służącym niegdyś do napędzania młyna wodnego (papierniczego). Papiernia była księżęca, papiernik zaś uiszczał księciu roczny czynsz i dostarczał papier do kancelarii księżęcej. Papiernia w Ustroniu-Polanie istniała tylko do 1837 r., po czym w budynku urządzono młotownię „Teresa”. Zachowane w archiwach próbki papieru świadczą o jego wysokiej jakości, co z kolei może potwierdzać, że tutejsza papiernia dobrze prosperowała. Papier ustroński używany był do korespondencji, a ten najwyższej jakości – do „ksiąg wieczystych” i dokumentów. Produkowano także papier szary, gorszy gatunkowo. Po likwidacji papierni w Polanie, papiernik Franciszek Wojkowski wybudował nowy zakład w Ustroniu-Hermanicach. Produkcja papieru metodą czerpalną stała się wkrótce zbyt droga i od 1850 r. zaczęto produkować tu tylko papier szary i papę do pokrywania dachów.

I wojna światowa – to zniszczenie urządzeń papierni, i choć nowy właściciel Jan Matloch sprowadził nowe maszyny i uruchomił produkcję, w 1933 r. zakończyła definitywnie pracę, kończąc 140-letnią tradycję produkcji papieru w Beskidzie Śląskim.

Jak produkowano papier w Ustroniu? Podstawowym surowcem były lniane szmaty, których zwożeniem zajmowała się spora grupa „skupywaczy”. Poszczególne papiernie miały określone tereny, na których wolno im było skupować szmaty, a był to niezwykle cenny surowiec. Ile szmat trzeba użyć do produkcji? Na 500 arkuszy formatu A-4 – około 20 kg. Jeżeli przyjmiemy, że tkaniny lniane były w cenie, przez co szanowano je, to możemy łatwo uzmysłowić sobie, jak trudne zadanie mieli „skupywacze”. Po zwiezieniu, szmaty wstępnie czyszczono (trzeprano), sortowano na białe i kolorowe, prano i krajano na małe kawałki. Następnie przez kilka tygodni leżały w wodzie, aby przegniły, po czym przekładano je do wielkiej metalowej kadzi, pod którą rozpalano ogień i gotowano z dodatkiem wapna. Gdy włókno skruszało, przekładano szmaty do poziomych koryt (stęp), w których drewniane młoty ubijały je na miazgę. Młoty poruszane były kołem wodnym. Tak przygotowaną szmacianą miazgę przenoszono do skrzyń, bielono chlorem (lub dodawano barwnika). Z kolorowych szmat produkowano papier szary (gorszy i tańszy). Gotowa miazga papierowa miała wygląd gęstego mleka. Przelewano ją do kadzi, a papiernik zanurzał w niej prostokątną drewnianą ramkę z cienkim, gęstym sitem na dnie. Sito przepuszczało tylko wodę, zaś cząstki stałe osadzało. Następnie przewracano sito na arkusz filcu, gęsta masa

osiadała na arkuszu i przykrywana była następnymi warstwami filcu, aż powstał stosik określonej wysokości. Wtedy unieszczano go pod prasą, by wycisnąć zeń wodę. Odwodniony arkusz suszono, wieszając pojedynczo przypięte do sznurów na strychu. Tak powstawał arkusz papieru czerpalnego o nierównej powierzchni. Papier do pisania był poddawany dalszej obróbce, gładzeniu, zanurzaniu w roztworze kleju i powtórnie suszeniu. Znaki wodne powstały w czasie nabierania roztworu na sito, gdzie umieszczona była matryca z cienkiego drutu. W miejscu matrycy arkusz był cieńszy, co pod światło dawało wyraźny znak. Ręczne wytwarzanie papieru stanowiło ciężką i złożoną pracę. Nierzadko zatrudniano całą rodzinę, przy czym większość z prac była traktowana jako „zajęcia kobiece”. Tym niemniej papiernictwo uważane było za rzemiosło szlachetne, zbliżone do nauki i sztuki. O papierniach na Śląsku Cieszyńskim niewiele wiadomo, nawet krajoznawcy szukającemu w terenie, tym bardziej, że jeszcze niedawno nawet wśród fachowców nie były one popularne.

W Archiwum Państwowym w Cieszyźnie zachowały się dokumenty ze znakami wodnymi ustrońskiej papierni. Stąd możemy odtworzyć historię papieru ustrońskiego, który w dziejach tego regionu odegrał swą pozytywną rolę w okresie dynamicznego rozwoju piśmiennictwa na Śląsku. Gazety, książki (głównie religijne ewangelickie i katolickie), to wszystko, co pomogło tutejszemu ludowi zachować mowę, może trochę archaiczną, ale naszą polską. Jeżeli będzie ktoś szukał, gdzie po raz pierwszy w Polsce, a może i Europie, chłop użył exlibrisu, szukajcie na Śląsku Cieszyńskim. Tu w Cisowicy żył Jura (Jerzy) Gajdzica (1777-1840), chłop-bibliofil, który posiadał swój exlibris i spory księgozbiór, autor zapisków i wspomnień „Dla pamięci narodu ludzkiego”.

Lech Wiewióra

Informacja dla zbieraczy

Znalazłem się w trudnej sytuacji finansowej i chciałbym sprzedać 33 tomy „WIERCHÓW”, roczniki od 1957 do 1991 r.

Informację prześlę po otrzymaniu zaadresowanej koperty zwrotnej.

Józef Kuźniar, ul. Brzozowa 38/4, 40-170 Katowice.



Tyle zostało z papierni. Foto: Lech Wiewióra

Niezbyt pochlebnie pisał o Pradziadzie, jako o opoju i awanturniku, Julian Janczak w „Spotkaniach z Duchem Gór”. W rzeczy samej, jego łysy wierzchołek, wystający ponad morze okolicznych szczytów Jesioników i widoczny z dużych odległości, przypomina łysą czaszkę amatora „jesionickiej śliwownicy”. Ale koniec z fantazją.

Pradziad

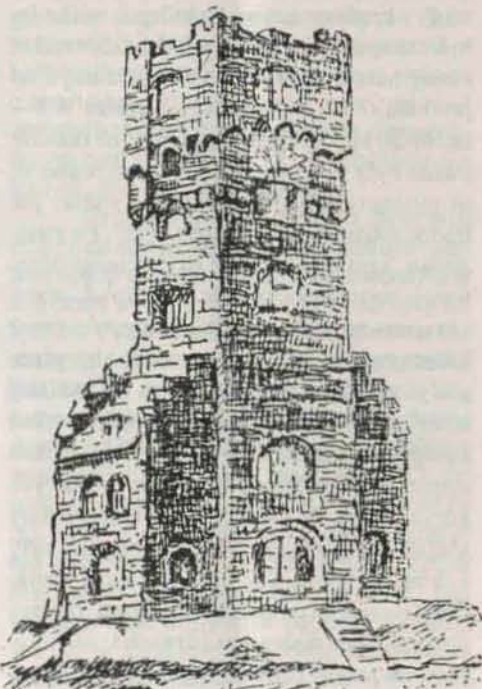
Pradziad (1491 m) to najwyższe wzniesienie Moraw. Zbudowany jest z dolnodewońskich łupków krystalicznych. Podczas wykopów przy budowie wieży widokowej odkryto tutaj kryształ anatasu o barwie niebieskiej lub miodowożółtej. Klimat tutejszy można porównać do klimatu Islandii czy pn. Norwegii – średnia temperatura roczna wynosi 1,2°C (Śnieżka 0,2°C), ilość opadów 1225 mm. Pomimo, że jest zaliczany do najwietrzniejszych miejsc w Europie Środkowej, jednak klimat ma łagodniejszy niż np. Karkonosze, a i niezbyt wiele opadów.

Flora podszczytowych łąk alpejskich, mimo pozornego ubóstwa, jest bogatsza w gatunki niż np. w Karkonoszach. Rośnie tu nawet endemit – specjalna odmiana goździka kartuzka. Z innych gatunków warto wymienić trawę kostrzewę niską, podbiał alpejski, dzwonek wąsaty (symbol Parku Krajobrazowego Jesioniki), jastrzębniki, naparstnicę, różę alpejską i inne. Przy Tabulowych Skałach występują różnego rodzaju mchy i wątrobowce oraz wierzba lapońska, pamiątki z epoki lodowcowej. Co ciekawsze, nie obserwujemy tu tak bogatej florystycznie strefy górnej granicy lasu, jak np. na Babiej Górze. Po prostu świerki stają się wraz z wysokością coraz niższe i ustępują miejsca łąkom. Niewielkie kępki kosodrzewiny zostały wprowadzone przed kilkudziesięciu laty przez człowieka.

Z fauny na łąkach podszczytowych Pradziada naliczono trzynaście gatunków gryzoni. Z większych ssaków bytują tu jelenie, sarny, lisy, gronostaje, ale raczej w strefie górnego regłu. Dobrze też czuje się wprowadzona przez człowieka kozica, która stała się nawet zagrożeniem dla rzadkich gatunków roślin. Ptaki na halach reprezentuje świergotek nadwodny i drzewny, kos górski, a z drapieżnych kania i puszczyk. Odludne ostępy leśne zamieszkują głuszce i cietrzewie. Gady reprezentują np. jaszczurki i żmije, a płazy – żaba trawna. Bogaty jest świat owadów, zwłaszcza motyli, z gatunkami endemicznymi. Bytuje tu też kilka gatunków ślimaków karpackich, np. ślimak Lubomirskiego.

Najwyższa partia Wysokiego Jesionika objęta została ochroną – rezerwat ma powierzchnię 2031 ha. Pierwszymi „turystami” byli tutaj z pewnością myśliwi, pastarze, ale też i poszukiwacze skarbów, piszący często tzw. „walońskie księgi”, czyli pierwsze „przewodniki turystyczne”. Jedną z nich, z 1737 r., opisuje drogę przez Petrovy kameň (1438) i zbrocz Pradziada do strömej do-

liny, gdzie autor domyślał się znaleźć skarby. Co ciekawe, opis doliny pozwala domyśleć się tej z Wielkim Wodospadem, gdzie na początku naszego stulecia odkryto rzeczywiście rudy żelaza. Już wtedy musiały prowadzić grzbietami gór wąskie ścieżki. Trzej młodzi ludzie z Niemiec, którzy byli na Pradziadzie na początku XIX w., zastali na szczycie kamienną piramidę. Po drodze spotykali woza-



Dawna wieża widokowa na Pradziadzie

ków ściągających drewno, poszukiwaczy korezeni i węglarzy – wysoko na grzbietach gór. Coraz liczniejszym turystom służyła od początku XIX w. kamienna chata – schron na szczycie góry. Później ręce turystów wzniosły prosty, drewniany domek. Było to jednak za mało wobec ciągle wzrastającego ruchu turystycznego. Starania o budowę wieży widokowej i schroniska podjęło oczywiście MS SGV. Mimo braku funduszy odrzucono propozycję budowy tymczasowej, drewnianej wieży. Ustanowiono „Radę Przygotowawczą”, która zajmowała się gromadzeniem funduszy, oraz „Komisję Budowlaną”, o której mówi sprawozdanie z zebrania z 5.06.1903 r. Już 17 czerwca komisja, gromadząca siedemnaście osób różnych zawodów i państw, wyruszyła na Pradziad. Budowla miała stanąć na samym wierzchołku. Postawiono jednak warunki: ruch turystyczny będzie się odbywał tylko po wyznaczonych ścieżkach, zamykanych na czas polowań, w restauracji będzie posterunek policji, a punkt trygonometryczny oznaczy się czterema kulami w odległości 50-60 m. Spośród kilku projektów (był też projekt prудnickiego radcy budowlanego, z neoromańskim portalem i salą pamiątkową Habsburgów, jak w wieży na Śnieżniku) wybrano ten autorstwa wiedeńcyka Franza von Neumanna. 26

czerwca otrzymano pozwolenie budowy. Była to budowla o wysokości 32,5 m i podstawie 14,5 m x 15 m. Na parterze mieściła restaurację, na dalszych piętrach – pokoje noclegowe, a wyżej – klatkę schodową na siódme piętro z tarasem widokowym (7,8 m x 7,8 m). Przypominała nieco basztę zamkową, budowaną z kamienia z Tabulowych skał, który niestety szybko nasiąkał wodą i niszczał. Prace budowlane rozpoczęto 30.06.1904, a zakończono dopiero 10.05.1912 r., co było spowodowane trudnymi warunkami budowy i skąpyimi środkami finansowymi. Pod przewodnictwem Franza Grögera z Jesenika pracowało 45 osób i 17 koni. Komisja nie zezwoliła na funkcjonowanie części hotelowej. Otwarcie wieży, wyjątkowo skromne, nastąpiło 4.07.1912 r.; nazwano ją „Strażą Habsburgów” (Habsburgwarte). Obok powstała drewniana budka – wyszynk napojów. Już w czasie I wojny światowej wieżę zamknięto ze względów bezpieczeństwa. W latach 1929-34 trwały prace remontowe i znów otwarto budowlę, umieszczając na niej drewnianą płaskorzeźbę władcy gór Pradziada. W 1945 r. budowlę przejął Zarząd Lasów Państwowych „Praděd” w Karlovicach, lecz niedługo. Ze względu na wysokie koszty utrzymania trudno było znaleźć opiekuna wieży. Na początku lat 50. przedsiębiorstwo „Turista” podjęło prace remontowe. Planowano nawet wysadzić w powietrze górną część wieży i zbudować ją od nowa. Rozpaczliwy stan budynku, którego nie oszczędzała pogoda i wandalizm, spowodował jego zamknięcie w 1957 r. Na dzień przed przybyciem ekipy budowlanej, 2.05.1959 r., wieża zawałowała się. Na szczycie pozostała tylko prymitywna chatka i stacja meteorologiczna z 1950 r. W dniu 24.06.1965 r. Zarząd Radiokomunikacyjny z Pragi uzyskał zezwolenie na budowę przekaźnika fal radiowych (UKF i FM – trzy programy) i telewizyjnych (dwa programy), pełniącego też funkcję przekaźnika rozmów telefonicznych drogą radiową. Projektantem tej budowli jest arch. Jan Liška z „Strojprojektu” w Brnie. Budowę rozpoczęto od drogi dojazdowej na szczyt. Fundamenty położono w 1969 r., a otwarcia dokonano dopiero w 1980 r., na skutek surowych warunków klimatycznych, pozwalających prowadzić budowę tylko przez pięć miesięcy w roku. Ogromna ta budowla ma 162 m wysokości. Składa się z trzech skrzydeł, mieszczących urządzenia przekaźnika, restaurację z 62 miejscami (otwartą w 1983 r.) i salę klubową. Dopiero kilka lat temu otwarto dwa oszklone tarasy widokowe: na wysokości 19 i 70 m, na które wyjeżdża się specjalną windą (płatnie). Budowla ta razi swoim ogromem i oszpeca najwyższy szczyt Sudetów Wschodnich, jednak stała się jego symbolem. Ciekawostką jest fakt, że Pradziad, po dodaniu wysokości wieży widokowej, jest najwyższym szczytem w Sudetach. Po udostępnieniu tarasów widokowych na wieży, stał się on też najlepszym, być może, miejscem widokowym w Sudetach. Dostrzec stąd można, oprócz wszystkich niemal pasem sudeckich (ze Śnieżnikiem i Śnieżką), kawał Beskidów Zachodnich (z Babią Górą), a nawet Małą Fatrę i Tatry. Ponadto mamy wgląd na bez-



Nowa wieża widokowa

kresne równiny śląskie i czeskie pogórza. To jednak wyjątkowo, a znacznie częściej widać najbliższe szczyty, jak np. na wsch. Petrovy kamený (1438 m) z charakterystyczną skałą.

W latach 1622-1684 w Jeseníku i Zlatých Horach odbywały się procesy czarownic, podczas których zamęczono około 250 osób. Według inkwizytorów właśnie na Petrovych Kamieniach odbywały się „sabyty” czarownic. Skałka była tronem diabelskiego księcia, przed którym czarownice, przybyłe na miotłach i ożogach, składały ofiary. Później odbywała się hulanka i pijatyka. Rej wiodła kochanica diabelskiego księcia.

Pod szczytem Pradziada znajduje się interesujący zabytek – kamień graniczny. Kamień ten przypomina, że aż do 1810 r. zbiegały się na Pradziadzie granice biskupiego księstwa nyskiego (płaskorzeźbiona mitra biskupia i pastorał, strona pn.), posiadłości Krzyżaków z Bruntálu (krzyż maltański z czterema gałązkami liliowymi, strona pd.-wsch.) i właścicieli Velkich Losin – Žerotinów (lew w koronie stojący na trzech górach). Na każdej stronie marmurowego słupa wyryto datę postawienia – 1721 r. (czasem bpa Franciszka Ludwika von Neuenberg).

Aż trzy schroniska-hotele w sąsiedztwie udostępniają najwyższy szczyt Moraw. Kursovni chata powstała w latach 1948-55 i służy głównie liczny tu zimą narciarzom-zjazdowcom. Najbardziej przytulna jest chata Barborka przy źródłach Białej Opawy. W 1883 r. powstała tutaj chatka-schron (pierwszy obiekt turystyczny zbudowany przez MS SGV), jednak obecny budynek zbudowano dopiero w 1942 r. Do hotelu Ovčárna można dojechać w sezonie autobusem z uzdrowiska Karlova Studánka, co skraca podejście na Pradziad do około 1 godz. W 1864 r. staraniem zakonu krzyżackiego z Bruntálu, powstał tutaj szałas – owczarnia, stąd nazwa. Tradycje pasterskie tego miejsca sięgają 1820 r. W tym czasie żętyca owcza była jednym ze środków leczniczych w Karlovej Studánce. W 1910 r. budynek całkowicie spłonął. Na początku lat 30. powstał hotel górski z restauracją, który od 1953 r. do niedawna służył jako dom wczasowy Armii Czechosłowackiej. Obecnie ogólnodostępny.

Marek Sitko

Jak zginął generał Walter?

Karol Świerczewski, komunista z głębokiego przekonania i czynu, kombatant walk w Hiszpanii, swój życiowy sukces odniósł otrzymując dowództwo 2 Armii WP. Walczyła ona, przypomnijmy, z honorem, ale i wielkim upustem krwi na Łuzycach osłaniając działania w operacji berlińskiej, była blisko zdobycia Drezna i Pragi, do której już właściwie wkroczyła. Wyzwolenie jednak tej stolicy pisane było w Moskwie Armii Czerwonej, stąd 1 Korpus Pancerny zmuszony został cofnąć się do Mielnika. Po zakończeniu wojny gen. Walter, jak go zwano, został mianowany II wiceministrem Obrony Narodowej, mimo niewątpliwych zasług wojennych. Zbyt jednak był samodzielny czy myślący, by mimo ideologicznej wierności (bez skrupułów m.in. tępił politycznych przeciwników w myśli partyjnych dyrektyw) zająć najwyższe stanowisko w wojsku. Jak wiemy, powierzono je przedwojnemu defraudantowi, kupionemu rychłym marszałkowskim tytułem. Ale to Świerczewskiemu powierzono niewątpliwie trudne zadanie zlikwidowania faszystowskonacjonalistycznych oddziałów UPA w Bieszczadach.

Po odprawie 27.03.1947 r. Świerczewski wyjechał następnego dnia wczesnym rankiem na inspekcję dywizji, dowodzonej przez gen. Więckowskiego. Wpierw pojechał jego samochód, a dopiero po dłuższej chwili i to po usłyszeniu strzelaniny ruszyła kolumna ochrony pod komendą por. Mariana Różyckiego, do niedawna w ogóle nie wymienianego w opracowaniach na ten temat. Były to trzy ciężarówki dodge z 27 żołnierzami i jeden zis (awaryjnie włączony do grupy) z 18 żołnierzami. Warto dodać, że wyjechano wskutek nalegania i przejęcia inicjatywy przez dowódcę ochrony. Trzeba zaznaczyć, że Świerczewskiemu odradzano tę jazdę, uzasadniając to dużym zagrożeniem ze strony Ukraińców. Droga była dobrze obstawiona do Leska, zaś na odcinku do Baligrodu – już znacznie słabiej. Mimo to Świerczewski nakazał jazdę z Baligrodu do Leska mimo nie opracowania planu ochrony owej części trasy. Brak dokumentów z tego czasu nie pozwala precyzyjnie odtworzyć wydarzeń dnia śmierci. Rekonstrukcja opiera się niemal wyłącznie na osobistych relacjach, które też dopiero niedawno zaczęto publicznie ujawniać.

Według relacji por. Różyckiego, jego żołnierze zaczęli ostrzał terenu już w momencie zbliżania się do generalskiego samochodu. Wtedy też ogień UPA osłabił, dzięki czemu Świerczewski wynurzył się spod ochraniającego go mostku. Wykonał kilka kroków w stronę potoku z zamiarem przejścia na drugą

stronę, ale po około 5 m upadł twarzą w dół, prawdopodobnie trafiony po raz wtóry. Różycki z kimś jeszcze zabrał się do opatrywania rannego, w czym pomagał mu generał. Wtedy też zauważono trójkątną ranę pod lewą łopatką, prawdopodobnie po spiłowanej kuli dum-dum. Druga była poniżej pasa. Świerczewski, obawiając się wzięcia do niewoli, prosił o dobiecie, ale i tak zaraz skonał. Działo się to około 7 km od Baligrodu. Cały oddział w kolumnie marszowo-osłonowej ruszył w stronę tej miejscowości. Po około 1,5 km z lasu wyszła grupa wyższych oficerów, m.in. z dowódcą dywizji gen. Więckowskim. Dość jednoznacznie wynikało z relacji por. Różyckiego, że po prostu w miarę ostrzału uciekli oni przed ogniem UPA, pozostawiając samych nie tylko żołnierzy, ale i gen. Świerczewskiego. Wspomniane pochodzenie ran potwierdzają też chyba ślady na płaszczu generalskim, też trójkątne.

Jak w końcu do tego doszło? Czy była to zaplanowana zasadzka? Z dużym prawdopodobieństwem można dziś powiedzieć, że nie. W tym rejonie znajduje się wiele dogodnych do tego celu miejsc, gdzie UPA mogła urządzić zasadzkę i takowe zresztą urządziła, gdzie mogła wybić absolutnie wszystkich. Takie ciężkie straty poniosła przykładowo IV Grupa Manewrowa WOP. A przecież osoba Waltera byłaby niezwykle pożądaną ofiarą. Ponadto, jak wynika z późniejszych zeznań różnych jeńców, sotnie Hrynia i Stacha pojawiły się na okolicznych wzgórzach zaledwie kilkanaście minut przed przyjazdem Polaków. W dodatku, jak relacjonował płk Jan Gerhard, Świerczewski podjął decyzję o wyjeździe niemal w ostatniej chwili. Informacja o tym nie mogła więc tak szybko dotrzeć do Ukraińców. Najprawdopodobniej miał to być więc rajd propagandowo-ostrzegawczy, w czasie którego UPA postanowiła skorzysta z okazji (samotnie praktycznie samochód generalski) i zlikwidować choć kilku polskich żołnierzy. Nie wiedzieli, kto z nimi był. Tak więc wyglądał zamach, zupełnie przypadkowy, opiewany potem w pieśniach i rewolucyjnych wierszach. Dziś muzeum Świerczewskiego nie istnieje, znikły z ulic tabliczki z jego nazwiskiem, ściągane chyba zbyt pochopnie przez neofitów. A przecież postać Waltera nie jest jednoznaczna. Bo to i bohater bez wątpienia, i skrupulatny zarazem wykonawca krwawych wyroków wobec rodaków. Co przeżył? Poczekajmy z osądem. Wszak nawet Najwyższy Sędzia będzie dysponował wagą do oceny naszych uczynków. Nie bądźmy pochopnie gorliwsi!

H. K.



GLOBTROTTER



To ci się do mnie uśmiechnęło szczęście! Wylosowałem darmowy, dwutygodniowy pobyt w hotelu na Zachodzie. Ale gratka! A było to tak. Na warszawskim Centralnym, mając chwilę czasu przed odjazdem pociągu, kręciłem się po tym nieprzytulnym gmaszysku. Zaczepił mnie jakiś młodzieniec z zapytaniem, czy udzielę odpowiedzi na jakąś tam, dotyczącą wcześniejszych ankiet. Czemu nie? Jak często, jak długo, czym wyjeź-

dziczenia, sprzedaży itp.) dwa, trzy i więcej. Jeden udział w obiekcie (oni to nazywali kurortem, ale my wiemy, że to zupełnie co innego!) europejskim równoważny jest dwóm udziałom pozaeuropejskim. Wiadomo, Europa jest najpopularniejsza wśród wояżujących. Dużo obiektów znajduje się już w Stanach Zjednoczonych, ale poza Florydą i Kalifornią – to przecież najatrakcyjniejsze regiony Nowego Świata! Każdy obiekt stoi na odpowied-

wściągliwą reakcję widzów, bo owe osoby „opiekujące” się nami robiły kląkę: rozgłośnie śmiały się, podnosiły ochoczo ręce, pokrzykiwały pytania i dowcipne odpowiedzi. Poczęstowano kawką, a jakże, puszczone ładny film wideo o takich ośrodkach i systemie RCI (zapewnia on też informację w zakresie dojazdu i pomaga go też załatwić). Ale ciągle bez odpowiedzi pozostawało pytanie: za ile w końcu taki udział można kupić?

Świat dla wygodnych (i zamożnych)

dżam, ile średnio zarabiamy (uwaga!) w rodzinie, podać telefon. A za to, że pomogłem (domyśliłem się oczywiście, że chodzi o marketing jakiejś firmy turystycznej), mogę wziąć udział w atrakcyjnym konkursie. Na wyretuszowanym zdjęciu, przedstawiającym siatkarza przy ścięciu, należy trzema krzyżykami zaznaczyć miejsce brakującej piłki. Jeśli trafię, to mam szansę otrzymać właśnie ów darmowy pobyt. Coś to podejrzane, za łatwe, ale zakresiłem. Po paru dniach podekscytowana sekretarka przekazuje mi radosną nowinę: – Wygrał Pan darmowy pobyt! Kiedy i dokąd Pan jedzie?! Tak, pięknie, każdy by się cieszył. Wkrótce zadzwonili z Warszawy. To i to, koniecznie przyjechać na prezentację, bezwzględnie z osobą towarzyszącą – płci żeńskiej, niekoniecznie z żoną (!), no i wziąć z 10 milionów, bo będzie okazja na bardzo atrakcyjny zakup. Nagroda? Ależ oczywiście, będzie i nagroda!

Dobrze się złożyło, że akurat jechałem do Warszawy, więc późnym wieczorem z uproszoną OSOBĄ TOWARZYSZĄCĄ pojawiłem się w „Polkacie” przy ul. Chłodnej. Sala skromna, pustawa, trochę plakatów turystycznych, proste stoliki. Zaczynają przy nich siadać przybywające pary z opiekunem. Bo firma dała takowego (lub takową) już przy wejściu. Trochę zagadywali, trochę udzielali konkretnych informacji (ale skąpo) i robili jeszcze coś, o czym za chwilę. Na pierwszym planie pojawił się prowadzący – dwudziestoletni Paul, Anglik, ostrzyżony niemal na skina, z tłumaczką (nie powiem, atrakcyjną i przekazującą z szybkością karabinu maszynowego i to w zasadzie wiernie, bo mówę Albionu co nieco znam). Zaczął się show, jak organizatorzy to nazywali. Ale nie chodziło tu, niestety, o show w stylu Benny Hilla, tylko o pokaz, bo tak to słowo normalnie się tłumaczy. Otóż Paul zaczął wyjaśniać ideę tzw. timeshare, czyli udziałów czasowych, rzeczy coraz ponoć popularniejszej na Zachodzie. Rzecz wygląda następująco. Ktoś buduje (lub już ma) ośrodek wypoczynkowy. Dla zmniejszenia nakładów własnych, część prawa własności sprzedaje renomowanym bankom, a te poprzez biura marketingowe i dealerskie sprzedają je indywidualnym nabywcom na świecie. Podstawowa jednostka udziałowa wynosi jeden tydzień, ale można kupić (dożywotnio, z prawem dzie-

nio wysokim poziomie, ale też zaledwie 20% zgłaszanych przez hotelarzy propozycji trafia do tej sieci. Musi być basen, kort, ewentualnie pole golfowe, konie, każdy apartament liczy cztery lub sześć łóżek, ma własną kuchnię (choć można korzystać z restauracji). Jednym słowem: żyć, nie umierać! No tak, ale ile można jeździć w to samo miejsce, ciągle Majorka, Sycylia, Wyspy Kanaryjskie. Pomyślano i o tym. Otóż ponad dwadzieścia lat temu powstała ogólnosiwiatowa sieć RCI (przedstawicielstwo europejskie: RCI Europe Ltd., Kettering Parkway, Kettering, Northants NN15 6EY, Wielka Brytania, tel. 0536/310111). Jeżeli jest się już udziałowcem jakiegokolwiek obiektu zarejestrowanego w RCI, to wystarczy do nich zadzwonić i prosić o zamianę swojego tegorocznego udziału na coś innego, oczywiście w miarę wolnych miejsc i kupionego poziomu. Ten w kolorze czerwonym oznacza możliwość korzystania z udziałów przez cały rok, jest też najdroższy. Białe to pośredni, a niebieskie – tylko poza sezonem. Ale to i tak lepiej niż ciągle w tym samym otoczeniu. Jest w czym wybierać, bo centrala w Indianapolis (USA) wydaje katalogi dla około 2500 obiektów w 70 krajach. Z wymiany korzysta rocznie około 3-4 mln osób, dotyczy to 80% udziałowców. Można też sobie zaoszczędzić udział i ze swojego tygodniowego zrobić dwutygodniowy za okres dwóch lat. Można też skrócić awansem, blokując oczywiście wykorzystanie w przyszłości. Trzeba tylko płacić roczne koszty utrzymania swojej części obiektu, które kształtują się różnie. W przypadku akurat nam oferowanych, położonych, bagatela, w Goa (Indie!) i na Teneryfie, wynoszą odpowiednio 180 i 220 USD.

Ile Państwo potrzebowali czasu na przyswojenie tych informacji? Trzech, czterech minut? A nam Paul nawijał blisko 2,5 godziny! Albo uznano Polaków za przytępawych, albo oferta chyba jednak nie tak bardzo atrakcyjna, że trzeba było zgromadzić naród oszołomić. Najbliższe prawdy będzie twierdzenie, że chodziło o rozmiękczenie i napuszczenie uczestników na te udziały. Bo Paul starał się rzeczywiście robić show, tzn. wykrzykiwał się (co miało być śmieszne), żartował (np.: Mój szef to ma fajne życie, nic nie robi, tylko zbiera forszę, a ja od dwóch lat nie mam urlopu. Ha, ha, ha! Dobrze, że tego nie słyszy). Widać organizatorzy przewidzieli po-

Mimo przyciskania go do muru, nasz opiekun nie chciał pary z ust puścić, bo to nie jego zakres. Wreszcie do akcji wkroczyli menedżerowie, czyli pracownicy (bo do tej pory występowali chyba polscy naganiacze) brytyjskiej firmy marketingowej z Londynu AMF Holiday, która ma swoje przedstawicielstwo przy ul. Chłodnej 64. Na takiej promocji cena udziału jest niższa o 2500 USD, ale można je wykupić w każdej chwili. No, a na co te 10 mln zł? Myślałem, że będzie jakaś ekstra elektronika, super ciuchy czy coś podobnego. Nie! To zakup udziału stanowił atrakcję wieczoru, przy czym ten polski pieniądz to tylko wadium! W końcu, gdy menedżerowie, jak ich zwano, ruszyli w „tłum liczący 25 osób, dowiedzieliśmy się, ile to kosztuje. Ponad dwie średnie krajowe i to od razu, bo później odpowiednio drożej. Poprzez bank kwota około 11 000 USD pozwala być użytkownikiem sieci RCI. Plus owe opłaty roczne. I nic nie trzeba się martwić, bo w obiektach są nawet służące, a wartość udziałów przy sprzedaży znacznie rośnie. A więc – kupujcie ludzie! Jak dotąd, wszystko jasne, a nawet godne zainteresowania. Trzeba przyznać, że jest to dobry sposób na rozruszanie koniunktury turystycznej i korzystanie z rozległej przestrzeni bazy RCI. Trzeba wszakże „tylko” mieć trochę grosza, ale nie brakuje u nas jego posiadaczy w dużym wymiarze. A może zaadoptować to do warunków polskich?

Pogadali, podyskutowali, czas się zbierał. Co z nagrodą? – Będzie, wręczę przy wyjściu – uspokaja opiekun. Rzeczywiście, przy drzwiach wręcza nam ulotkę, reklamującą „XL Holiday Breaks International”. Jest to system hotelowy, oferujący darmowe dwutygodniowe noclegi pod warunkiem wykupienia kartetu wyżywieniowego. Kosztuje on, bagatela, 16-45 GBP (tj. funtów), ale łącznie ze śniadaniem. Policzmy: średni, ale sytny obiad kosztuje do 4 GBP, pozostałe posiłki razem tyle samo (a przecież śniadanie jest normą przy zakupie noclegu), to wychodzi na to, że i tak opłacamy łóżko. A to wszystko po wpłaceniu 10 USD celem otrzymania szczegółowego wykazu hoteli i zarejestrowania w sieci. W ponad 80% obejmuje ona hotele brytyjskie. Ot, i nagroda! Korzystać z tego przynajmniej taka, że zapoznaliśmy się ze współczesnymi metodami werbowania klientów w branży turystycznej. A nuż się coś spodoba?

W połowie tzw. Jasnej Drogi, sięgającego w głąb średniowiecza ważnego traktu, między Kassel a Dortmundem, niedaleko Monastytu (Münster), gdzie podpisano w 1648 r. słynny Pokój Westfalski, leży w południowo-wschodniej Westfalii Soest. Jest to miasto nieduże, liczące około 50 tys. mieszkańców, silnie zniszczone w czasie ostatniej wojny ze względu na liczne zakłady przemysłowe. Jednakże mimo to zachowało ono wiele cennych i

powstały niemal wszystkie ważniejsze zabytki. Od 1666 r. miejscowość należała do Brandenburgii-Prus.

Najokazalszą budowlą historyczną, wznoszącą się w centrum, przy ratuszu, jest tzw. Patroklidom, monumentalny kościół wybudowany około 1000 r., a powiększony w dwóch następnych stuleciach. Jego najważniejszą częścią jest masywna wieża, uchodząca za najpiękniejszą romańską konstrukcję

pw. NMP na Wysokościach (Hohnekirche), który – wzniesiony około 1225 r. – posiadał przez dłuższy czas typowo westfalski rzut na planie kwadratu. Późniejsze rozbudowy niewiele tę sytuację zmieniły. Dużym mistrzostwem odznaczają się polichromie ścian, filarów i sklepienia z około 1480 r., należące do najlepszych z tego czasu w Westfalii. Szczególnym pięknem odznacza się tzw. anielski krąg nad chórem. Cenne jest też

Soest – ozdoba Westfalii



Romańsko-gotycki kościół, tzw. Patroklidom w Soest. Fot. autor

pięknych zabytków w rozległej starówce, choć wypełnionej obiektami zrekonstruowanymi lub odbudowanymi. Co sprawiło, że jest ich tyle i że są tak okazałe? Przede wszystkim położenie. Okolice to bardzo żyzne gleby, wzięte pod uprawę już w bardzo wczesnych czasach. Następnie przebieg wspomnianego traktu, a potem szczęśliwe alianse. Owo wyraziście rysujące się znaczenie miejscowości szybko docenili frankońscy władcy, którzy ulokowali tu jedną ze swych rezydencji (palacjum). Stąd już w 836 r. Soest określono jako gęsto zaludnioną miejscowość. Na początku XII w. otrzymała ona prawa miejskie, a do 1191 r. otoczyła się kamiennymi murami, w dużej części istniejącymi do dziś, łącznie z wysoką bramą wjazdową. Dla zapewnienia spokoju w okolicy i przyciągania tym licznych kupców Soest przystąpiło w 1253 r. do Westfalskiego Związku Miast (podobnego do Związku Sześciu Miast Łużyckich, do którego należał m.in. Zgorzelec i Lubiąż). Potem przystąpił do Hanzy, co dało rozległe kontakty handlowo-finansowe. „Złoty wiek” miasta trwał do XV w. łącznie, Wtedy też

tego typu w całych Niemczech. Od wewnątrz można podziwiać jej okazałość poprzez imponujące rozwiązanie z chórem. Romańskie freski zostały, niestety, w większości zniszczone w 1945 r., ale o ich pięknie świadczą fragmenty w absydzie ołtarza głównego. Wnętrze, majestatyczne dzięki potężnym filarom i ubogości zabytków ruchomych, nabiera specyficznego uroku, kiedy poprzez witraże (już współczesne) słońce rzutuje na ściany kolorowe refleksy. Nad ołtarzem głównym wznosi się imponujący, wysokości 2,12 m, krzyż tryumfalny.

Tuż obok znajduje się Petrikirche, ewangelicki kościół parafialny, również malownicza i stara budowla. Powstała ona w XII-XIII w. jako sklepiona już bazylika, ale obecnie ukształtowana jako pięcionawowa hala, w części zachodniej nawiązująca do sąsiedniego palacjum arcybiskupiego. Tak jak i inne tutejsze świątynie, specyficzny wygląd zastał nadany przez kamienny budulec, pochodzący z niedalekich, do obecnych czasów eksploatowanych złóż.

Wspomnijmy inny ciekawy kościół

malowidło w niszy Św. Grobu.

Podobne prace można obejrzeć w kościele NMP na Łące (Wiesenkirche), dobrze rozpoznawalnym dzięki dwóm wysokim wieżom, ukończonym dopiero w XIX w., podczas gdy budowa pochodzi z XIV w. Smukłe filary dzielą trójprzęsłowe wnętrze na trzy hale, dobrze oświetlone poprzez duże gotyckie okna z pięknymi maswerkami. Część z nich posiada pochodzące z ok. 1520 r. witraże o dużej wartości. W jednym z nich podziwiać można dużą osobiwość: oto Ostatnia Wieczerza, przedstawiona we wnętrzu... westfalskiej gospody, stąd znana jako Wieczerza Westfalska. Przyciąga ona nie tylko znawców, ale i wielu turystów.

Przybywszy do Soest mogą podziwiać jeszcze kilka innych, także szacownych wiekiem świątyń – ewangelickich i katolickich. Są także dwa muzea, przy czym jedno, tzw. zamkowe (Burghofmuseum), urządzono w dawnym zamku miejskim, którego najstarsze części sięgają 1200 r. Uliczki centrum ozdobione są gęsto budynekami o konstrukcji szkieletowej, bardzo często z 1 poł. XVI w. Cieszą one oko starannością utrzymania i świeżością barw. W wielu wypadkach na czarnych belkach złocą się gotyckim liternictwem stare inskrypcje.

Na południe od miasta, w odległości kilkunastu kilometrów, teren zaczyna falować, podnosić się – to Sauerland, przedpole Średniogórza Niemieckiego. Już na jego przedpolu, w dolinie rzeki Möhne, utworzono duży zbiornik zaporowy, który przyczynił się do gęstego zagospodarowania turystycznego okolicy. Przecinają ją liczne szlaki piesze, zapewniające znakomity wypoczynek i poznanie regionu nie tylko przez mieszkańców Soest, ale dużej ilości turystów pojawiających się tu corocznie.

Krzysztof R. Mazurski

TOPR i TPN na nartach

Na starcie Memoriału Klimka Bachledy stanęło 43 ratowników TOPR i GPR. W grupie do 35 roku życia pierwsze miejsce zajął Piotr Konopka. W rejonie Zwierówki odbyły się 29 Międzynarodowe Mistrzostwa HS TANAP. Członkowie ekipy TOPR znaleźli się na stosunkowo dalszych miejscach – od 12 w dół. Na stokach Kasprowego Wierchu odbyły się zawody narciarskie TPN, w których udział wzięło 102 zawodników wszystkich kategorii wiekowych. Zawodnikiem-seniorem był inż. Jerzy Zembruński.

O tym, jak drzewie po górach chodzono

W „Życiu Warszawy” z 28 kwietnia br. ukazał się – na drugiej stronie! – wywiad z Maciejem Mischke, prezesem odrodzonego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Organizacja ta – mówi on – stara się pielęgnować dawne tradycje kontaktów ludzkich z górami, zagubione w latach PRL. Krytycznie – choć z dyktowaną wiekiem wyrozumiałością – wypowiada się na temat dzisiejszego taternictwa: wspinaczek solowych, braku dbałości o partnera, sprowadzenia kontaktu z górami do banalnych przeżyć rywalizacyjno-sportowych. *Podejścia do gór mogą być bardzo indywidualne, ale czasem się martwię, że jak są już sztuczne ściany wspinaczkowe, to góry przestają być potrzebne.* Wspomina też, jak to w latach 1950-1960 postawiono na turystykę masową i jakimi metodami ją kreowano. *Czasem w naszym PTT też rodzą się jakieś pomysły, aby nadać stopnie i odznaki za chodzenie po górach.* (Mowa chyba o Górskiej Odznace Turystycznej, przypomnijmy więc, że to właśnie PTT wprowadziło GOT z systemem stopni i całą towarzyszącą jej biurokracją, a były to lata trzydzieste).

Zmarł Marcel Ichac

W połowie kwietnia zmarł w Paryżu w wieku 87 lat jeden z najwybitniejszych reżyserów filmu górskiego, Marcel Ichac. Najpierw wyrobił sobie nazwisko jako wspinacz alpejski, a także grotofaz. Do spraw filmu zbliżyły go studia w szkole reportażu fotograficznego. Kręcił filmy w Alpach, w Karakorum, w Himalajach, a także podczas wypraw jaskiniowych i polarnych. Wysokie oceny zyskał jego reportaż filmowy z Grenlandii, film „Karakoram” (1936) otrzy-

mał główną nagrodę międzynarodową na Biennale w Wenecji. W 1950 r. był filmowcem wyprawy francuskiej na Annapurnę, a stworzony przez niego dokument obfitywał – jak podkreślano – w mocne momenty, których nie musiał reżyserować: nasuwały się same przed oko kamery. Film otrzymał nagrodę w Trento.

Dokumentalista z temperamentu, Marcel Ichac, nie stronił też od filmów fabularnych. Taki charakter miał słynny i niezapomniany film „Gwiazdy w południe” (1958), prezentowany kilkakrotnie na naszych ekranach, zwiastun nowej fali w filmie wysokogórskim. Marcel Ichac bawił dwukrotnie w Polsce. W 1939 r. na Mistrzostwach FIS w Zakopanem i w 1960 r. w Warszawie, gdzie gościli go Instytut Francuski i Klub Wysokogórski. Rozmawiając w 1990 r. w Chamonix z Andrzejem Zawadą i wyżej podpisanym, ciepło wspominał oba te pobyty i kontakty z polskim środowiskiem górskim i filmowym. Mimo zaawansowanego wieku, orientował się nieźle w osiągnięciach alpinizmu polskiego, a nawet w polskich nazwiskach.

Tak się osobliwie złożyło, że dzień wcześniej zmarł bliski przyjaciel Ichaca i zarazem inny znany filmowiec francuski, Jean-Jacques Languepin. W 1951 r. uczestniczył on z kamerą w tragicznej francuskiej wyprawie na grań Nanda Devi, a jego pamiętny film „Drame à la Nanda Devi” (1952) otrzymał Grand Prix na festiwalu w Trydencie w 1954 r. „za prawdziwość i wzruszającą powściągliwość w relacjonowaniu jednego z najtragiczniejszych przedsięwzięć himalajskich”. Jego książka o tej wyprawie (1952, 1955) była tłumaczona na kilka języków, m.in. na japoński.

Chrońmy przyrodę gór

• Rada Naukowa TPN przez wiele lat twardo przeciwstawiała się wszelkim planom modernizacji i rozbudowy kolejki linowej na Kasprowy Wierch, słusznie uważając, że nasza rozdeptana góra narciarska nie jest w stanie podjąć jeszcze większym obciążeniem ekologicznym. W stanowisku Rady nastąpiła ostatnio zmiana i na zebraniu w Krakowie w dniu 25 kwietnia 1994 r. wstępny projekt modernizacji uzyskał jej przychylność. Jeden z wariantów przewiduje połączenie Ronda z Kuźnicami tunelem, co za słuszne z ekologicznego punktu widzenia uznał prof. Kazimierz Klimek. Zdaniem prof. Klimka, prace mogą ruszyć już w przyszłym roku. Gdybyż tak jeszcze można było pod-

wyższyć Kasprowy o 1000 m i nadać mu rozmiary alpejskie!

• „Człowiek i góry '94” to tytuł międzynarodowego sympozjum w Ponte di Legno we Włoszech, poświęconego problemom ochrony gór i racjonalizacji rozwoju ich zagospodarowania. Sympozjum zapowiadane jest jako pierwsze tego rodzaju na świecie, ale podobne chwytły reklamowe są już dziś tak powszednie, że nawet nie dziwią. Zaproszenie do udziału otrzymał prof. Ryszard W. Schramm, na liście prelegentów jest nasz himalaista Piotr Pustelnik z Łodzi – z referatem „Ochrona przyrody, a taternictwo w Tatrach”. Jedną z imprez towarzyszących będzie wieczór Reinholda Messnera. Termin spotkania: 20-24 czerwca.

• Piętnaście lat temu przez góry Europy przeszła epidemia ślepoty kozic. Gałki oczne zwierząt pokrywało bielmo, a z oczodołów płynęła ropna wydzielina. Oślepiłe zwierzęta szybko ginęły, a choroba spowodowała wielkie spustoszenie w populacji kozic w Alpach, Pirenejach, Apeninach, oraz zapewne i w Tatrach, choć tutaj – być może ze względów propagandowych – nagły spadek pogłowia tłumaczono rozwojem turystyki i taternictwa. Latem 1993 r. w Alpach powstało nowe ognisko tej choroby. W Graubünden zapadły na nią koziorożce, których stan w rejonie Arosa – Lenzerheide zmniejszył się w ciągu sezonu z 220 do 63 sztuk. Sprawą zajęli się naukowcy z Berna i Wiednia. Chodzi o etiologię schorzenia i wyjaśnienie jego przyczyn, a w praktyce szukanie środków, by nie rozpanoszyło się ponownie w innych górach.

Zapowiedzi

• Tegoroczne spotkanie klubu wspinających się pań, Rendez-vous Hautes Montagnes (RHM), odbędzie się w Słowenii, w Alpach Julijskich, z bazą nad Jeziorem Bohińskim. Imprezę zaplanowano na 14-21 sierpnia. Koszty udziału i dojazdu ponoszą same uczestniczki, przy czym skalkulowane one są na poziomie minimum. Zgłoszenia – także z małżonkami lub przyjaciółmi – przyjmuje Planinska zveza Slovenije.

• Dużą aktywność przejawia ostatnio Komisja Młodzieżowa UIAA. Na rok 1994 zaplanowała ona 7 imprez w górach Europy. Na dwa obozy przyjmowane są dzieci w wieku 8-12 i 8-15 lat, na trzeci – w Karpatach Rumuńskich – w wieku 10-17 lat. Zgrupowania dla nastolatków odbędą się w Alpach i Pirenejach. Ósmą tegoroczną imprezą Komisji Młodzieżowej będzie atrakcyjny 12-dniowy

trekking w indyjskim Garhwalu i Kinaurze, niestety dość drogi: 1000 dolarów USA, nie licząc kosztów podróży. Na spotkaniu Komisji w dniach 29-31 października ub.r. w Szwajcarii przedstawiciele 8 krajów dyskutowali nad kierunkami dalszej pracy na rzecz zainteresowanej górami młodzieży.

Himalajskie zamierzenia

● W sezonie wiosennym ruch wspinaczkowy w Himalajach był dość skromny. Władze w Katmandu wydały pozwolenia 21 wyprawom. Mount Everest był celem dla 6 z nich, 3 zdecydowały się na Dhaulagiri, tyleż samo na Pumori, po 2 wybrały Cho Oyu, Paruntse i Lhotse. Pod Makalu działała 1 wyprawa. Z 6 wypraw everestowskich 3 przybyły z USA (dwie z programem porządkowym).

● Władze pakistańskie zakomunikowały, iż na sezon letni wydały 61 pozwoleń, najliczniejsze (11) na Broad Peak, liczne na K2 (9 – w tym polsko-amerykańska).

● Szwajcar Erhard Loretan, który po – spowodowanym chorobą – niepowodzeniu swej ambitnej wyprawy na Kangchendzongę w jesieni 1993 r. oświadczył, iż szczyt ten już go nie interesuje, zmienił ostatnio zdanie i na jesień 1995 r. planuje ponowną próbę, tym razem jednak drogą normalną, jako kierownik grupy komercyjnej. Jak pamiętamy, Loretan ma w dorobku 11 ośmiotysięczników i Kangchendzonga jest jednym z tych, których mu brakuje.

● Niemieckie biuro podróży International Mountain Climbing zaplanowało na rok 1994 wyprawy komercyjne na Broad Peak (14 500 DM) i na Everest (18 500 DM). Wyprawą na Broad Peak będzie kierował Meksykanin Carlos Carsolio.

● Amerykański Nowozelandczyk Robert Anderson, który po raz kolejny zamierzał zaatakować solo Everest, musiał ten rok „odpuścić”, uległ bowiem w Australii poważnemu wypadkowi podczas surfingu.

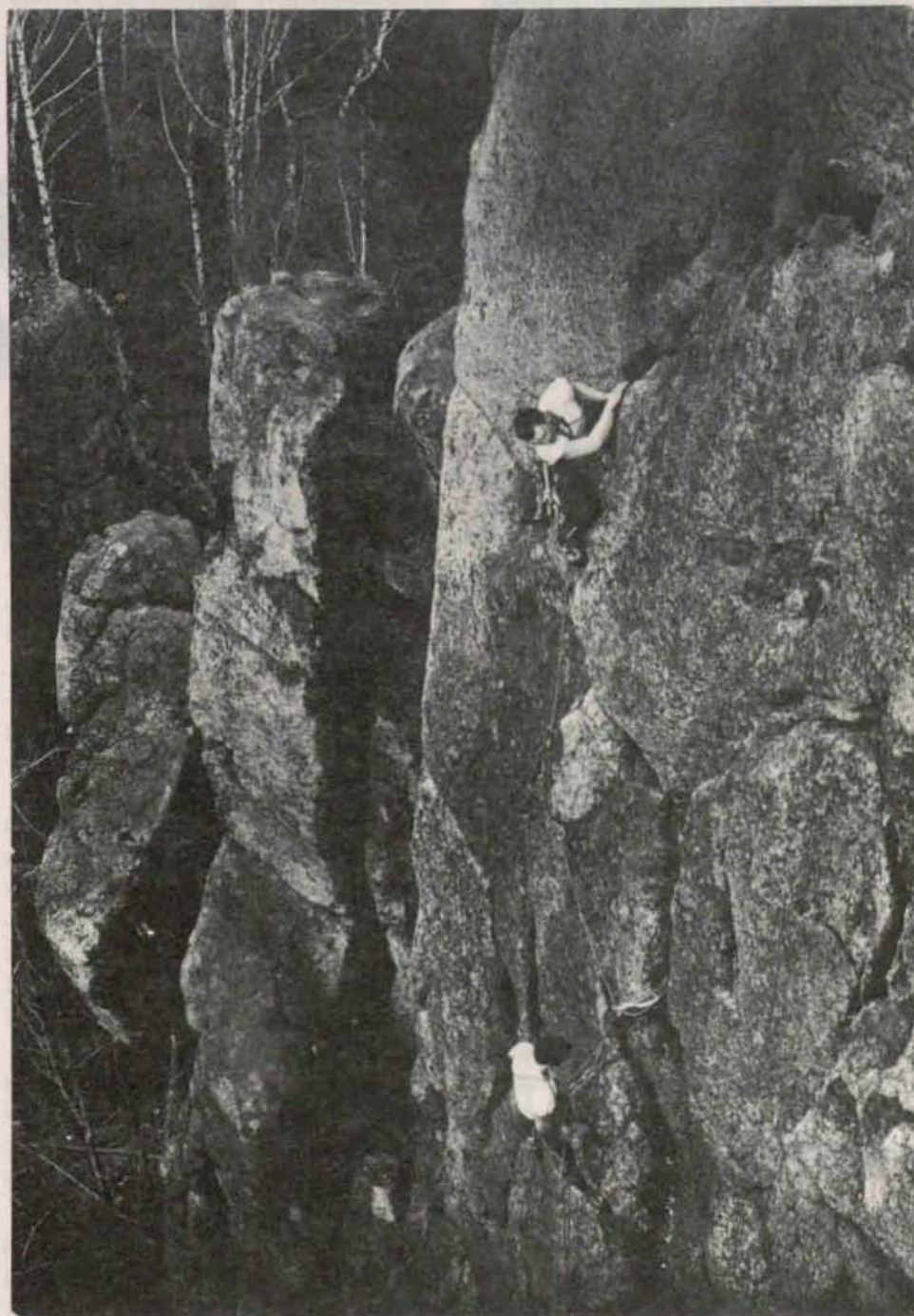
Samarytanie na wysokościach

★ W Szwajcarii organizowane są od 5 lat specjalne kursy dla lekarzy górskich, coraz to bardziej popularne (ostatni ukończyło 60 osób). Program szkoleniowy obejmuje nie tylko zagadnienia z zakresu opieki zdrowotnej na dużej wysokości, ale także teoretyczne i praktyczne podstawy techniki wspinania i ratownictwa, m.in. z udziałem helikopterów i psów lawinowych. Uczestnicy dzielą się na 4 kategorie: a) lekarzy pracujących w wioskach alpejskich; b) lekarzy bywających w górach jako apliniści lub turyści; c) lekarzy służb ratowniczych i d) lekarzy obsługujących trekkingi i wyprawy w góry egzotyczne. Do grona stałych wykładowców należy dr Pietro Segantini, współzałożyciel Komisji Lekarskiej, a obecnie prezes UIAA. Na ostatnim kursie (na Oberalpass) postanowiono powołać do życia Szwajcarskie Towarzystwo Medycyny Górskiej.

★ W dniu 5 grudnia 1993 r. w klinice Budge Budge w Kalkucie odbyło się sympozjum poświęcone problematyce zdrowotnej alpinizmu i turystyki himalajskiej. W spotkaniu uczestniczyło 150 lekarzy i alpinistów, referaty wygłaszali i dyskusje prowadzili specjaliści hinduscy. Nowością programową stanowił nurt medycyny niekonwencjonalnej – m.in. w połączeniu z techniką „survival”. Szczególnie ciekawe były tu referaty pani dr Pitili De o wysokogórskich roślinach leczniczych oraz dra Birena Sarkara o szansach stosowania homeopatii w medycynie dużych wysokości. Dr Samar Pal rozwinął temat apteczki trekkingowej, do tej pory kompletowanej przez samych lekarzy, nie zawsze znających specyfikę potrzeb.

★ XIII Międzynarodowa Konferencja Lekarzy Służb Górskich w Innsbrucku zaj-

mowała się m.in. wypadkami amatorów surfingu śnieżnego, które w Alpach stają się problemem coraz poważniejszym. W ciągu roku ich liczba uległa podwojeniu, a urazy są z reguły bardzo ciężkie (kłęgosłup), choć rzadziej śmiertelne. Na stokach i trasach entuzjaści surfingu bywają siejącymi postrach piratami. Przyczyn upatrują eksperci w głodzie ryzyka trawiącym młodych ludzi, ich nikłym często doświadczeniu ogólnogórskim (znajomość śniegu, problematyki lawin etc.), a także ciągle dalekiej od doskonałości konstrukcji „desek”. Pewne nadzieje związane są z opracowywanym obecnie modelem deski terenowej, montowanej z 3 elementów, z których 2 zewnętrzne mają być używane do podchodzenia. Przypomnijmy, iż w pierwszych konferencjach w Innsbrucku stałym prelegentem był dr Jerzy Hajdukiewicz.



W Rudawach Janowickich. Foto: Archiwum

GÓRY I ALPINIZM

pod redakcją Aleksandra Łwowa

HIMALAJE TATRY SKAŁY

Jaka była naprawdę? Jak postrzegali ją inni? Gdzie kończą się fakty, a zaczynają plotki i mity? Co w rodzącej się o niej legendzie jest prawdą, a co fałszem? Na wszystkie te i im podobne pytania, chce odpowiedzieć Elżbieta Pomorska w przygotowywanej przez siebie książce poświęconej naszej najwybitniejszej alpinistce. Wspominają Wandę Rutkiewicz jej najbliżsi, przyjaciele i partnerzy z wypraw, znajomi. Fragmenty „surowego” zapisu tych rozmów są publikowane w GiA co miesiąc. Dziś wspomnienia Ewy Panek-Pankiewicz, wybitnej polskiej alpinistki, zdobywczyni Gasherbruma I i ostatnio Shisha Pangmy.

chcieli z nią pojechać i jednocześnie wejść na te szczyty. Nie wiem właściwie, dlaczego ci bardzo sprawni górscy partnerzy Wandy odchodzili od niej. Nie wiem, dlaczego w pewnym momencie powstawały problemy, czy były to problemy natury emocjonalnej, bo jej wytykano różne rzeczy, np. to, że była apodyktyczna. A co się mówi o Messnerze, że to jest łagodny baranek, aniołek? Wszyscy ludzie, którzy do czegośkolwiek dochodzą, muszą być bezwzględni, czy my się z tym zgadzamy czy nie. Więc jeżeli Wanda miałaby jakieś chwile zawahania, na pewno by tyle nie osiągnęła.

góry. Po „Temperaturze wrzenia” ludzie szeroko otworzyli oczy i powiedzieli: alpinisci to są koszmarni ludzie, kłócą się okropnie, są zupełnie inni niż ludzie z książek Żuławskiego – wspaniali zdobywcy.

Dlaczego tak się dzieje? Uważam, że we wszystkich międzyludzkich działaniach dochodzi do konfliktów. Tylko wtedy nie ma konfliktów, gdy nie ma rywalizacji. Na przykład na wyprawie trekkingowej. Wszyscy jadą wypocząć, odprężyć się, obejrzeć piękne widoki. Natomiast, gdy wchodzi w grę jakaś sprawa do zrobienia i każdy chce

Wanda Rutkiewicz

Temperatura wrzenia

(...) Uważam, że Wanda nie miała szczęścia do ludzi. Była osobą, która potrafiła bardzo dużo dać ludziom. Robiła to często bezinteresownie. Pamiętam czas stanu wojennego. Wanda miała doskonałe układy i znajomości w Austrii i Niemczech. Przyjeżdżała z tysiącem rzeczy: proszkami, mydlami, rajtuzami, lekarstwami. Wszelkie prośby znajomych starała się sumiennie spełniać. Często zdarzało się tak, że przychodzili do niej ludzie i brali sobie różne rzeczy, i na końcu ona zostawała bez proszków i bez rajstop. Nieco zdziwiona i rozgoryczona, że nie ma co włożyć na nogi.

Wkładała we wszystko dużo pracy. Wszystko, co zaczynała robić, traktowała nadzwyczaj poważnie i starała się wykonać najlepiej, jak mogła to zrobić. Była perfekcjonistką z natury, z urodzenia. Wystarczyło spojrzeć na jej mieszkanie. Wanda miała nawet w domu wyszyte kieszenie na różne przedmioty, na listy, ołówki itp. To natura pedanta, bo tylko pedant ma w szufladzie wszystko poukładane i posegregowane. (...)

Gdyby Wanda miała szczęście do ludzi, to potrafiłaby zmontować zespół na tak atrakcyjną imprezę, jaką był jej pomysł uzupełnienia sobie wszystkich ośmiotysięczników. Wydawało się że jest niemożliwe, by nie znaleźć młodych zapaleńców, którzy by

Pamiętamy problemy górskie z filmu „Temperatura wrzenia”. Była to zupełnie inna epoka wypraw himalajskich i zupełnie inna strategia tych wypraw. Był kierownik, który kierował zespołami i od jego decyzji zależało, który zespół wejdzie pierwszy, który będzie zespołem wspomagającym, który będzie zespołem szturmowym. On odwoływał te zespoły i wyprawiał w góry. Taką kierowniczką była Wanda na Gasherbrumach. Niektórzy się na nią wściekali, ale liczyli się z jej zdaniem, bo była kierowniczką.

Na takiej wyprawie, kierownik jest jak kapitan na statku i należy mu się posłuszeństwo. Natomiast później zaczęto organizować wyprawy partnerskie, mniejsze liczbowo, tylko zespołów górskich. A jeszcze wcześniej, w momencie, gdy przestało być satysfakcją tylko uczestnictwo w wyprawie zwycięskiej (a każdy chciałby być zwycięzcą), samo uczestnictwo stało się mało atrakcyjne na zasadzie: byłem w zwycięskiej wyprawie, ale na szczyt nie wszedłem, więc jestem jako alpinista skreślony. Gdy zaczęła się era małych wypraw partnerskich, zmieniła się i Wanda. Przestała być apodyktyczną kierowniczką, co zresztą było koniecznością na etapie dużych wypraw, i zaczęła być na wyprawie partnerką. A to, że bardzo chciała wejść na górę, wydaje mi się oczywiste, bo była alpinistką, sportsmenką. Po to szła w

to zrobić, każdy ma swoje plany, wyprawa jest złożona z samych silnych indywidualności, to oni się muszą przepychać, przekomarzać, kłócić i musi dochodzić do awantur. Tylko, że te awantury powinny się kończyć w górach i nie być przenoszone w dół, gdzie te emocje wygasają. W każdym środowisku, w którym jest konkurencja grają wielkie emocje. Np. wśród filmowców, lekarzy, naukowców są kłótnie o wszystko, o pomysły, kradzieże tematów, pacjentów, klientów itp. To są normalne międzyludzkie zmagania i jeżeli ktoś jest ambitny i chce coś nietypowego, nowego zrobić, to ktoś inny może mu to mieć za złe. Środowisko alpinistyczne wcale się od innych nie różni i byłoby dziwne, gdyby się różniło.

Film „Temperatura wrzenia” może być potrzebny, by nieco odbrać wśród środowiska alpinistów i himalaistów, publiczność jednak odebrała ten film bardzo jednostronnie. „Nic, poza nienawiścią do siebie i żarciem się, nie dzieje się na tych wyprawach”. Film przesadził w drugą stronę: alpinisci to psychopaci, którzy tylko się kłócą, to niemalże margines, bo wszyscy inni sportowcy są przy nich święci. A ja potrafię sobie wyobrazić, co się może dziać na olimpiadzie, gdzie stawką jest sukces i przeważnie duże pieniądze. (...)

Notowała: Elżbieta Pomorska

W piątą rocznicę największej polskiej tragedii himalajskiej (w maju 1989 r. Eugeniusz Chrobak i Andrzej Marcinek zdobyli wierzchołek Mount Everestu, szybko jednak triumf przerodził się w tragedię – w trakcie zejścia do Bazy, w Obozie I, na skutek potężnej

tak doniosłej wartości artystycznej, jak pierwsza „Mniej-więcej niż Dhaulagiri”. Ale bo też mieć jej nie może. Została ona przygotowana do druku najprawdopodobniej przez żonę i przyjaciół niezującego alpinisty. Ci zaś, co jest w pełni zrozumiałe, ograniczyli swoje działania

gór i zagubionej w nim wyprawowej mikrosocjeczności, jako swego rodzaju emigrant duchowy rozdarty pomiędzy potrzebę samotności, a potrzebę bycia w ludzkiej wspólnoty, jako romantyk kontemplujący piękno natury i sztuki (muzyka, literatura), wreszcie jako zagorzały

FALCOWE PISANIE O GÓRACH

lawiny zginęli: Mirosław Gardzielewski, Wacław Otręba, Mirosław Falco Dąsal, Andrzej Z. Heinrich, Eugeniusz Chrobak) ukazała się nakładem Wydawnictwa „At Publications” druga z kolei, niestety, przygotowana już w oparciu o pośmiertne papiery autora, książka Mirosława Falco Dąsala „Każdemu jego Everest”.

Dąsal jako „człowiek gór” uchodził w środowisku wspinaczkowym za jednego z najcieplejszych i najwszechstronniejszych alpinistów młodego pokolenia. Natomiast jako „człowiek pióra” wydaje się należeć do grona tych naszych utalentowanych alpinistów-pisarzy górskich, a znajdujemy wśród nich przede wszystkim Adama Skoczylasa i Jana Długosza, którym tragiczna śmierć stała się na drodze do pełnej i niezwykle obiecująco zapowiadającej się samo-realizacji twórczej. I jakkolwiek nieliczne książki wszystkich trzech wyżej wymienionych stanowią obecnie zamknięte rozdziały w dziejach polskiej prozy górskiej, są one tymi rozdziałami, których istnienia i wartości nie sposób nie dostrzec i przecenić. Byli bowiem zarówno Skoczylas, Długosz, jak i, choć w znacznie mniejszym stopniu, Dąsal, tymi pisarzami górskimi, którzy świadomie podejmowali trud pracy nad kształtem i jakością tworzywa językowego oraz formą swych utworów. Obdarzeni niewątpliwym talentem i sporymi możliwościami literackimi, a przy tym posiadający stosunkowo rozległą wiedzę o sztuce, próbowali przełamywać zastaną niemożność i stereotypowość pisania o górach i dźwigać owo pisanie do rangi literatury prawdziwej, „wysokiej”, jakby rzekł Jan Gondowicz „bezzprzymiotnikowej” (vide „Bulgarz” ’91, s. 133). A zatem próbowali czynić je uniwersalnym, nie tylko górskim.

„Każdemu jego Everest” nie ma

jedynie do chronologicznego zestawienia dzienników powstałych na kilku, odbytych w latach 1984-1989, wyprawach wysokogórskich, m.in. na Lhotse, K-2, Mount Everest. Sam zaś autor, pelen najróżnorodniejszych pomysłów literackich, nie zdążył już swoim zapiskom nadać takiego czy innego ostatecznego kształtu.

Dzienniki owe, tworzone przez Dąsala „na gorąco”, „nieoszlifowane”, wydają się mieć jednakże inną wartość: źródłowo-poznawczą. W pierwszym rzędzie stwarzają możliwość poznania korzeni literackich, z których wyrasta piarstwo autora „książki-nie książki” „Mniej-więcej niż Dhaulagiri”, ona sama.

Dąsal, a wynika to z jego licznych w dziennikach zapisanych refleksji, pozował przede wszystkim pod prężnym wpływem życia, legendy i twórczości współczesnych, by użyć tu efektownej, niemniej niezbyt fortunnej etykiety krytycznoliterackiej Andrzeja Hausbrandta, „kaskaderów literatury” (Bursa, Hłasko, Poświatowska, Stachura, Mielczewski-Bruno, Wojacek), a zatem takich poetów i pisarzy, którzy w swej twórczości nieustannie borykali się z własną nadwrażliwością, z nadwyrężonym systemem nerwowym, z chorobą, katalizowanymi przez otaczającą ich „wrogą” rzeczywistość.

Stwarzają owe dzienniki możliwość obcowania z językową erupcją obnażonego wnętrza autora-narratora, erupcją w niewielkim jeszcze stopniu ujarzmioną, bo nie uległą zbyt daleko idącej autokreacji, ostatecznej i skończonej transformacji literackiej. Jawi się zatem Dąsal-monologujący narrator, jako człowiek wrażliwy na wszelkie, zwłaszcza negatywne bodźce płynące z otaczającego go kamienno-lodowego świata

obrońca tradycyjnych wartości ogólnoludzkich.

Poznajemy za sprawą Dąsala-narratora, Dąsala-uczesnika wyprawowej mikrosocjeczności, w której rzeczony, wchodząc w nieuniknione interakcje z innymi, już nie tylko wewnętrznie obnaża się, ale i kreuje na Himalaistę Wzorcowego. A zatem takiego, który unika wszelkich konfliktów na rzecz utrzymania wśród uczestników wyprawy zgody, nawet wtedy, gdy spotyka go niesprawiedliwość, który jest zawsze wobec partnerów od liny „w porządku”, któremu obce są wyprawowe kalkulacje i wyrachowanie, któremu nieodmiennie przyświecają idee górskiego humanizmu.

Śmierć nie pozwoliła Dąsalowi przezwyciężyć pisarskich zahamowań i ograniczeń płynących z pewnej nieporadności w budowaniu narracji (miejscowy stylistyczny-frazeologiczny), z wyraźnych zapożyczeń (podążanie tropem Wilczkowskiego i Stachury), z natrętnego automatyzmu, a prowadzących – jak to trafnie ujął Jan Gondowicz – ku pisarskiej samolikwidacji. Liczne w „Każdemu jego Everest” dowody na to, iż – trawestując powiedzenie Marii Dąbrowskiej – alpinści-pisarze też umieją czytać, słuchać i oglądać oraz metaliterackie przemyślenia i koncepcje pozwalają sądzić, że miał szansę z owych artystycznych pułapek wyjść zwycięsko. Czy jednak tak by się stało, tego nie dowiemy się nigdy...

Andrzej Burghardt

Mirosław Falco Dąsal, *Każdemu jego Everest*. Wydawnictwo „At Publications”, b.r. i m.w., ss. 298.

Książkę Andrzeja Machnika „Zimą na trzeci szczyt świata” przeczytałem jednym tchem. Nie dlatego, żeby była tak świetnie napisana, ale po prostu interesowało mnie, komu też jeszcze autor dołoi. I tak prawdę rzekłszy – nie zawiodłem się. Tylko nieliczni nie polegali pod ciosami pamiętliwego autora. Biorąc pod uwagę, że opisywane zdarzenia miały miejsce osiem lat temu, „Młody” miał czas ochłonąć i nawet podczas czytania

Wali nazywając swoich nieprzyjaciół „po otczestwie”. Tylko pisząc o tragarzach nie używa nazwisk. Nazywa ich z dużym wdziękiem po prostu „chytre dzikusy”.

Z książki można by było zrobić autentyczne dzieło, gdyby autor zauważył to, o czym – a również o kim – naprawdę pisze. A pisze o sobie i o swoich marzeniach o wyprawie doskonałej.

Przytoczę słowa ze str. 40: „Moim ideałem była wyprawa, która będzie dar-

tym pisać, bowiem każdy, kto bierze udział w wyprawie, musi być przygotowany na „upublicznienie” jego zachowań, niemniej ze stronic akurat tej książki unosi się miejscami jakiś mało przyjemny zapaszek.

Trudności z przepchnięciem wyprawy przez rafy PZA przedstawione są bardziej wnikliwie niż sama akcja górską. Tu znowu cała gama rozczerowań. Gdyby nie głęboka pogarda autora dla „klu-

A MIAŁO BYĆ TAK PIĘKNIE

odbitki szczotkowej zauważyć, że coś nie tak.

Wygląda na to, że książka miała być bombą podłożoną pod środowisko. Wątpię jednak, czy nastąpi eksplozja, natomiast na pewno nastąpił rodzaj implozji, która w dużej mierze obnażyła samego piszącego.

Bijąca z kartek głęboka frustracja w końcu doprowadziła czytelnika do przekonania, że jeśli cały świat obrócił się przeciwko autorowi, to nie jest to wina świata. Tekst potwierdza moje głębokie przeświadczenie, że miotające człowiekiem emocje z reguły są silniejsze od intelektu i gluszą piski zdrowego rozsądku.

Nie znam dobrze autora, ale jak wynika z kartek książki możliwości intelektualne Machnika są nie do pogardzenia. Dobry szachista, poliglota, zna się na zagadnieniach logistycznych. No i co z tego?

Poświęciłem dwa wieczory, aby się lepiej zapoznać z sylwetką człowieka, któremu postanowiłem zwrócić uwagę na pewne niedoskonałości.

Przed kierowaniem wyprawą na Kagczendzongę ma za sobą trzy wyprawy himalajskie – w tym dwie zimowe. Nie wyraża się o nich dobrze. Jedną wręcz nazywa „himalajską hecą”. Wszystkie trzy minęły bez osobistego sukcesu autora. Cóż. Jeden z reżyserów teatralnych zwierzył mi się niegdyś – reżyser to jest aktor, któremu się nie udało, a dyrektor teatru, to reżyser, któremu się nie udało. Pewnie nie można tego zdania uogólnić, ale w naszym przypadku chyba pasuje.

Widać, jak w miarę pisania stan frustracji autora się pogłębia. Na samym początku książki swoich adwersarzy Machnik określa jedynie pierwszymi literami nazwisk – ale i tak wiadomo, że to Berbek i Gajewski (zresztą synowie moich towarzyszy z jednej liny). Później nie stosuje już takich taryf ulgowych.

la do góry, jak dobrze naoliwiona maszyna, dając jednocześnie swoim członkom maksimum swobody działania”. Zapewniam autora, że taka wyprawa jest marzeniem większości kierowników, ale nikt z nas – kierowników piszących – tak szybko nie wykazuje swojej pomyłki. Mianowicie Machnik już od strony 48 zaczyna czytelnikowi pokazywać, jak mu to nie wyszło i jak los drwi z dobrze przeprowadzonych przemyśleń i planów. W końcu odnosi się wrażenie, że wypadki miotają kierownikiem wyprawy, jak wiatr żagle z poluzowanymi szotami, a on, biedula, w końcu większość spraw wypuszcza z ręki. Rzecz w tym, że kierownik zamieniwszy się w autora jakby tego nie zauważał. Przecież to cudowne tworzywo literackie – móc świadomie pokazać czytelnikowi, jak los poczyną sobie z naszymi marzeniami. Elementy pojedynku z losem widać w książce całkiem wyraźnie, ale nic nie wskazuje na to, aby autor zyskał przez to jakiś dyktans do swoich pierwotnych wizji.

Żeby ta przydługa rozmowa z autorem – a może z kierownikiem – miała cechy uporządkowania należy ją podzielić na rozdziały.

Okres przygotowań

Lapidarnie i bardzo skrótowo pokazuje Machnik kompletne bezholowie, jakie panuje podczas przygotowań do „himalajskich hec”, które poprzedzają jego wyprawę. Jest wówczas na samym dole organizacyjnej drabiny i miga się jak może od przydzielonych mu zadań – o czym sam pisze. Kiedy zostanie kierownikiem ubolewa bardzo, że część kolegów zwala na niego swoje obowiązki. Jego wunderteam już na samym wstępie pokazuje, że ludzie są tylko ludźmi i proponując każdemu udział w wyprawie trzeba go znać i dobrze wiedzieć, czego się po nim można spodziewać. Wtedy nie będzie rozczerowań. A jeśli się człowieka wcześniej nie poznało, nie pozostaje nic innego, jak przyjąć go takim, jakim jest. Oczywiście można później o

bowych dziadków”, mógł się na samym początku okresu organizacji pofatygować chociażby do mnie i bym mu pewnie powiedział, czego i z czyjej strony może się spodziewać, bowiem sytuacje w organizacjach alpinistycznych nie zmieniły się przez dziesięciolecia, a rywalizacja i używane chwytły są ponadczasowe.

Powiedziałbym mu pewnie również, że w większości przypadków statki nie dysponują dźwigami, które mogą załadować i wyładować ciężarówkę – co mnie zmusiło czterokrotnie do używania dźwigów portowych – i pewnie nieśmiało zachęciłbym do przeczytania napisanego przeze mnie tekstu o organizacji wypraw w podręczniku alpinizmu Maćka Popki. Tam, między innymi, zostało napisane, że dokumentację wyprawową należy przepisywać w pięciu egzemplarzach – żeby nie zaginęła. Usłuchanie tej rady wyeliminowałoby kłopoty z żółtą teczką.

Przypuszczam, że zapoznałbym autora z moim głębokim przekonaniem, że podczas przygotowań należy zdobyć jak największą wiedzę, ale nie robić szczegółowych planów, bowiem one wszystkie biorą w łeb. No, ale do takiego spotkania nie doszło.

Dojazd i dojście w góry

Cały ten okres jest jedną wielką improwizacją, która jest domeną ogromnej liczby wypraw, ale której kierownik-autor – zaplanowawszy wyprawę, jakby w ogóle się nie spodziewał.

Najbardziej bulwersującym czytelnika jest okres balang w Katmandu. Nigdy jeszcze nie słyszałem, aby ciągnące się co noc popijochy były najlepszym sposobem treningu do skrajnego wysiłku, który czeka na ludzi w Himalajach. Jak przypuszczam zresztą, wyprawa, która ma kłopoty finansowe, nie powinna się narażać na hotelowe rachunki za potłuczone szkło i inne szkody. Miło jest nawet, że kierownik tej zabawowej imprezy o tym pisze z takim entuzjazmem, ale sportowcy na ogół powinni wiedzieć,

że to nie najlepszy sposób na łapanie kondycji. W innym przypadku wioski olimpijskie zamieniałyby się w megaspeluny przed rozpoczęciem igrzysk.

Akcja górską

Pierwszą sprawą niech będzie trasa pomiędzy bazą i bazą wysuniętą. Z opisu wynika, że co najmniej dwóch ludzi na niej błędziło i z tego jeden przez dni pięć! Nie można się oprzeć wrażeniu, że trasa ta została oznakowana słabo, albo wcale, co niestety jest poważnym błędem, który o mało nie skończył się tragedią. Oznakowanie trasami tak długiego odcinka trwa zapewne bardzo długo, ale niestety nie wolno o nim zapomnieć – zwłaszcza zimą. Ludzie schodzący do bazy na odpoczynek na ogół nie są w najlepszym stanie fizycznym i psychicznym i nie mogą bać się tego zejścia.

Druga sprawa to kierowanie wyprawą. W zasadzie zaczyna się ono już znacznie wcześniej – na samym początku przygotowań, ale podczas akcji górskiej następuje kulminacja problemów.

O kłopotach związanych z kierowaniem wyprawą pisałem w swojej książce „Śniegi pokutujące” i nic się od tej pory nie zmieniło. Oczywiście, że kierownik nie może rozkazywać. Do tego bowiem, aby mieć pewność, że rozkaz zostanie wykonany, zwierzchnik musi mieć sankcje, a podwładny musi być odpowiednio do tego szkolony. Tak jest zorganizowane wojsko. Na wyprawie nic takiego nie zachodzi. Trzeba po prostu zdawać sobie sprawę, że każde polecenie kierownika będzie przedmiotem dyskusji, a sankcji brak absolutny. Najbardziej drastycznym problemem dla kierownika byłoby, gdyby wywalił uczestnika z wyprawy, a ten by został z akceptacją części grupy. Nie znam wprawdzie takiego przypadku, ale nawet jeśli nie zaistniał, to jest on teoretycznie możliwy. To zresztą już kataklizm.

Wszelakoż po długim tłumaczeniu, uczestnicy często zgadzają się z racjami kierownika, nawet wbrew własnym przekonaniom.

I tak by prawdopodobnie było, gdyby padło polecenie zaopatrzenia górnych obozów w tlen, co celów leczniczych. Zabieranie na wyprawę tlenu, który trzeba nabyć za duże pieniądze, a potem najać tragarzy, którzy będą go nieśli, po to tylko, aby zalegał on w bazie, nie zgadza się ani z logiką, ani z logistyką.

Można było przecież przypomnieć kolegom, że tylko na polskich wyprawach tlen uratował dwa istnienia: Kazka Głazka i Janka Wolfa. Taki argument powinien wystarczyć. Nie można wykluczyć, że w porę podany tlen uratowałby życie Andrzeja Czoka.

Nie mogę się również oprzeć wra-

żeniu, że nieumiarkowane picie w bazie podczas wigilii nie wpłynęło dodatnio na stan zdrowia ofiary Kangczendzongi. O tym, że operacyjna narkoza potrafi odezwać się jeszcze po kilku tygodniach, wie dobrze część tych, którym to zastosowano. Przedłużone działanie alkoholu – zwłaszcza w warunkach niedotlenienia – nie jest jeszcze dostatecznie zbadane i nie wiadomo, jakich spustoszeń dokonuje ten preparat w organizmie. Dlatego, jak sądzę, należałoby się wystrzegać takich empirycznych sprawdzeń. Z drugiej strony jednak, jeśli się na wyprawę zabrało 25 kg czystego spirytusu – tj. powyżej 31 litrów – to przecież trzeba coś z nim zrobić.

Stosunki Machnik – Kukuczka

Kiedy kierownik zapraszał na wyprawę dwóch wielkich alpinistów – mianowicie Kukuczkę i Wielickiego – musiał zdawać sobie sprawę ze wszystkich blasków i cieni takiego zaproszenia. Uczestnictwo tej dwójki zwielokrotniało szanse na sukces wyprawy, jednocześnie musiało wprowadzić trudności w kierowaniu nią i niejako *a priori* zmniejszało szanse pozostałych uczestników na sukces osobisty.

Tym niestety różnimy się od Żydów (bodaj cała rasa aryjska), że Żydzi – jeśli którykolwiek z nich trochę się wybijie ponad przeciętność – to reszta jeszcze go podsadzi. My zaś pytamy natychmiast – a co, ja jestem gorszy? No, gorszy, gorszy. To żaden wstyd dla alpinisty powiedzieć: byłem gorszy od Kukuczki. Machnik jakby tego od początku nie rozumiał.

W książce nie widać, aby zaakceptował incydentalny niejako udział Kukuczki i Wielickiego na wyprawie. Nigdzie nie jest powiedziane, że bez nich wyprawa osiągnęłaby cel. Jej as atutowy – Andrzej Czok niestety nie wytrzymał tym razem wysokości.

Chyba sobie na złość autor na str. 99 formułuje zdanie: „Uważam, że silny i doświadczony zespół (...) może sobie na odrzucenie zarówno użycia tlenu, jak i asekuracji tlenowej pozwolić”.

W tym przypadku zdanie to nie znajduje uzasadnienia w faktach. Wiadomo jedynie, że na to mogli sobie pozwolić Kukuczka i Wielicki. Nie wiadomo, jaki byłby rozwój wypadków, gdyby ich na wyprawie nie było. Czy ktokolwiek z pozostałych był w stanie wejść na szczyt zimą bez tlenu. A co do asekuracji tlenowej. Mój Boże, kierownika wyprawy też powinna gnębić myśl, że gdyby tlen był na miejscu, Andrzej wróciłby z wyprawy. Obrzęk płuc należy raczej do chorób zawodowych himalaistów. Jeszcze nie słyszałem, by ktoś zmarł na tę chorobę wspinając się w Tatrach.

Kiedy czyta się ostatnie akapity książki – w których autor wadzi się z naj-

lepszym polskim alpinistą – zwraca uwagę kompletny brak dystansu do tych spraw. Przytacza zdania Jurka, z których wysnuwa zaskakujące wnioski. W żaden sposób u Kukuczki nie mogę doszukać się, aby uważał wyprawę Machnika za „przedsięwzięcie poronione i szkodliwe”. Po prostu krytykuje sposób kierowania wyprawą.

I tak jest ze wszystkimi dziesięcioma cytatami z książki Kukuczki. Trzeba być zaiste nadwrażliwcem, aby doszukać się w nich tych treści, które znalazł Machnik. Wszystkiego nie omówię, bowiem rozsądziłoby to ramy czasopisma. Chcę jednak podkreślić, iż nie mam pretensji, że w chwili, kiedy książka ukazuje się na rynku, wielki adwersarz Machnika już nie żyje. Nie holduję zasadzie, że o umarłych albo nic, albo dobrze. Uważam, że można źle – byle sprawiedliwie. A w tej sprawie mam liczne obiekty.

Na tym można by zakończyć tę recenzję, czego? – wyprawy czy książki? A może stanu emocjonalnego autora?

Ale na koniec jeszcze jedno. Na stronie 96 po raz pierwszy w książce został przedstawiony skład wyprawy, jeszcze z zaleceniem dla czytelnika, żeby o tych ludziach pamiętał. Tymczasem autor zapomniawszy w nim o Krzysiu Pankiewicz. Umyślna eliminacja, czy przeoczenie? Taki tekst tworzy się przecież z listą uczestników w rękę, a potem są jeszcze korekty. Jeśli się jest człowiekiem skrupulatnym, warto o tym pamiętać.

Nie moją sprawą jest prostowanie cudzych ścieżek, ale to, co wyczytałem lub czego nie wyczytałem, mam prawo opisać.

Andrzej Wilczkowski



Wacław Potocki

NA BIESZCZAD

Wejrzawszy na podgórskich kątów positurę,
Gdzie tylko same skały, lasy, strugi, góry,
Oziminy nie pytaj, cnoty w tąż: chleb z gruce,
Z szafasu trochę bryndze, żentycy i buce.
Kozy, uciészne kozy, ma trzodo jedyna,
Tu, gdzie przez zimny Beskid dochodzą nas wina,
Swoje macie koszary. Daj was, Boże, mijać,
Bo patrząc tylko z wami kraść się chce i zbijać.
Tak kędyś niedostępne perły przed gryfami;
Zbójcy, bezecni zbójcy, nam wino przed wami!
Niechaj z jezuitami łączą się tam mniszki,
Nie mnichy, same będą rodziły opryszki.
Najwięcej też mętyrów z naszej Palestyny
Idzie na pale, haki, powrozy, drabiny,
O cerkiew nic, bo co wieś, wszędzie stoi przed nią.
Lecz koleją się do niej schadzają obrzędnią,
Tam sto tysięcy ono: „Pomiłuj Hospody”,
„A każ chyżo stryjowi rozwijać borody”.
Podobno Bóg na on czas dla zaszcia sabatu,
Począwszy, tutecznego nie dorobił świata;
Przeto się na nim ludzie bezzakonni lągną,
Którzy po cudze dobro bez skrupułu sięgną.

Trudny to wiersz i nie wszystko jest w nim na pierwszy rzut oka jasne. Gdy jednak uprzytomnimy sobie, że „positura” po łacinie oznacza „położenie”, że przez Beskid szedł do Polski import wina z Węgier, że naśmiewa się poeta, jakby przy okazji, ze zniechędzonych jezuitów (bo sam był arianinem i tylko pod przymusem przeszedł na katolicyzm), wówczas łatwiej go będzie pojąć i docenić. A docenić go warto, jest to bowiem jeśli nie pierwszy, to jeden z najdawniejszych polskich wierszy o Bieszczadach, mówi zaś o ogromnej niesławie, jaką góry te były przed wiekami otoczone. Brała się ona stąd, że były Bieszczady swoistym rajem dla zbójników, nic przeto dziwnego, że mawiano w XVII w., że się trudno przedostać z Węgier do Polski przez Bieszczady, bo jest tam *hultajstwa niemało, odzierają dziady* (to znaczy: nawet „dziadów” wędrownych zbójce tam potrafią obrabować). Z tego samego czasu przysłowie, ironicznie mówiąc o znajomości świata o zbójników, że się ona ogranicza do zbijania na Bieszczadzie i Krępaku (pod Tatrami). Nic przeto dziwnego, że napisał poeta o tej nieurodzajnej krainie, że w niej wina przed zbójami tak trzeba strzec, jak to czynią legendarne gryfy, pilnujące skarbów. Stąd środkowa część wiersza tłumaczy się łatwiej. Mówi tu autor, że większość męczenników (martyrów) z tej krainy kończy śmiercią na palu, haku, powrozie, drabinie – że zatem ich męczeńska śmierć jest następstwem sądowych wyroków. Te jednak kandydatów do zbójowania nie odstraszały, skoro w cerkwi modlą się oni o to, by im broda szybciej wyrosła – by zatem, osiągnąwszy dojrzałość, mogli iść na zbój. Charakter więc owych gór brzydkich („same skały, lasy, góry”) tłumaczy żartobliwie autor w ten sposób, że Bóg z powodu rozpoczęcia się sabatu nie dokończył dzieła stworzenia owej krainy i dlatego „lągną się” tu tylko ludzie „bezzakonni” – nie przestrzegający prawa.

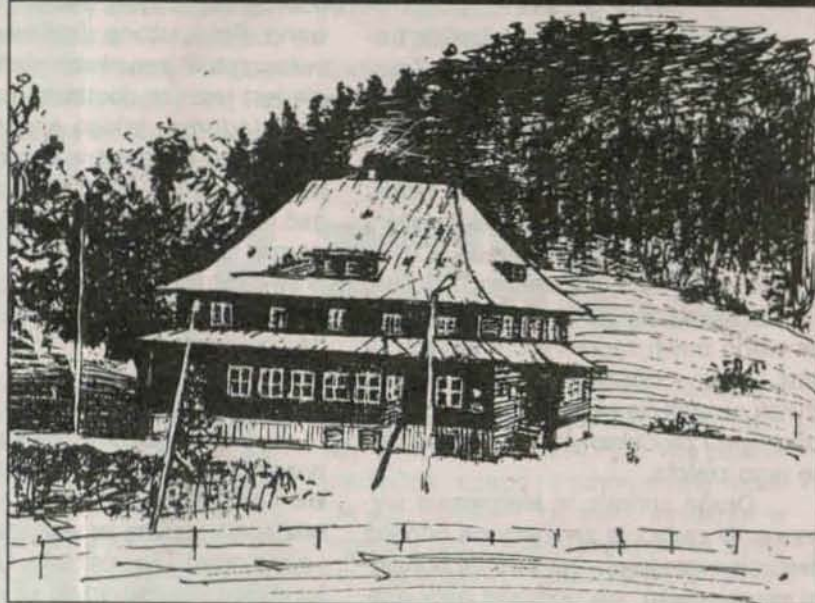
Stworzył tę wizję Bieszczadów Wacław Potocki (1621-1696), autor słynnego *Ogrodu fraszek* (z niego ten wiersz pochodzi), dobry szlachcic i dzielny żołnierz. Dramatyczny był jego życiorys, liczne zaś jego dzieła drukiem ogłoszone zostały pośmiertnie – i to późno, bo dopiero w XIX i XX w. Przytoczony tu wiersz w tradycjach polskiej literatury górskiej zajmuje ważne miejsce, daje bowiem charakterystyczne świadectwo jednego z typowych w staropolskim okresie sposobów interpretowania gór, inicjując literacką karierę Bieszczadów.

Do druku podał Jacek Kolbuszewski

SCHRONISKA SUDECKIE PTTK

W RYSUNKU PAWŁA DACKO

Andrzejówka



Oddział Wrocławski PTTK

Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław
tel. 383-31, 44-53-49, tel./fax 367-46, tlx 0712272

PROPONUJE

12- i 14-dniowe
wczasy wędrowne
dla młodzieży od 16 do 99 lat

Trasy:

1. Rudawy Janowickie - Karkonosze

12 dni - 2.700.000,- zł (czt. PTTK 2.550.000,-)

2. Kotlina Kłodzka

14 dni - 2.950.000,- zł (czt. PTTK 2.800.000,-)

Gwarantujemy:

- Rozsądne ceny
- Dogodne (cotygodniowe) terminy rozpoczęcia wczasów
- Atrakcyjne trasy o umiarkowanej skali trudności
- Fachową obsługę przewodnicką
- Grupy 14-osobowe
- Noclegi i wyżywienie w schroniskach PTTK
- Ubezpieczenie PZU
- 50% zniżkę PKP na dojazd i powrót z wczasów

ZAPRASZAMY!!!

**SĄ JESZCZE WOLNE MIEJSCA
- ZAPISZ SIĘ NATYCHMIAST!!!**